RAPORT „DO RZECZY”

Zadyszka rządu

Warzecha kontra wicepremier **Gowin**

Donald i Michał Tuskowie w cieniu **Amber Gold**

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829 Nakład: 110 tys. egzemplarzy

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 14/216 3–9 KWIETNIA 2017

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

MAREK KRÓL DOBRZE O DOBREJ ZMIANIE

HEROSI RZECZYPOSPOLITEJ

POCZET WIELKICH POLSKICH WOJOWNIKÓW

Ksiądz Isakowicz-Zaleski nie ma wątpliwości:

Ukraińcom trzeba patrzeć na ręce

prasa.pl.a156d6168f

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA
PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

Nasz Narodowy Wytwórca

Bezpieczeństwo i Nowoczesność

e-dowód dla Republiki Armenii

produkujemy od 2011 r.

CHIP

Mikroprocesor przeznaczony do zapisu i przetwarzania danych.

MLI

Obraz wykonany techniką laserową, zawierający elementy graficzne zmieniające się w zależności od kąta obserwacji.

MIKROTEKSTY

Widoczne przez szkło powiększające mikrodruki, wkomponowane w tło dokumentu.

OVI®

Farba optycznie zmienna – elementy graficzne wykazujące wyraźną zmianę barwy w zależności od kąta obserwacji.

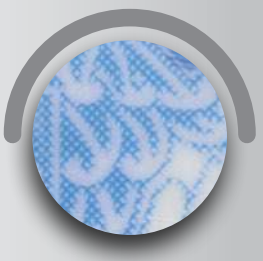

TŁO IRYSOWE

Siatka cienkich, ciągłych linii, których barwa zmienia się płynnie od jednej do drugiej krawędzi.

www.pwpw.pl

eprasa.pl a156d6168f

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Tylko wiosenne przesilenie?

Przecieram oczy ze zdumienia, ale mijają kolejne dni i nic się nie zmienia. PiS, który podczas poprzedniej kampanii parlamentarnej pokazał, że doskonale rozumie nastroje wyborców, wyczuwa ich sympatie i umie dostosować się do ich oczekiwań, który zręcznie umiał odpowiadać przez wiele miesięcy na pułapki opozycji, wygrywając kolejne bitwy i zachowując wysoki poziom poparcia społecznego, nagle zaczął się zachowywać, jakby stracił zmysł słuchu.

Pierwszym potknięciem była sprawa wyboru Donalda Tuska na szefa Rady Europejskiej. Zamiast uznać, jak było w istocie, że jest to funkcja marginalna i pozbawiona większego znaczenia, Prawo i Sprawiedliwość podjęło walkę o utrącenie kandydatury Tuska, jakby chodziło o samą niepodległość. Można było zakończyć rozgrywkę na zręcznym manewrze, czyli wskazaniu swojego kandydata z szeregów opozycji – Jacka Saryusza-Wolskiego, tyle że rząd postanowił pokazać, iż nie boi się uderzyć głową w ścianę. Cóż, mur pozostał jak stał, tylko na głowie rządzących pojawił się guz. Efektem całej awantury jest wzrost znaczenia samego Tuska, który z nieudolnego i mało rozpoznawalnego premiera na emeryturze przeistoczył się w herosa demokracji, w bohatera broniącego Europy przed kaczyzmem. Zwykle ludzie, których spotyka porażka, nie lubią obnosić się z przegraną. Jednak zamiast przyjąć prostą zasadę „ciszej nad tą trumną", politycy PiS zachowali się dokładnie odwrotnie i zaczęli rozdrapywać rany. Dowodem są słowa Witolda Waszczykowskiego, który stwierdził, że przy wyborze szefa Rady Europejskiej mogło dojść do fałszerstwa. Jak takie słowa odbiera opinia publiczna? I jak może odebrać je inaczej niż jako przykład frustracji i bezsilnej złości?

Innym przejawem tej dziwnej choroby utraty słuchu wydaje się sprawa rzekomego wystąpienia Polski z Eurokorpusu. Nie trzeba być szczególnie rozgarniętym, żeby przewidzieć, że informacja o ograniczeniu polskiego zaangażowania w budowę europejskiej armii wywoła atak opozycji. Jeśli zatem minister Antoni Macierewicz zdecydował się na przesunięcie polskich oficerów i środków z Eurokorpusu do NATO, to powinien o tym uprzedzić opinię publiczną. To on powinien być pierwszym źródłem informacji, on powinien ją wytłumaczyć, przedstawić swoje racje, rozwiać wątpliwości. Tymczasem podobnie jak w przypadku wyboru Tuska zamiast polityki informacyjnej mieliśmy do czynienia z ciągiem wpadek. Najpierw pojawiło się doniesienie AFP, skądinąd nieścisłe, że Polska występuje z Eurokorpusu. Przez kilka godzin dominowało ono na wszystkich portalach informacyjnych, aż pojawiło się zaprzeczenie wiceministra Bartłomieja Kownackiego, który nazwał te wiadomości totalną bzdurą. Tyle że wkrótce potem swoje oświadczenie wydał szef MON, który przyznał, iż Polska pozostanie państwem stowarzyszonym w Eurokorpusie i nie będzie się już ubiegać o status państwa ramowego. Czyli zamiast jasnego przekazu i wytłumaczenia motywów działanie reaktywne, chaotyczne, kakofonia dźwięków. Tak jakby MON zostało zaskoczone tym, że ktoś się sprawą interesuje!

Takich przykładów dziwacznej, powiem oględnie, komunikacji było w ostatnich tygodniach więcej. Nie wiem, co jest tego przyczyną. Skąd choćby pomysł, żeby z dnia na dzień niemal mnożyć otwieranie frontów politycznych i wchodzić w spór z kolejnymi wpływowymi grupami i środowiskami? Czy można wygrać jednocześnie starcie z nauczycielami, sędziami, lekarzami i samorządowcami? Może politycy rządu faktycznie uwierzyli, że będą rządzić jeszcze co najmniej 20 lat i nie muszą się oglądać na opinię publiczną? Doprawdy trudno zrozumieć tę nagłą, na własne życzenie przeprowadzoną, defensywę. Nie wiadomo tylko, czy to chwilowa słabość, ot, wiosenne przesilenie, czy oznaka głębszego kryzysu. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl a156d6168f

TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z KS. TADEUSZEM ISAKOWICZEM-ZALESKIM
LUDOBÓJSTWO JEST WCIĄŻ PRZEKŁAMANE
Milczenie nie może być ceną za dobre relacje z Ukrainą

20 MACIEJ PIECZYŃSKI
UKRAINA POLSKIM OKIEM

KRAJ

22 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM GOWINEM
SAMA NIEUGIĘTOŚĆ NIE JEST WARTOŚCIĄ
– Musimy maszerować szybko – mówi wicepremier, minister nauki i szkolnictwa wyższego

raport DO RZECZY

26 PIOTR SEMKA
ZADYSZKA W BIEGU

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TWARDY KURS BEZ ZMIAN

34 WOJCIECH WYBRANOWSKI
DYPLOMATA NA JĘZYKACH

36 ROZMOWA Z TOMASZEM RZYMKOWSKIM
PARASOL SŁUŻB SPECJALNYCH NAD AMBER GOLD?

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
RODZICE JAK BOHATEROWIE

40 TOMASZ NIEŚPIAŁ
ZBRODNIA ZAMIAST ROZWODU

KULTURA

42 WIESŁAW CHEŁMINIAK
POMYSŁOWY WŁADIMIR I FRYWOLNA EMMA
Zderzenie dwóch światów w londyńskich muzeach

46 PIOTR GOCIEK
SKARB KAPITANA FLINTA

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 OLIVIER BAULT
SPRAWA POLSKA NAD SEKWANĄ
Wybory we Francji. Jaki scenariusz byłby korzystny dla Polski?

58 ROZMOWA Z MARKIEM KRÓLEM
MATEUSZ MORAWIECKI TO FENOMEN

HISTORIA

62 PIOTR ZYCHOWICZ
GRUZIŃSKA RZEŹ POLAKÓW
Nieznany epizod ludobójstwa

65 MARCIN SZYMANIAK
HEROSI RZECZYPOSPOLITEJ

ŚWIAT

71 SZEWACH WEISS
KTO SŁUŻY W IZRAELSKIEJ ARMII

72 TERESA STYLIŃSKA
MARZENIE ISLAMISTY

74 ROZMOWA Z DR. BILLEM WARNEREM
ZDĄŻYĆ PRZED SZARIATEM

78 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
ISLAM BIERZE WSZYSTKO

EKONOMIA

80 ŁUKASZ ZBORALSKI
DOBRY BIZNES
Kiedy giganci dzielą się zyskami

86 STEFAN SĘKOWSKI
KSIĄŻKOWA URAWNIŁOWKA

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
KAPEĆ STORY
Spod łóżka na wybiegi

ŻYCIE I NAUKA

92 KATARZYNA PINKOSZ
WALKA O ODDECH
Spowolnić włóknienie płuc

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (52), ZALEWSKI, WOLSKI (57), ZYCHOWICZ, KOPER (70), GABRYEL, RYBIŃSKI (83), KOMUDA (94), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl a156d6168f

Patroni honorowi:
prof. Piotr Gliński – Wiceprezes Rady Ministrów, Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Kazimierz Kardynał Nycz – Arcybiskup Metropolita Warszawski
Instytut Pamięci Narodowej
Fundacja Książąt Lubomirskich

INSTYTUT PROMOCJI KULTURY POLSKIEJ

NARODOWE CENTRUM KULTURY

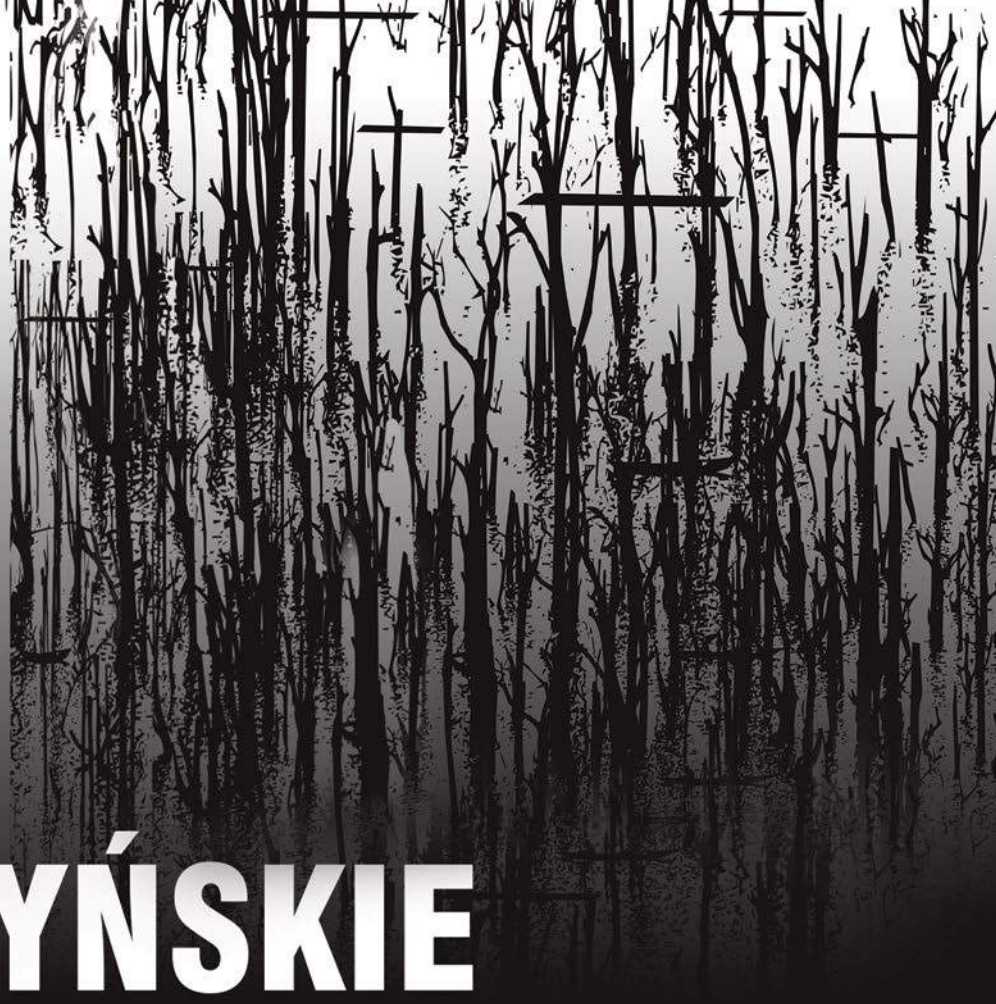

REQUIEM KATYŃSKIE

ORATORIUM

Środa 12 kwietnia 2017, godz. 20.00
Centrum Opatrzności Bożej, ul. Ks. Prymasa Augusta Hlonda 1

Wykonawcy:

Elżbieta Towarnicka – sopran
Wanda Wiktoria Franek – alt
Przemysław Firek – bas
Tomasz Kuk – tenor
Beata Rybotycka – piosenka matki
Sebastian Perłowski – dyrygent

Orkiestra Akademii Beethovenowskiej
Chór Polskiego Radia
Chór Artos im. Władysława Skoraczewskiego
Chór Dzieciecy przy Teatrze Wielkim Operze Narodowej

PAWEŁ MUZYKA

Partnerzy medialni:

TVP TELEWIZJA POLSKA

PMPG POLSKIE MEDIA SA

POLSKIE RADIO RDC Radio dla Polski

RZECZPOSPOLITA

DO RZECZY

wprost

eprasa.pl a156d6168f

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu dwa głosy w sprawie publikacji z 13. numeru naszego tygodnika. Zapraszamy też na stronę: www.dorzeczy.pl, gdzie można znaleźć informacje o politycznych wydarzeniach dnia oraz o występach naszych publicystów w innych mediach.

„Ballada o Grzesiuku"

Jestem wierną czytelniczką Państwa tygodnika. Ze szczególnym zainteresowaniem przeczytałam ostatnio recenzję p. Krzysztofa Masłonia („Do Rzeczy" 13/2017) dotyczącą książki Bartosza Janiszewskiego „Grzesiuk. Król życia". Według mnie autor recenzji podał błędną nazwę ulicy, przy której zamieszkiwał Grzesiuk w Warszawie. Chodzi o ulicę Tatrzańską (która jest na Czerniakowie), a nie Tatarską (znajdującą się na Woli).

Jeśli chodzi o książki Grzesiuka, to moje wspomnienie dotyczy wczesnych lat 70. kiedy uczęszczałam do IV klasy szkoły podstawowej. Po lekcjach zostawałam w świetlicy szkolnej i zawsze coś sobie czytałam. Któregoś razu pani świetliczanka „przyłapała mnie" na lekturze książki Stanisława Grzesiuka „Pięć lat kacetu". Bardzo się wówczas zdenerwowała i dopytywała, kto pozwolił mi czytać tę książkę. A ja sama sobie pozwoliłam... W moim rodzinnym domu książki były ogólnie dostępne dla dzieci. Oprócz wszystkich dzieł Wyspiańskiego czy Conrada znalazłam także Grzesiuka, który mnie wówczas zafascynował. Również w podstawówce przeczytałam kolejne Jego książki: „Boso, ale w ostrogach", i później „Na marginesie życia". Pamiętam też płytę z Jego piosenkami (pieśniami), które potrafię zanucić i dzisiaj...

Pozdrawiam serdecznie
Anna Jakubik

„Niechciana sztuka"
Odpowiedź na polemikę

Pozwalam sobie wyjaśnić pani dr hab. Jedynakiewicz-Mróz (zob. Listy w „Do Rzeczy" 13/2017), że mówimy o zupełnie innych dziedzinach nauki. W artykule „Niechciana sztuka" miałam na myśli specjalistyczne prace z zakresu psychologii i psychiatrii, poświęcone dzieciom nazistów – co w sposób oczywisty wynika z kontekstu. Prace, które zasugerowała pani doktor, są pozycjami historycznymi i traktują ten aspekt bardzo powierzchownie.

Jednocześnie dziękuję za głos niemcoznawcy i fachowca, bo to pozwala na postawienie pytania, dlaczego najlepsze wciąż prace dotyczące Generalnego Gubernatorstwa piszą brytyjscy i amerykańscy historycy, a najbardziej wyczerpującą do tej pory biografię Hansa Franka napisał Niemiec?

Serdecznie pozdrawiam
Magdalena Ogórek

Pani

Grażynie Witan

Dyrektor Biura Finansowego

wyrazy głębokiego współczucia i żalu z powodu śmierci

Ojca

składa

Szef Kancelarii Sejmu
Agnieszka Kaczmarska
wraz z pracownikami

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hołdyńska, Jarosław Kałucki, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Wierzbicki, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Witold Skotnicki/REPORTER, Getty Images, oprac. graf. JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro: **Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl; tel. + 48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Karolina Olchowik (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 110 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl a156d6168f

Nauczyciele źle kształceni

FOT. ROBERT STACHNIK/REPORTER

W ubiegły piątek część nauczycieli wzięła udział w strajku organizowanym przez ZNP. Szkoły, w których nauczyciele strajkowali, zapewniały opiekę uczniom, ale nie odbywały się zajęcia dydaktyczne. ZNP protestował, żądając podwyżek i gwarancji zatrudnienia.

Tego samego dnia Najwyższa Izba Kontroli opublikowała raport dotyczący przygotowania do zawodu nauczyciela. Potwierdza on wiele wniosków z dotychczasowych obserwacji i badań. Od lat wiadomo, że istnieje negatywna selekcja do zawodu nauczyciela. Jednak, jak zauważyli kontrolerzy NIK, ta niedobra tendencja się wzmacnia – już w sumie ponad 9 proc. osób przyjmowanych na studia na kierunki ze specjalizacją nauczycielską to absolwenci szkół ponadgimnazjalnych, którzy na egzaminie maturalnym uzyskali najniższe wyniki. I nie pomagają im uczelnie – proces kształcenia w nich nie jest systematycznie udoskonalany. Efekt? Tylko nieco ponad jedna trzecia studentów kończących studia pierwszego i drugiego stopnia wskazała, że czuje się przygotowana do wykonywania zawodu. NIK źle oceniła też system awansu zawodowego nauczycieli, który w praktyce sprowadza się do automatycznego promowania na kolejne stopnie. Taki model nie pozwala na prawdziwy rozwój zawodowy – rozwijanie umiejętności i istotnych kompetencji przydatnych w pracy. ©℗

Łukasz Zboralski

ANTONI MACIEREWICZ: NA PATRIOTY WYDAMY NIE WIĘCEJ NIŻ 30 MLD

Do końca obecnego roku polski rząd zamierza zawrzeć umowę z amerykańską firmą Raytheon na dostawę ośmiu baterii antyrakietowych Patriot.

Minister obrony narodowej Antoni Macierewicz podczas piątkowej konferencji prasowej poinformował, że Polska skierowała zapytanie ofertowe do amerykańskiej firmy Raytheon w sprawie zakupu rakiet Patriot. I podkreślił, że Polska wyda na całe zamówienie nie więcej niż 30 mld zł. Według szefa MON pierwszy zestaw baterii obrony powietrznej średniego zasięgu ma trafić do Polski dwa lata po podpisaniu umowy.

Używane w wyrzutniach rakiety mają mieć zdolność do zwalczania rakiet Iskander. Zakup baterii Patriot jest jednym z ważniejszych elementów programu gruntownej modernizacji polskiej armii, podjętej m.in. w związku z rosnącym zagrożeniem ze strony Rosji.

(jap) ©℗

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

„Do Rzeczy” liderem cytowań

W lutym „Do Rzeczy” było najbardziej opiniotwórczym tygodnikiem w Polsce – wynika z raportu Instytutu Monitorowania Mediów. Nasze publikacje były cytowane 196 razy. Najczęściej przytaczano wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego, który w rozmowie z Kamilą Baranowską komentował kontrowersje dotyczące Bartłomieja Misiewicza, młodego współpracownika ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza. Prezes PiS w wywiadzie opublikowanym na łamach „Do Rzeczy” mówił wówczas, że Misiewicz stał się dla PiS wizerunkowym problemem. „Skoro wciąż staje się bohaterem mediów, to nie ma w tym nic dobrego i wierzę, że minister Macierewicz tę sprawę załatwi” – mówił Kaczyński.

W kategorii najbardziej piniotwórczych tygodników i dwutygodników wyprzedziliśmy m.in. „W Sieci”, które cytowano 110 razy, oraz „Newsweek”, którego informacje były przytaczane 96 razy. Na dalszych miejscach uplasowały się „Polityka” (59) i „Gazeta Polska” (55).

„Do Rzeczy” znalazło się też w pierwszej piątce najbardziej opiniotwórczych gazet w kraju. Na pierwszym miejscu znalazła się „Rzeczpospolita” z 375 cytowaniami. Nasz tygodnik jest wyżej niż m.in. „Super Express”, „Puls Biznesu” i „Przegląd Sportowy”.

W kategorii najbardziej opiniotwórczych mediów w kraju – badanie uwzględniło też stacje radiowe i telewizyjne oraz portale internetowe – liderem zostało Radio Zet z 531 cytowaniami. „Zetka” wyprzedziła RMF FM, które miało 466 cytowań. Radio Zet swoją pozycję zawdzięcza informacjom o wypadku Beaty Szydło w Oświęcimiu oraz doniesieniom o stanie jej zdrowia. ©℗

(ww)

eprasa.pl a156d6168f

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

„Gott strafe England"

Przepraszam za tytuł po niemiecku, ale ten slogan kajzerowskich Niemiec z lat I wojny światowej – „Boże, ukarz Anglię" – sam się nasuwał, gdy przejrzałem gazety z RFN w dniu rozpoczęcia procedury Brexitu.

Na pierwszej stronie wydawałoby się unikającego emocji dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung" karykatura. Szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker na poczcie w Brukseli otwiera paczkę z Londynu z zaśmierdłą rybą i mówi: „Aha, to list rozwodowy oznajmiający Brexit". Towarzyszy mu pocztowiec, który kwaśno dodaje: „I jeszcze paczkę wysłano z niedopłatą". Na okładce „Spiegla" – brytyjski parlament na tle ciemnych chmur i tytuł: „Londyn – dramatyczny czas we wspaniałym mieście". W środku tekst o tym, jak młodzi Brytyjczycy buntują się przeciw oderwaniu od Europy i jak biznesmeni martwią się, że wielkie pieniądze uciekną z Londynu. W dziennikach pojawia się zazwyczaj liczba 60 mld euro jako koszt Brexitu. A magazyn ZDFheute pokazuje pieska preriowego, który rozgląda się dookoła i widzi wokół siebie tylko pustynię. Duży napis na ekranie głosi: „Gdy jasne się staje, co Brexit oznacza naprawdę".

Anglicy zawsze stanowili dla Niemców problem. Odrzucali wiele niemieckich idei na urządzenie kontynentu, a jednocześnie nie sposób było ich lekceważyć

Jednak swoje emocje objawiają także politycy. Angela Merkel jest tradycyjnie oszczędna w słowach, ale już szef frakcji Europejskiej Partii Ludowej w Parlamencie Europejskim Manfred Weber z bawarskiej CSU wieszczy: „Brytyjską premier Theresę May spotka w wyniku Brexitu ten sam los, co ucznia czarnoksiężnika z wiersza Goethego. Nie będzie ona mogła opanować energii, jaka zostanie wyzwolona przez obraną twardą linię postępowania". A Martin Schulz, szef SPD i kandydat socjaldemokratów na kanclerza, załamuje ręce nad losem Albionu. „Brexit jest gorzki dla UE, ale szczególnie dla W. Brytanii" – napisał na Twitterze. Jednak jest iskierka nadziei – brytyjski prounijny ruch „Pulse of Europe". „Tysiące młodych ludzi, którzy teraz protestują na ulicach na rzecz Europy, dodają nam odwagi" – podkreśla Schulz.

Inną pozytywną bohaterką niemieckich reportaży z Wysp jest Nicola Sturgeon, szefowa autonomicznego rządu Szkocji, która gromko zapowiada możliwą secesję swej ojczyzny z Wielkiej Brytanii.

Jednego tylko we wszystkich tych tekstach nie sposób odnaleźć – odpowiedzi na pytania: Dlaczego Brytyjczycy podjęli decyzję o odejściu? Dlaczego dobrowolnie rezygnują z unijnego raju?

Anglicy zawsze stanowili dla Niemców problem. Odrzucali wiele niemieckich idei na urządzenie kontynentu, a jednocześnie nie sposób było ich lekceważyć na wzór niepokornego Wschodu. To musi irytować. Szczególnie gdy coś aż tak wyzywająco nie pasuje do uświęconego niemieckiego wyobrażenia świata. ©℗

FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM

POLSKA HUBEM INNOWACYJNOŚCI

Do pomocy dla start-upów oraz wsparcia konkurencyjności w krajach V4 zobowiązali się w zeszłym tygodniu premierzy Polski, Czech, Węgier i Słowacji. Podczas Kongresu Innowatorów Europy Środkowo-Wschodniej szefowie rządów Grupy Wyszehradzkiej podpisali Deklarację warszawską, w której zobowiązali się m.in. do zacieśnienia współpracy w zakresie rozwoju technologii oraz promowania naszego regionu jako centrum badań i innowacji. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl a156d6168f

ZAINWESTUJ W APARTAMENT

Z WIDOKIEM NA JEZIORO W SERCU KARKONOSZY

JUŻ OD **199 000 zł**

8%
stopa zwrotu

10 lat
umowa najmu z operatorem

30 lat
doświadczenia operatora

widok na góry i jezioro

wykończenie i wyposażenie w cenie

wprost

22 299 11 55 sprzedaz@lakehill.pl www.lakehill.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego. Podana cena jest ceną netto, cena brutto 244 770 zł i nie obejmuje miejsca postojowego, którego koszt to 10 000 zł netto, 12 300 zł brutto.

eprasa.pl a156d6168f

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Etos dla wybranych

Ta »dobra zmiana« straszliwie nas uderzyła po kieszeni. Straszliwie" – mówił Adam Michnik na spotkaniu KOD, wyjaśniając, dlaczego „Gazeta Wyborcza" zwalnia kilkuset pracowników, pozostałym obniża pensje i wierszówki, zamyka lokalne wydania oraz wyprzedaje należące do niej nieruchomości i niedawno kupiony kanał telewizyjny. Co prawda, o czym już Michnik nie wspomniał, „dobra zmiana" – zdaniem analityków rynku – mocno też wydającej jego gazetę spółce Agora pomogła programem „500+", za którego sprawą bardzo wzrosły obroty w należących do niej kinach. Jednak fakt, że bez prenumerat i ogłoszeń za pieniądze podatnika na tym wolnym rynku, który od ćwierć wieku tak Polakom zachwalała, „Gazeta Wyborcza" nie jest w stanie sobie poradzić, nie ulega wątpliwości.

W ubiegłym roku tzw. management Agory zarobił o 5,7 mln zł więcej niż za czasów przed „dobrą zmianą"

Sam Michnik w tej sytuacji zwracał się do swoich pracowników (słowo „dziennikarz" jakoś nie przechodzi w ich kontekście przez usta) z przesłaniem bardzo płomiennym: „Wiem, że was to boli, ale trzeba zacisnąć pasa i przetrwać, walczymy przecież o wolność i demokrację". I zdaje się, że frajerzy w większości mu uwierzyli.

Zapewne więc bardzo ucieszyła ich wiadomość (jeśli do nich dotarła, bo możliwe, że „się wydaje dla nich osobne pisemko", jak w znanej piosence) o najnowszym raporcie rocznym spółki Agora. Wynika z niego, że w ubiegłym roku tzw. management Agory zarobił ponad 8,5 mln zł. To znaczy o 5,7 mln zł więcej niż za czasów przed „dobrą zmianą", gdy kondycja spółki była nieporównanie lepsza.

Te 5,7 mln to dodatkowe premie, które zarząd Agory wypłacił sobie celem „zmotywowania" się do lepszego zarządzania spółką. Przypadkiem suma premii wynosi prawie tyle samo, ile zarząd zaoszczędził, obcinając wynagrodzenia i honoraria pracownikom gazety.

No cóż, sprawę można wyjaśnić na dwa sposoby. Zarząd – wiecie, rozumiecie – to zwykli ludzie od biznesu. Trzeba ich motywować pieniędzmi, bo ich morale stoi nieskończenie niżej niż pracowników frontowych, ideowych, których wystarczająco motywuje etos walki o wolność i demokrację.

Innymi słowy – i to jest drugie wyjaśnienie – „głodny pies lepiej się złości". Jak wam nie wstyd w tej gazecie w ogóle domagać się pieniędzy? Tam jest PiS, widzicie? Huzia, bierz go! ©℗

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O rybakach ludzi

Włoska prokuratura rozpoczęła śledztwo w sprawie statków organizacji charytatywnych, które przewożą imigrantów z wód terytorialnych Libii do Włoch. Podejrzewa, że współpracują z libijskimi gangami organizującymi proceder przemytu ludzi.

Łodzie libijskich przemytników wypływają zaledwie kilka mil w morze. Zazwyczaj w nocy, w kierunku zapalonych reflektorów statków wynajętych przez organizacje pomocowe. Po przeładunku przemytnicy wracają bezpiecznie do portów, a statki przewożą żywy towar dalej – do Italii.

Prokuratura w Katanii wskazuje, że koszt utrzymania małego statku sięga 10 tys. euro dziennie. Podejrzewa, że część, jeśli nie całość, tych kosztów pokrywają libijscy gangsterzy. Jednak udowodnić to będzie bardzo trudno, bo organizacje pomocowe wynajmują statki pływające pod banderą rajów podatkowych. Tego, kto, ile, komu i kiedy zapłacił, ustalić się nie da.

Prokurator Carmelo Zuccaro powiedział wprost, że statki organizacji charytatywnych nie zajmują się pomocą na morzu, ale transportem imigrantów z Libii na odległą Sycylię czy Sardynię, zamiast do najbliższego portu. Czyli niejako pomagają w przestępstwie. Współpraca pięknoduchów z gangsterami kwitnie, bo przemytnicy unikają w ten sposób spotkania z włoską marynarką wojenną, czyli więzienia i sekwestru łodzi. Wyraz frustracji całą sytuacją dał w „Corriere della Sera" adm. Enrico Credendino, szef włosko-unijnej misji u wybrzeży Libii: „»Ratują« nie ci, co trzeba, i nie jak trzeba".

Pani się topi i woła pomocy. Z pomostu do skoku przymierza się zażywny, łysawy jegomość. Pani krzyczy: „Nie, nie! Nie pan! Niech skacze ten przystojny blondyn!". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl a156d6168f

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Eurokorpus różnych prędkości

Czy warto rozdzierać szaty nad Eurokorpusem? I tak, i nie. O tej konstrukcji, powołanej w 1992 r. jako zaczątek unijnej struktury obronnej, mało kto słyszał, zapewne nie tylko w Polsce. Ambitne, niezrealizowane dotąd plany zakładały, że cały Eurokorpus będzie liczył 60 tys. żołnierzy, którzy będą mogli podejmować misje na ogół gdzieś daleko od Europy. Na obszarach średnio ważnych z punktu widzenia polskiej racji stanu. Eurokorpus zaprojektowano częściowo w opozycji do Sojuszu Północnoatlantyckiego ze Stanami Zjednoczonymi jako najważniejszą siłą. Znać w tym było rękę Francji, pozostającej poza strukturami wojskowymi NATO. Powróciła do nich dopiero w 2009 r., po 43 latach nieobecności.

Polska została państwem stowarzyszonym Eurokorpusu w 2002 r., zanim stała się członkiem Unii Europejskiej

Eurokorpus ma swoje państwa ramowe, które decydują o jego kształcie i działaniach – to Niemcy, Francja, Belgia, Hiszpania i Luksemburg – oraz państwa stowarzyszone. Polska została państwem stowarzyszonym w 2002 r., zanim jeszcze stała się członkiem Unii Europejskiej.

Wygląda zatem na to, że Eurokorpus większego praktycznego znaczenia nie ma. Jeśli chodzi o realne zdolności obronne, to nie ma on znaczenia absolutnie żadnego. To taka unijna zabawka. Państw ramowych, czyli tych, które decydują o przyszłości przedsięwzięcia i dostarczają mu żołnierzy, jest zaledwie kilka. O co więc szum?

Sęk w tym, że Polska stara się o status państwa ramowego od niemal 10 lat, a o rezygnacji z tych starań zdecydowała na początku tego roku. I, jak każda decyzja, również i ta jest oceniana w kontekście innych wydarzeń i działań. Przez długi czas obowiązywała w polskiej polityce europejskiej zasada, że – aby zapobiegać rozjeżdżaniu się UE – Polska bierze udział w każdej inicjatywie i w każdym projekcie, w którym brać może udział, aby jak najmniej działo się bez nas i poza naszym wpływem. Tę zasadę głosiła też partia Jarosława Kaczyńskiego w latach 2005–2007. Wycofywanie się ze starań o status państwa ramowego eurokorpusu łamie tę regułę i to w chwili, gdy Polska ogłasza, że zdecydowanie sprzeciwia się Unii różnych prędkości, a opozycja chce na siłę przyprawić PiS gębę ugrupowania niechętnego Wspólnocie.

Pozornie rozsądnie brzmi argument, że oficerowie oddelegowani do Eurokorpusu są potrzebni w Polsce, na wschodniej flance. Czy jednak dla ponadstutysięcznej polskiej armii naprawdę to musi być wybór zero-jedynkowy? ©℗

BRUTALNY NAPAD NA POLAKA NA WYSPACH

Gang nastolatków uzbrojonych w metalowe łomy i kije bejsbolowe napadł na młodego Polaka w brytyjskim mieście Stroud, położonym ok. 50 km od Oksfordu.

Grupa sześciu chłopaków i dwóch dziewczyn zaatakowała 15-letniego obywatela Polski w niedzielę 26 marca, gdy ten szedł chodnikiem ze swoją dziewczyną. Kiedy w obronie Polaka stanął 33-letni Amo Singh – właściciel sklepu, przed którym doszło do napaści – członkowie gangu nastolatków brutalnie go pobili, a następnie celowo potrącili go samochodem. Według cytowanej przez dziennik „Daily Mail" żony odważnego sklepikarza całe zdarzenie wyglądało na próbę zabójstwa, a napastnicy używali „rasistowskiego języka". Skatowany mężczyzna oraz pobity polski nastolatek trafili do szpitala, ale ich życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Według świadków cytowanych przez brytyjskie media chłopak został zaatakowany, ponieważ chuligani usłyszeli, że rozmawia z dziewczyną po polsku. Lokalna policja wydała jednak oświadczenie, w którym stwierdziła, że główną motywacją sprawców napadu nie była narodowość ofiary.

Bohaterski gest Amo Singha został doceniony przez internautów, którzy na stronie gofundme.com uruchomili zbiórkę pieniędzy na jego rzecz. ***(jap)*** ©℗

POKRÓTCE

Piotr Wierzbicki

Skwapliwe przestrogi

Po zamachu na polski konsulat w Łucku znów podniósł się chór skwapliwych przestróg, że na Ukrainie niektórzy nas nie lubią i że za tym niekoniecznie stoi Rosja. Jednak chyba większą troskę powinno budzić to, że w Polsce przyjaźń polsko-ukraińska też jakoś nie wszystkim się podoba i że pytanie: „Czy ktoś za tym stoi, czy nie stoi?" również nie byłoby od rzeczy. ©℗

eprasa.pl a156d6168f

BABA I GARY

Plotkarskie media donoszą, że Hanna Lis zabiera się do pisania książki kucharskiej! Miałaby się ona ukazać jeszcze w tym roku. W wywiadach dziennikarka podkreśla za to, że odkąd porzuciła newsy dla show-biznesu, czuje, iż odżyła. – Nie tęsknię za dziennikarstwem informacyjnym. Wręcz przeciwnie. Podczas kręcenia odcinków „Bez planu" nieraz docierało do mnie, że za długo żyłam polityką i może wcześniej powinnam była odkryć inną drogę – mówi. – Gotowanie bardzo mnie relaksuje. Kocham karmić swoich bliskich! – wyznaje Lis. Feministki nie będą zachwycone takimi wyznaniami, ale nas niespecjalnie to obchodzi. Jak rzadko kiedy zgadzamy się z Hanną Lis. Też wolimy ją przy garach niż w „Wiadomościach".

FOT. PAWEŁ GROMADA

APOKALIPSA MUCHY

Nie tylko Hanna Lis marzy o napisaniu książki. Okazuje się, że podobne marzenie miała posłanka i była minister sportu w rządzie PO Joanna Mucha. Miała i je zrealizowała. Plotkarskie media informują, że już pod koniec kwietnia w księgarniach ukaże się jej debiutancka powieść! Wydawnictwo zachwala, że książka „Wszystko się stało" opisuje „tajemniczy kataklizm, który zamienił ludzi w poddanych pierwotnym instynktom dzikich". „Urzędniczka Anna razem z urodzoną na wsi Teresą próbują przetrwać w nowym, groźnym świecie. Gdy nie obowiązują już żadne prawa, każdy może ustalić sobie własne reguły. Przejmujący obraz świata po katastrofie, w którym pod warstwą znakomitej rozrywki kryją się pytania o prawdziwą naturę człowieczeństwa i siłę naszej cywilizacji" – czytamy w zapowiedzi książki.

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Mucha zapewnia, że w książce nie będzie raczej politycznych aluzji. – Jest tam nieco publicystyki, ale proszę mi wierzyć, że książka nie nawiązuje do polskiej polityki. Miałam ją w głowie od 2014 r., więc przed wydarzeniami politycznymi w kraju, do których nawiązanie kilka osób widziało w książce – mówi Mucha. Według wydawnictwa książka Muchy to thriller postapokaliptyczny. Czyli tak jak jej cała działalność polityczna.

POWRÓT POETKI

Skoro jesteśmy już w temacie pisarek wybitnych, to dawno nie było nic o Isabel Marcinkiewicz. Tymczasem sporo się u niej dzieje. Po tym jak napisała książkę, w której opisała swoje przeżycia związane z małżeństwem z Kazem, postanowiła porzucić prozę i wrócić do pisania poezji. Mając w pamięci poetycką twórczość Isabel, z niecierpliwością czekaliśmy na kolejne przejawy jej talentu. W nowym wierszu była żona Kaza pisze o tym, że marzy, by „znaleźć mężczyznę, nie chłopaka", ale „broń Boże polityka, ani prawicowca, ani lewicowca". Zastanawia się nad kucharzem, który zgotuje jej „życie o smaku miłości, przyprawione szczyptą spokoju i nutką lekkiej ekscytacji, podane na talerzu pełnego szacunku i zrozumienia, zakończone lampką wytrawnej rozmowy i uśmiechem, z oczekiwaniem na kolejny dzień degustowania nowych potraw codzienności". Jak dobrze, że Kaz wytrzasnął skądś tę Isabel i ofiarował ją tabloidom i Internetom. Gdyby jej nie było, to należałoby ją wymyślić! Dla dobra ludzkości. I rubryk satyrycznych.

WIEK PRZEDSZKOLNY

Restauratorka Magda Gessler w niedawnym wywiadzie przyznała, że jest aniołem, a właściciele restauracji, w których gościła, dziękują Bogu, że mieli szansę ją spotkać na swej drodze. W poprzednich mówiła też, że jest Matką Boską polskiej gastronomii, Zorro albo królową. Skromność to – jak widać – jej drugie imię. Tym razem Magda Gessler mówi, że to, co robi, jest wyjątkowe i zazdrości jej tego nawet jej własny mąż. – Mój mąż ciągle mówi: zaplanujmy wspólną przyszłość, odpocznijmy, skończ z tą pracą. On zawsze chciał być muzykiem, zresztą nadal chce. Czasem zazdrości mi, bo też marzy o tym, by robić coś wyjątkowego – wyznaje Gessler. – Myślę, że z tego wynika jego niezrozumienie. Chociaż jest świetnym lekarzem – dodaje. Gessler mówi też, że czuje się o wiele młodziej, niż wynika to z metryki. – Pogodziłam się z wiekiem, bo wiem, że jestem młodsza umysłowo, niż wskazuje moja metryka – podkreśla. Po wywiadach trochę widać, że jest w tyle za rówieśnikami. Żeby się tym tak jednak wszem wobec chwalić?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a156d6168f

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, pewnie duża część z Was urodziła się w latach 80 i 90, dlatego należymy wszyscy do pokolenia Unii Europejskiej, ciepłej wody w kranie i Orlików. Wszyscy też jesteśmy targetem „powieści pokoleniowej" o zmaganiach młodych osób z szarą rzeczywistością tego kraju. Na wypadek, gdybyście i wy chcieli napisać taką powieść, przygotowaliśmy check-listę, co powinno się w niej znaleźć:

Przez ten Wiosen na spacer wyjść nie można. Zrobiło się cieplej i od razu na miasto wyszli beneficjenci „500+" pchający te wózki z dziećmi, a w wózkach pewnie poupychane butelki wódki i papierosy

– główny bohater ma problemy z tożsamością i nie może sobie znaleźć miejsca w życiu;

– przyjechał z Polski B (Wałbrzych, Suwałki, Krosno, Koszalin – byle jak najdalej od Warszawy) do wielkiego ośrodka;

– generalnie jest nieszczęśliwy i nic mu się nie podoba;

– jeśli już coś mu się podoba, to i tak nie ma szans, żeby to osiągnąć;

– odczuwa w życiu pustkę, którą próbuje wypełnić bezuczuciowym seksem;

– ma przynajmniej trzy parafilie, w tym jedną, o której wstydzi się mówić – pisze o niej tylko na blogu;

– pochodzi z patologicznej rodziny, w której wystąpiły przynajmniej dwa spośród zjawisk: bezrobocie, dominująca rola ojca, alkoholizm, bieda;

– jest uzależniony przynajmniej od jednej rzeczy, mile widziane uzależnienia kombinowane np. seks – alkohol albo narkotyki – praca w korpo na trzy zmiany;

– nie ma znajomych i nikt go nie lubi;

– ma depresję/skłonności samobójcze/nieuporządkowane skłonności homoseksualne/fobię społeczną (wybierz dwa);

– akcja rozgrywa się w nocy;

– pada;

– jest późna jesień albo wczesna wiosna;

– ludzie dookoła są brudni, biedni, noszą wąsy i piją tanie piwo;

– nie ma niczego pięknego, sympatycznego czy chociażby wywołującego uśmiech.

Gotowi? No to do pisania. Nisza na rynku jest ogromna xD

Tymczasem u nas w korpo zmiany, zmiany, zmiany. Przychodzimy ostatnio na korpostołówkę, spodziewając się, iż jak zawsze Nowy z Tarnowa będzie się obżerał mięsem, za nic sobie mając naszą wrażliwość, a tam Nowy siedzi nad sałatką z roszponki, smętnie dłubie w niej widelcem i wzdycha zrozpaczony.

Zapytaliśmy go: „O co kaman, Andrzeju?". Na co Nowy odparł, iż skoro przyszła Wiosna, to osobożona kazała mu się odchudzić, iż jej zdaniem Nowy zrobił się gruby (czyli mówiąc tolerancyjnie: grawitacyjnie uposażony).

Zachciało nam się śmiać, iż Nowy zawsze powtarzał, klepiąc się po brzuchu, iż prawdziwy chłop musi być przy kości, iżby pokazać, że się mu powodzi – nie to, co te chude lewaki. A teraz Nowy sam zostanie chudym lewakiem i jeszcze będzie nas prosił o kiełki sushi xDD

W ogóle to przez ten Wiosen na spacer ostatnio wyjść nie można. Zrobiło się cieplej i od razu na miasto wyszli beneficjenci „500+" pchający te wózki z dziećmi, a w wózkach pewnie poupychane butelki wódki i tanie papierosy. Przytłaczają nas takie widoki.

Co gorsza, nie będzie gdzie przed tym uciekać, bo nie dość, iż państwo pobuduje specjalnie dla nich te osiedla slumsów, które będą psuć nasz uporządkowany miejski krajobraz, to jeszcze za te „500+" porozjeżdżają się po tym kraju i po zagranicy. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl a156d6168f

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Warszawa żyje plotką, że Adam Bielan ma zostać nowym Srebrnym Lisem Dyplomacji, a poprzedni, czyli Waszczu – już tylko Waszczem. Zasięgnęliśmy w tej sprawie informacji w rządzie. – No pewnie, że byłby najlepszy – usłyszeliśmy w odpowiedzi. – Tylko ma niewłaściwą partyjną legitymację.

Kaczor-Dyktator ceni jednak Adama Bielana, więc nigdy nie wiadomo, jak rzecz się skończy. Źli ludzie sugerują, że przy wszystkich zaletach Bielan mało zna się na sprawach unijnych. Jednak przecież od tego mógłby mieć Kondzia Szymańskiego – odpowiadają inni. Proponujemy wypróbowane rzymskie rozwiązanie. Triumwirat. Trzech ministrów spraw zagranicznych z podziałem obowiązków. Bielan bierze USA, Kondzio bierze Europę, a Srebrny Lis Dyplomacji czasem powie coś do śmiechu.

W sumie trochę nam żal Bielana, podobnie jak marszałka Senatu Stanisława Karczewskiego. Pełnią oni w ekipie dobrej zmiany taką funkcję jak Harvey Keitel w „Pulp Fiction" – sprzątają po cudzych zbrodniach. Niech no tylko ktoś palnie coś wyjątkowo głupiego, to do naprawy wizerunku wysyła się Bielana i Karczewskiego.

Dawny kumpel Bielana, Misio Kamiński, oświadczył, że nie chce pomagać rządowi premier Bełaty. Przypomnieliśmy sobie, z jakim efektem Misio pomagał innym rządom. W 2007 r. Kaczor-Dyktator przegrał wybory w stosunku 32 do 41 proc. W 2015 r. Ewka Kopacz przegrała wybory w stosunku 24 do 37 proc. Aż strach pomyśleć, jaki wynik osiągnie kolejna ekipa, której zechce pomagać.

Zmieszanymi uczuciami przyjęliśmy wiadomość, że Rychu Czarnecki chce być szefem Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Nie wiemy, czy ma odpowiednie kwalifikacje. W odróżnieniu od Aleksandra Kwaśniewskiego, który lubił wódkę, Rychu preferuje bowiem wino.

Uwaga, mamy dowód na to, że minister Jan Szyszko chroni środowisko! Jeździ do pracy razem ze swoim rzecznikiem, niejakim Muchą. A to dlatego, że mieszkają w tej samej okolicy. Skoro jeżdżą razem, to środowisko zatruwane jest nie przez dwa samochody, lecz przez jeden. Co było do udowodnienia.

Minister Szyszko nie czyta i nie ogląda mediów mainstreamowych, więc możemy pisać o nim, co chcemy – i tak się nie dowie. A jakie czyta? No te patriotyczne. Na przykład całostronicowe ogłoszenie wyliczające zalety ustawy o ochronie przyrody zamieścił tylko w jednej gazecie – „Naszym Dzienniku". Nie wiemy, co na to koledzy z „Gazety Polskiej. Codziennie". Prawdopodobnie już piją z rozpaczy, że ktoś ich wyzywa od mainstreamu.

Mówimy: „Nasz Dziennik", myślimy: Toruń. Widzieliśmy ostatnio wicepremiera Gowina z krawatem ozdobionym logo Torunia. Przypadek?

Za nami dni przyjaźni polsko-węgierskiej w Piotrkowie Trybunalskim. Tę zacną imprezę uświetniła pikieta członków KOD, którzy na widok prezydenta Węgier zaczęli skandować: „Macierewicz do psychiatryka!". Możliwości są dwie. Albo nie potrafią odróżnić Macierewicza od prezydenta Węgier, albo wzywają Węgry do interwencji w Polsce.

Wciąż nie możemy dojść do siebie po tym, jak „Lisweek" ujawnił, że w Polsce niektórzy ludzie się modlą. W dodatku niektórzy z tych ludzi zostają rodzicami prezydenta Andrzeja Sebastiana lub – co gorsza – zostają nawet prezydentami Andrzejami Sebastianami. Uważamy, że „Lisweek" powinien coś z tym zrobić. Może chociaż zażądać, żeby modlili się po niemiecku?

Apropos spraw niemieckich – wiemy już, dlaczego Angela Merkel tak się uparła, żeby Donald Tusk dalej był królem Europy. Popatrzcie na zdjęcia

eprasa.pl a156d6168f

z ubiegłego tygodnia – ktoś musiał być tym frajerem, który przyjmie od Anglików pismo informujące o tym, że wychodzą z Unii Europejskiej. Tak się przechodzi do historii.

Z zainteresowaniem śledzimy tabloidy publikujące zdjęcia króla Donalda spacerującego po Brukseli. Wynika z nich niezbicie, że coś jednak Tuskowi wyszło: Wielka Brytania z UE oraz włosy.

Bardzo lubimy prasę KOD. Dowiedzieć się z niej można ciekawych rzeczy. Na przykład w kwietniowym numerze „Naszego Czasopisma" znaleźliśmy zabawne opowiadanie. Jego bohater, Prezes, żąda od Adama Hofmana (w tekście – Hofmandera) okazania przyrodzenia. A następnie wyśmiewa jego skromne rozmiary. Nie bawiliśmy się tak od czasu wizyty w zoo, gdzie można zobaczyć małpy rzucające własnymi ekskrementami.

Zamiast Biura Ochrony Rządu powstanie Państwowa Służba Ochrony. Przyznają państwo, że to błyskotliwość godna resortu Mariusza Błaszczaka. W skrócie PSO. Skoro kiedyś mówiło się „BOR-owcy", to jak się będzie mówić teraz?

Były szef BOR Andrzej Pawlikowski nie zostanie jednak ambasadorem w Kenii. Zamiast Pawlikowskiego na Czarny Ląd wybiera się niejaki Marek Kanabus. Karierę zaczynał za komuny jako teletypista w Animexie, a potem telegrafista w dyplomacji. Nie wiemy, jak to powiedzieć ministrowi Waszczykowskiemu, ale takich funkcji nie obejmowali ludzie z przypadku. Ale co my tam wiemy. Najważniejsze, że podobno Bełata go lubi, bo fajnie jej wizyty organizuje jako wicek w protokole dyplomatycznym.

Jeden z członków rządu streścił nam rozmowę między minister Rafalską a nadpremierem Morawieckim na temat pomysłu „10 000+", czyli nagradzania emerytów kasą za to, że nie pójdą na emeryturę. Chcieliśmy podzielić się z państwem tą wymianą zdań, ale redakcja przypomniała nam, że to nieładnie tak przeklinać.

Teraz o cyfryzacji. Przy okazji sprawy e-dowodów jako ekspert bryluje niejaki Wiesław Paluszyński. Media łykają jego mądrości jak prawdę objawioną z ust przedstawiciela jakiejś tam izby informatyki i czegoś tam. Gdyby zajrzeli jednak do IPN, rychło by się przekonali, że to taki sam specjalista jak Gromek Czempiński. Jednak Gromek był za komuny przynajmniej oficerem, a Paluszyński był zarejestrowany jedynie jako zwykły TW „Bogdan".

W TVP odkryliśmy, że obok studia, z którego emitowane jest „Pytanie na śniadanie", znajduje się pomieszczenie opatrzone tabliczką z napisem: „Pokój oczekiwań". Nie wiemy jak u innych, ale nasze oczekiwania zawsze były bardzo wysokie.

Apropos książek: będzie już ze dwa lata, jak informowaliśmy, że Ryszard Legutko pisze książkę o presokratykach (to tacy filozofowie działający przed Sokratesem). Ostatnio dowiedzieliśmy się natomiast, że Rafał Grupiński opatruje przypisami nowe wydanie „Iliady" Homera. Zaiste, wojna między PiS a PeŁo przybiera zaskakujący obrót.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Shahad ma 6 lat. Przyszła na świat w Syrii.

Pierwsze lata dzieciństwa spędziła wśród gruzów. Od trzech lat, wraz z setkami innych syryjskich dzieci mieszka w Kaa, w Libanie.
Chcemy tam zbudować dla nich szkołę.
Jeśli nie pomożemy im już teraz, będzie to pokolenie stracone.

Już **3 miliony** syryjskich dzieci nie zna innej rzeczywistości niż wojna. **Nie możemy ich tak zostawić**. To one będą musiały odbudowywać swój kraj po wojnie. Potrzebujemy Twojej pomocy.
Każde **40**, **50** czy **60** zł pomoże nam przywrócić syryjskim dzieciom normalność.

W kolejnym numerze „Do Rzeczy" – prezent od Fundacji Salvatti.pl – ozdoba na wielkanocną pisankę.
Z wdzięczności za poświęcenie!

Pomóż teraz: Bank Pekao SA **44 1240 1095 1111 0010 3468 8020**
TYTUŁEM: 702R DAROWIZNA SYRIA
Fundacja Salvatti.pl, ul. Wilcza 8, 05-091 Ząbki

www.salvatti.pl

eprasa.pl a156d6168f

Z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim
rozmawia Maciej Pieczyński

Ludobójstwo jest wciąż przekłamane

MACIEJ PIECZYŃSKI: W Łucku ostrzelano z granatnika polski konsulat. Skoro w swoim arsenale od farby „nieznani sprawcy" przechodzą do granatów, to chyba sprawa robi się śmiertelnie poważna?

KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI: Tak. I dlatego jestem zszokowany wypowiedziami tych polskich polityków, którzy zaraz po zdarzeniu orzekli, że to rosyjska prowokacja. A skąd oni to wiedzą?! W interesie państwa polskiego jest przede wszystkim wysłać na Ukrainę polskich prokuratorów, którzy będą patrzeć na ręce Ukraińcom, nieudolnie i nieskutecznie badającym wszystkie dotychczasowe prowokacje antypolskie. W interesie Polski jest dopilnowanie tych śledztw, bo jak do tej pory Ukraina nie złapała nikogo. Ciągle pojawiają się kolejni nieznani sprawcy, którzy grasują głównie na Ukrainie Zachodniej. Co jeszcze się może stać?! Jak twierdzi konsul, granat uderzył 20 cm od okna pokoju, w którym spał pracownik konsulatu, więc to była wręcz próba zabójstwa, akt terroryzmu. Polscy politycy, którzy stawiają ideologię ponad zdrowy rozsądek, sami zachęcają do tych działań. Bo stwierdzenie a priori, że to zrobili Rosjanie, jest zachętą do dalszych prowokacji, które będą się moim zdaniem działy, tyle że na większą skalę. Następnym razem ktoś może zginąć. Proszę sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby w Polsce ktoś wystrzelił z granatnika w ambasadę amerykańską czy izraelską?! Reakcja władz byłaby natychmiastowa.

Swoją książkę o rzezi wołyńskiej zatytułował ksiądz: „Przemilczane ludobójstwo na Kresach". Dzisiaj dziewięć lat po jej wydaniu, tytuł chyba stracił aktualność?

Nie do końca. W walce o pamięć nastąpiły wprawdzie dwa przełomy. Pierwszym były uchwały Senatu i Sejmu, które jednoznacznie ludobójstwo nazwały ludobójstwem, potępiły sprawców, czyli UPA i Waffen-SS „Galizien", oddały cześć sprawiedliwym Ukraińcom oraz rodzinom kresowym, które w myśl hasła: „Nie o zemstę, lecz o pamięć wołają ofiary" upominały się o prawdę. I to się stało, ale dopiero po 27 latach istnienia III Rzeczypospolitej. Równie ważnym przełomem był film „Wołyń" Wojciecha Smarzowskiego. Jednak spór o ludobójstwo trwa.

Niektórzy twierdzą, że chodzi księdzu nie tylko o pamięć, lecz także o zemstę.

Dziwię się, dlaczego politycy i publicyści tak przejmują się tym, co mówi prywatna osoba. Nie pełnię żadnych urzędów, wyrażam tylko swoje opinie, a jestem atakowany, jakbym to ja był za coś odpowiedzialny. Politycy przez 27 lat nie odrobili lekcji Wołynia i jeżeli chcą się bić w czyjeś piersi, to niech się biją we własne. Ja nigdy nie wzywałem do zemsty, to ewidentne kłamstwo. Jako krewny ofiar i duszpasterz środowisk kresowych domagam się jednak, aby powiedziano prawdę do końca.

O Wołyniu mówią i piszą wszyscy, co widać też po nowościach wydawniczych na półkach księgarń. Pamięć o zbrodni istnieje. Czego jeszcze trzeba?

Przede wszystkim trzeba pochować kości ludzi, którzy zostali pomordowani, a po 70 latach nadal nie doczekali się pochówków chrześcijańskich. Na mogiłach masowych, w których spoczęli, nie ma upamiętnień. Jeżeli gdzieś stawia się krzyże, to robią to głównie rodziny ofiar. Zarówno Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, jak i Ministerstwo Kultury sprawę tę zaniedbały. Kolejny krok to edukacja. O ludobójstwie na kresach w podręcznikach szkolnych albo się nie pisze, albo się pisze zdawkowo. Jeśli młodzież poznaje prawdę o Katyniu, to niech też pozna prawdę o Wołyniu. Trzecia sprawa, nadzwyczaj ważna: rząd nie reaguje na gwałtownie postępującą na całej Ukrainie gloryfikację zbrodniarzy, którzy mordowali obywateli polskich. Przypomnę, że 9 kwietnia 2015 r. (w dniu wizyty prezydenta Komorowskiego) parlament ukraiński przyjął ustawę, która daje możliwość skazania sądownie tych, którzy krytykują OUN-UPA, w tym także obcokrajowców. Dla przykładu, za obronę prawdy o ludobójstwie został ukarany zakazem wjazdu na Ukrainę prezydent Przemyśla. Ostatnio doszło do wielu aktów wandalizmu na pomnikach, władze polskie milczą i nie chcą w żaden zdecydowany sposób reagować. Piszą tylko kurtuazyjne listy, które nic nie oznaczają. Przyszedł czas, by prezydent Andrzej Duda też powiedział publicznie prawdę o ludobójstwie i stanął w obronie

eprasa.pl a156d6168f

FOT. ŁUKASZ SZELEMEJ/EAST NEWS

tych ludzi, którzy są za tę prawdę szykanowani.

Także dzięki oddolnej inicjatywie księdza temat Wołynia już nie jest przemilczany. Czuje się ksiądz za to szykanowany?

To jak walka Dawida z Goliatem. Oddolną inicjatywę rodzin ofiar ludobójstwa na Wołyniu próbują zniszczyć politycy i lobbyści na rzecz spraw ukraińskich, za którymi stoją ogromne pieniądze. To tak samo, jakby ktoś atakował rodziny ofiar Holokaustu, co jest przecież niewyobrażalne. Ja wykonałem pracę za państwo, które nie potrafiło przez 27 lat uporać się z tym problemem. I za to jestem dziś atakowany. Poprawność polityczna w III RP jest taka sama, jak była w PRL, nie różni się też niczym od zachodnioeuropejskiej poprawności politycznej.

Jan Olszewski dziś też jest osobą prywatną, pozbawioną wpływów, rzadko obecną w mediach. A jednak za wywiad dla „Do Rzeczy" dostało mu się od księdza...

Olszewski dopuścił się daleko idącej nieuczciwości. Nie jest ekspertem od tych spraw. Bronił UPA, przedstawiając ją jako organizację, która co prawda ma krew na rękach, ale walczyła z Sowietami, więc trzeba jej wszystko wybaczyć. To narusza pamięć ofiar. Nie neguję zasług Olszewskiego dla wolnej Polski, ale jego atak personalny pokazuje wyraźnie, co czeka tych, którzy upominają się o prawdę.

To nie był jednak personalny atak. Olszewski przyznał, że ksiądz ma prawo głosu jako krewny ofiar, krytykował natomiast Pawła Kukiza za polityczne wykorzystywanie tematu Wołynia.

To jest oszczerstwo wobec Kukiza i tylko pokazuje, że Olszewski wybiela banderowców. Tytuł wywiadu dla „Do Rzeczy": „UPA to nie tylko zbrodniarze" brzmi jak: „Niecałe SS mordowało Żydów". To jest daleko idące przekłamanie historii. Wcześniej mówiłem o przemilczanym ludobójstwie, a teraz można mówić o przekłamanym ludobójstwie. Skupmy się na klasie politycznej. Mogę zacytować wielu polityków i z PO, i PiS, którzy za swojego wroga uważają rodziny pomordowanych, bo „psują dobre relacje z Ukrainą". Winni są ich zdaniem nie banderowcy, ale ci, którzy mówią i piszą o banderowcach. Jeżeli z jednej strony Jarosław Kaczyński słusznie mówi, że Ukraina nie wejdzie z Banderą do UE, jeżeli PiS głosuje za prawdą o ludobójstwie, ale jednocześnie na tak ważne stanowisko ambasadora w Kijowie minister Waszczykowski mianuje nie dyplomatę, ale dziennikarza, który znany jest ze swoich skrajnych i kontrowersyjnych poglądów, to można powiedzieć, że za słowami prezesa PiS nie idą czyny. Nasz przedstawiciel powinien bronić spraw polskich, a więc również prawdy o ludobójstwie, a wygląda to tak, jakby Jan Piekło reprezentował interesy nacjonalistów ukraińskich. To jest jakaś paranoja! Na Ukrainie dochodzi do czterech z rzędu antypolskich incydentów, a polski ambasador od razu stwierdza, że to rosyjskie prowokacje. A skąd on to wie?! Przecież nikogo nie złapano! Niezależnie od tego, czy zrobili to banderowcy, czy agenci rosyjscy, obowiązkiem ambasadora jest to wyjaśnić, zbadać sprawę, a nie opowiadać propagandowe bajki. Działalność Jana Piekły szkodzi w dążeniu do prawdy.

PiS zdaniem księdza bardziej szkodzi prawdzie o Wołyniu niż PO?

I w PiS, i w PO są ludzie, którzy ewidentnie lobbują na rzecz Ukrainy i poświęcają pamięć o kresach, żeby się dogadać z ukraińskimi oligarchami. Dzisiaj Ukrainą rządzi bowiem oligarcha Poroszenko, który prowadzi interesy z Rosją. Tymczasem Polacy dążący do prawdy są wyzywani od ruskich agentów. Sytuacja jest taka jak w PRL, kiedy amerykańskim agentem był każdy, kto mówił głośno o Katyniu. Przyszedł taki czas, że Jarosław Kaczyński powinien się zdecydować: albo zależy mu na prawdzie i poparciu rodzin kresowych, albo poświęca to dla dobrych relacji z oligarchami. Nie wierzę, by politycy PiS pozwalali sobie wbrew Kaczyńskiemu atakować uczciwych polskich patriotów. Oczekuję też od pana prezydenta Dudy, że przerwie milczenie w tej sprawie. Był dwukrotnie na Ukrainie i nie powiedział ani słowa na temat ludobójstwa. Nigdy nie udał się ani na Wołyń, ani na Podole, żeby uczcić rodziny pomordowanych przez UPA. Ja rozumiem, że potrzebne są dobre relacje z Ukrainą,

eprasa.pl a156d6168f

ale nie za cenę przemilczenia i geszeftu z oligarchami ukraińskimi.

Antypolskie incydenty jednoznacznie potępili szef ukraińskiego IPN Wołodymyr Wjatrowycz i rzecznik Prawego Sektora Artiom Skoropadski. Pomnik w Hucie Pieniackiej odbudowali sami Ukraińcy.

Pomnik został odbudowany, ale przy tym też ocenzurowany. Bez wiedzy i zgody rządu polskiego usunięto z monumentu bardzo ważny cytat z chorału Ujejskiego: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej do Ciebie, Panie, woła ten głos". Ambasador Piekło w tej sprawie schował głowę w piasek. Ministerstwo nie reaguje. To typowe dla polskich władz: cokolwiek by zrobiła Ukraina, ustępujemy. Co to za państwo, w którym dochodzi do wielu prowokacji i nikt nie potrafi złapać „nieznanych sprawców"?! Przecież obiektem ataków były także polskie placówki dyplomatyczne we Lwowie i w Kijowie, a nie pomniki ukryte gdzieś w lasach. Państwo ukraińskie ewidentnie nie daje sobie z tym rady. Przy czym dziwne jest, że za każdym razem bez żadnych dowodów Ukraińcy zrzucają winę na rosyjskich prowokatorów. Polska prokuratura powinna włączyć się do śledztwa, zbadać te wszystkie miejsca, mieć wpływ na szukanie sprawców, wgląd w dokumentację. Nieudolne śledztwo rozzuchwala sprawców. A jeśli następnym razem nie zdewastują pomnika, ale kogoś zamordują? To co? Znów Polak będzie mądry dopiero po szkodzie?! Dwa lata temu w centrum Kijowa został zastrzelony dziennikarz Ołeh Buzyna. Też od razu powiedziano, że to zrobili Rosjanie, ale później okazało się, iż winę ponoszą żołnierze batalionów banderowskich. Trzy lata temu w Odessie zamordowano 50 osób. Nie było procesu, nie skazano sprawców. Jeżeli w sprawie tak straszliwej zbrodni Ukraina nie potrafi nic zrobić, to tym bardziej nie wierzę, że zrobi coś w sprawie pomników. Prezydent Duda powinien publicznie domagać się od Kijowa wyjaśnienia tych spraw, ochrony polskich placówek i pomników. Nie wiem, kto to zrobił, ale Poroszenko jest tak skompromitowanym prezydentem, że mogą to być rozgrywki wewnętrzne, być może inspirowane przez Moskwę albo przez oligarchów, którzy chcą głowę państwa obalić. Tym bardziej trzeba to wyjaśnić.

Obchody upamiętniające 73. rocznicę pomordowania mieszkańców Huty Pieniackiej, luty 2017 r. FOT. DAREK DELMANOWICZ/PAP

Ukraińcy, chwaląc się odbudową pomnika, zaznaczyli, że upamiętnia on ofiary „nazistów". Ani słowa o ukraińskich nacjonalistach.

To próba fałszowania historii. W Hucie Pieniackiej mordowali Ukraińcy z Waffen-SS „Galizien" pod komendą niemiecką, a pomagali im rodacy z sotni UPA. Podobnie jak w przypadku „polskich obozów" próbuje się wszystko zrzucić na jakichś mitycznych nazistów, bliżej nieokreślonych narodowo.

Na uroczystym odkryciu monumentu pojawił się lwowski historyk z flagą UPA...

Tak, a polskie MSZ wciąż powtarza tylko: „Polacy, nic się nie stało". Pan Waszczykowski chwali się, że przekazał Ukrainie z kieszeni polskich podatników 30 mln zł. Przy tym stopniu korupcji, jaka tam panuje, wiadomo, że znaczna część zostanie zdefraudowana. Powstaje też pytanie, dlaczego MSZ nie przekazuje tych pieniędzy polskim stowarzyszeniom, szkołom, organizacjom charytatywnym na Ukrainie. Wspieramy Ukrainę, zapominając o mieszkających tam naszych rodakach, o których nikt się nie troszczy. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego co innego mówi Kaczyński, a co innego Waszczykowski. Czy to znaczy, że PiS nie stać na stanowczość wobec Kijowa, czy może nie chce walczyć o prawdę, a słowa prezesa to kamuflaż dla wyborców? Jak za PO tak i teraz ilość pieniędzy przepompowywanych z Polski na Ukrainę jest ogromna. To są miliony, które płyną na Wschód bez kontroli, z pominięciem organizacji polonijnych, które na te środki bardziej zasługują niż Kijów. Wspierając Ukrainę, nie kupujemy jej poparcia, ale wspomagamy rozwój banderyzmu.

Skoropadski w wywiadzie dla „Do Rzeczy" mówił o wieszaniu wrogów, ale nie miał na myśli Polaków...

Naiwnością byłoby wierzyć, że będą wieszać zawsze tylko Rosjan, a Polaków oszczędzą. Wspieranie ideologii, która mówi o odwecie, o zabijaniu, pozbywaniu się zdrajców, to samobójstwo.

Jednakże podczas marszu Orląt Przemyskich i Lwowskich część narodowców miała skandować hasła: „Śmierć Ukraińcom" oraz „Przemyśl, Lwów zawsze polski". Może uderzmy się czasem we własne piersi?

Mnie tam nie było, więc nie znam sprawy. Jestem przeciwny wszelkim aktom nienawiści, niezależnie od tego, przeciw komu są kierowane. Jeśli coś takiego się zdarzyło, to niech policja złapie konkretne-

eprasa.pl a156d6168f

go sprawcę. Nie należy stosować odpowiedzialności zbiorowej.

A co z niszczeniem grobów ukraińskich na cmentarzu w Pikulicach? Tutaj też są nieznani sprawcy. Podobnie jak na Ukrainie.

Nie ma znaku równości między pomnikami ofiar UPA i Waffen-SS „Galizien" na Ukrainie a upamiętnieniami UPA. Według polskiego prawa te pomniki są nielegalne. Każdy ma prawo do grobu, ale jest różnica między grobem a upamiętnieniem z symbolem UPA. Drogą prawną powinno się uporządkować te sprawy, czyli usunąć elementy gloryfikujące, zostawić groby – proszę bardzo – w Polsce groby mają Niemcy, żołnierze Armii Czerwonej, Żydzi. Taka jest tradycja polska – grób powinien być. Samowolki nie popieram.

Wandale niszczą groby, a tymczasem historycy z obu krajów spotykają się, dyskutują... Może Grzegorz Motyka i Wołodymyr Wjatrowycz na poziomie nauki osiągną to, co nie udaje się politykom?

Nieważne, czy historycy sobie pogadają, czy nie. Wspomniana ustawa cenzurująca krytykę UPA obowiązuje do dziś. Mamy więc do czynienia z problemem politycznym, a nie historycznym. Motyka pisał kiedyś zbyt pozytywnie o UPA, ale – chwała Bogu – wreszcie zaczął używać słowa „ludobójstwo" w swoich pracach. Natomiast przeciwko udziałowi Wjatrowycza w konferencji na temat Holokaustu na Sorbonie zaprotestowała znaczna grupa zachodnich historyków.

Wjatrowycz to nie tylko historyk, ale i propagandysta, jednak wciąż siada do rozmów z Polakami...

Negacjonista wołyński Wjatrowycz na stanowisku szefa IPN, a więc kreatora polityki historycznej Kijowa, to dowód na kłamliwość tezy, w myśl której banderowcy nie rządzą Ukrainą.

Niszczenie pomników jednak potępił.

Potępia, bo musi. Przecież sprawca się nie przyzna. Poza tym Wjatrowycz fałszuje historię, więc dyskusje z nim nie mają sensu. Zapraszać go do rozmów to jak zaprosić na konferencję poświęconą zbrodni katyńskiej rosyjskiego historyka, który uważa, że w Katyniu mordowali Niemcy. Tak samo nie rozumiem, po co dyskutować z takimi ludźmi jak Artiom Skoropadski, z którym robił pan wywiad. Ja wiem, że niektóre tabloidy publikują rozmowy z mordercami…

Skoropadski nie jest zbrodniarzem, tylko rzecznikiem legalnej partii politycznej.

Równie dobrze mógł pan rozmawiać z Ku Klux Klanem. Przestałem czytać „Do Rzeczy", bo w sprawie Ukrainy miotacie się od ściany do ściany: raz rzucacie się Ukrainie do stóp, raz ją krytykujecie…

Może jesteśmy po prostu obiektywni i cenimy dyskusję.

Skończmy ten temat, skupmy się na realnych problemach. Film „Wołyń" przeorał polskie społeczeństwo, pokazał prawdę, której politycy nie akceptują. Na premierze „Smoleńska" był prawie cały rząd, na „Wołyń" już bał się przyjść. Dniem próby będzie rocznica krwawej niedzieli. Zobaczymy, czy także w tym roku 11 lipca PiS zdezerteruje.

Ksiądz poinformował na swoim profilu facebookowym, że mieszkańcy Lublina walczą o zmianę nazwy skweru Tarasa Szewczenki na skwer Sprawiedliwych Ukraińców. Argumentują to antypolską wymową poematu „Hajdamacy" autorstwa ukraińskiego wieszcza. Czy jednak popieranie takich protestów nie jest przesadą? Po pierwsze, Szewczenko to poeta, nie zbrodniarz. Po drugie, poemat napisał w XIX w., opisując wydarzenia z XVIII w. Po trzecie, napisał też przyjazny wiersz „Do Polaków". Zaraz zaczniemy szukać wroga we wszystkim, co ukraińskie...

To manipulacja. Zamieściłem w Internecie relację z protestu i list organizatora Zdzisława Kogucika, bo wiem, że wobec potęgi cenzury proukraińskiej w Polsce trzeba nagłaśniać takie inicjatywy. Poza tym przecież antypolskie wypowiedzi Tarasa Szewczenki to fakt. Intencją organizatorów protestu było upamiętnienie sprawiedliwych Ukraińców, czyli tych, którzy ratowali Polaków w czasie rzezi. Nie wiem, dlaczego nie wolno o tym wszystkim mówić. Jestem osobą prywatną, a robi się ze mnie człowieka, który psuje relacje polsko-ukraińskie. Jeśli popełniam przestępstwo, to proszę iść z tym na policję albo do sądu kościelnego.

Ja tylko z księdzem dyskutuję. Ksiądz każdą różnicę zdań traktuje jako atak, a dziwi się, że księdza słowa są traktowane tak samo.

Ta dyskusja wywoła kolejną burzę. Uderzą nie w pana, ale w tych, którzy naruszają tabu. Zwykli obywatele nie mają szansy polemiki z politykami wyznającymi zasadę: „Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam".

Jak to? Przecież właśnie teraz, na łamach „Do Rzeczy", prowadzi ksiądz tę polemikę. A wracając do Szewczenki: równie dobrze Ukraińcy mogą stwierdzić, że cmentarz Orląt Lwowskich trzeba zlikwidować, bo pochowani tam Polacy strzelali do Ukraińców.

Jeśli IPN bada, czy Świerczewski jest właściwym patronem ulic, to równie dobrze może się zająć Szewczenką, który nie był kryształowy. Wolę, by upamiętniano sprawiedliwych Ukraińców niż pisarzy, którzy szkalowali Polaków. Poza tym robi pan z igły widły. Nie wiem, czy cmentarz Orląt Lwowskich jest zagrożony, ale nie można traktować sporu o skwer w Lublinie jak kontrowersji, która miałaby popsuć relacje polsko-ukraińskie. Taka drażliwość świadczy tylko o tym, że te relacje oparte są na kłamstwie. Zostawmy oddolne inicjatywy, skupmy się na błędach polityków.

Przed ŚDM stwierdził ksiądz, że polskie władze powinny obawiać się nie tylko islamskiego, lecz także ukraińskiego terroryzmu...

Mamy 1,5 mln imigrantów z Ukrainy. To ogromna mniejszość, której nie da się w szybkim tempie zasymilować. A wicepremier Morawiecki twierdzi, że potrzeba nam jeszcze 5 mln Ukraińców na rynku pracy… Społeczeństwo już teraz jest niezadowolone, że tania siła robocza zabiera mu pracę. Szkodzi także postawa roszczeniowa części organizacji ukraińskich. Nie daj Boże, wśród tych imigrantów, którym od 25 lat łopatą do głowy się wbija kult Bandery, znajdzie się jakaś grupka szaleńców i dojdzie do jakichś incydentów… Państwo polskie musi się na taką ewentualność przygotować, zamiast zamykać usta wszystkim, którzy wyrażają swoje obawy.

Krytykuje ksiądz ideę Międzymorza. To z kim mamy się dogadać? Z Niemcami? Z Rosją? A może izolacjonizm?

Nie jestem politykiem. Ja tylko pokazuję, że zapowiadany hucznie sojusz rozbił się o jedną, w sumie mało ważną sprawę – o wybór szefa Rady Europejskiej. Poroszenko, ten „przyjaciel Polski", wylewnie gratulował Tuskowi. Nie można naszej pozycji w UE budować na micie o wejściu Ukrainy do Unii, bo to nierealne. Niestety, nasza polityka wschodnia uzależniona jest od stanowiska USA. Polska jest traktowana jak frajer, który ma wyciągać kasztany z ognia na Ukrainie, wysyłając tam pieniądze i pomoc wojskową. Poroszenko wbrew obietnicom wciąż handluje z Rosją, Ukraińcy są nim rozczarowani, w końcu go obalą. Będzie nowy Majdan. I co? Znowu pojadą tam polscy politycy, żeby krzyczeć: „Sława Ukrainie!", „Ukraina to Europa!"?! Życzę Ukraińcom, by obalili oligarchów, którzy niszczą ich gospodarkę, oraz by zwalczyli ideologię banderowską, która niszczy ich naród.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a156d6168f

Zdewastowany pomnik ofiar NKWD w Bykowni

FOT. SERGEY DOLZHENKO/EPA/PAP

Ukraina polskim okiem

Maciej Pieczyński

Ukraina wzbudza w Polsce takie emocje, że trudno ją traktować wyłącznie jako kordon sanitarny przeciw Rosji

Po rozpadzie ZSRS Polska jako pierwsza uznała niepodległość Ukrainy, zaskakując w pewnym sensie tym faktem samych Ukraińców, którzy liczyli, że zaszczyt ten przypadnie Kanadzie (gdzie żyje niezwykle wpływowa mniejszość ukraińska). W Polsce zapanowało przekonanie, że rozliczenia historyczne trzeba zacząć od siebie, a następnie poczekać, aż urzeczeni tym Ukraińcy sami przyznają własną winę za Wołyń. O zbrodniach ukraińskich nacjonalistów na polskiej ludności cywilnej zaczęto głośniej mówić w 2003 r. W 60. rocznicę rzezi wołyńskiej na grobach Polaków w Porycku/Pawliwce kwiaty złożyli Aleksander Kwaśniewski i Leonid Kuczma. W przemówieniu polskiego prezydenta padło słowo „ludobójstwo", choć taka właśnie interpretacja zbrodni dokonanej przez OUN-UPA oficjalnie zatwierdzona została w polskim parlamencie dopiero 13 lat później. „Nie o zemstę, lecz o pamięć" o ofiarach wołały środowiska kresowe na czele z bezkompromisowym ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim. To właśnie zapewne działalność ks. Isakowicza-Zaleskiego, wspieranego przez narodowców i kukizowców, wpłynęła na to, że dotąd niezdecydowany w sprawach ukraińskich PiS w końcu postanowił wydarzenia na Wołyniu nazwać ludobójstwem.

SOJUSZNIK CZY ZAGROŻENIE?

Debata w Polsce na temat naszych relacji z Ukrainą nabrała nowego wymiaru po wybuchu wojny na wschodzie Ukrainy. Pojawiły się głosy, że w nowych okolicznościach nie należy kruszyć kopii o sprawy historyczne. Tłumaczono to po pierwsze względami moralnymi, po drugie pragmatycznymi. Z moralnego punktu widzenia nie wypada „wbijać noża w plecy" Ukrainie, gdy ta heroicznie walczy o swoją niepodległość i nie ma głowy do zajmowania się przeszłością. Natomiast pragmatyzm każe odłożyć na bok spór o Wołyń w obliczu wspólnego zagrożenia rosyjskim imperializmem. Jednak na pragmatyzm powołują się także ci liderzy opinii, którzy uważają, że daleko posunięta pomoc dla Ukrainy to niepotrzebne drażnienie Rosji.

W dyskusji udział wzięli także publicyści „Do Rzeczy". Charakter udzielonych przez nich na łamach tygodnika we wrześniu 2014 r. odpowiedzi na fundamentalne pytanie: Czy to jest nasza wojna? wiernie oddaje panujący na prawicy umowny podział na „pragmatyków" i „romantyków". Rafał A. Ziemkiewicz stwierdził, że w naszym interesie jest, aby konflikt na Wschodzie trwał „jak najdłużej, bo angażuje zarówno rosyjski imperializm, jak i ukraiński nacjonalizm o ponad tysiąc kilometrów od naszej granicy". Publicysta uważa, że polskie zaangażowanie przeciw Rosji mogłoby się skończyć podobnie jak w 1939 r., kiedy mimo zobowiązań sojuszniczych byliśmy zmuszeni stoczyć samotną, skazaną na porażkę walkę ze znacznie potężniejszym agresorem. „Wiara w to, że jeśli zrobimy dziś dla Ukraińców wszystko, co w naszej mocy, a nawet więcej, to w przyszłości będą nam oni wdzięczni i odpłacą się dozgonną przyjaźnią, jest równie mądra, co przekonanie przywódców naszej wojennej emigracji, że im więcej krwi wyleją Polacy w wojnie z Niemcami, tym bardziej światowe mocarstwa będą się czuły zobowiązane do ujęcia się za nami i odwdzięczenia się nam" – pisał Ziemkiewicz, dodając przy tym, że jedyne, co Polaków łączy z Ukraińcami, to wojna z Rosją, która kiedyś się skończy.

Z kolei Bronisław Wildstein z okładki tygodnika głosił: „Jestem Polakiem, pomagam Ukrainie", która zdaniem publicysty „walczy dziś za nas, więc powinniśmy zrobić wszystko, aby jej w tej walce pomóc. Co więcej, mamy wyjątkową okazję, aby definitywnie powstrzymać imperialne aspiracje Moskwy". Wildstein argumentował: „To, co się dzieje na Ukrainie, powinno budzić podziw i solidarność Polaków. Ukraińcy, narażając się na największe ryzyko, podjęli walkę o elementarne ludzkie wartości – wolność, godność i uczciwość".

I tego typu głosom – także z okładki „Do Rzeczy" – ostro odpowiedział Waldemar Łysiak, apelując o zaprzestanie wsparcia

eprasa.pl a156d6168f

Ukrainy: „Gdyby polskie władze i polskie media poświęcały polskiej krwi rozlanej bestialsko na Wołyniu przez Ukraińców jedną tysięczną tej empatii, tej pamięci, tego współczucia, tego hołdu, jaki poświęcały krwi przelanej na Majdanie [...], moje pretensje byłyby mniejsze".

Piotr Zychowicz zauważał natomiast, że w starciu z rosyjską armią nie mielibyśmy szans, dlatego jego zdaniem „nie ma powodu, żeby Polska dla ratowania Ukrainy kładła głowę pod topór", tym bardziej że „na pomoc Zachodu nie mamy co liczyć". Z pozycji pragmatycznych Zychowicz konstatował: „W interesie Polski leży, aby konflikt na Ukrainie był przewlekły. Im dłużej Putin będzie zajęty Ukrainą, tym później przyjdzie po nas".

Piotr Semka stwierdził zaś, że „losy Warszawy ważą się w Doniecku", a wobec wspólnoty interesów geostrategicznych jedynym dylematem nie jest „czy", ale „jak", przy użyciu jakich środków wspierać naszego południowo-wschodniego sąsiada. „Uznawanie Ukrainy za »naturalny« obszar wpływów rosyjskich to hołdowanie duchowi Jałty" – pisał Semka.

Z kolei już całkiem niedawno Tomasz Kwaśnicki zastanawiał się nad ewentualnymi konsekwencjami zapełniania polskiego rynku pracy imigrantami z Ukrainy: „Pomysł na wpuszczenie do Polski milionów Ukraińców tylko głębiej wepchnie nas w problemy demograficzne i utrzyma pułapkę niskiego dochodu. Forsują go zatem kuglarze, którym zależy na taniej sile roboczej".

„WOŁYŃ" I PRZEŁOM

Ideologiczny rów mariański, od lat dzielący Polaków na dwa wrogie obozy, wydawał się częściowo niezauważalny, gdy chodziło o stosunek do Ukrainy współczesnej. Poparcie dla tak bliskiej polskim tradycjom wolnościowym rewolucji na Majdanie jednoczyło środowiska od „Gazety Wyborczej" do „Gazety Polskiej". Wspominano co prawda o tym, że Ukraińcy najpierw w Kijowie, a później na wschodzie kraju walczyli i walczą często z imieniem Bandery na ustach. Z reguły jednak zgadzano się co do tego, że współczesny nacjonalizm ukraiński opiera się na symbolach OUN-UPA z braku innych tradycji narodowowyzwoleńczych, a jego dawniej antypolskie ostrze obecnie z całym impetem skierowane jest przeciwko rosyjskiemu agresorowi. Na Majdanie Ukraińców wspierali zarówno politycy PO, jak i PiS, obok nacjonalisty Ołeha Tiahnyboka występował Jarosław Kaczyński, którego niedawne słowa: „Z Banderą Ukraina do Europy nie wejdzie" stały się często cytowanym dowodem na zwrot PiS w kierunku rozliczeń historycznych.

Przełom w polskiej debacie na temat polsko-ukraińskiej przeszłości stanowił niewątpliwie długo oczekiwany film „Wołyń" Wojciecha Smarzowskiego. Podobnie jak wcześniej poparcie dla wolnościowego zrywu Ukraińców, tak teraz film o zbrodniach ukraińskich nacjonalistów połączyły Polaków z różnych, na co dzień wrogich sobie środowisk. Jednak każdy chwalił „Wołyń" za co innego. Upraszczając: film Smarzowskiego dla prawicy był zasłużonym hołdem kulturowym złożonym polskim ofiarom ukraińskiego nacjonalizmu, dzięki któremu – parafrazując tytuł książki ks. Isakowicza-Zaleskiego – „ludobójstwo już nie jest zapomniane". Dla lewicy natomiast była to uniwersalna opowieść o zbrodniczej naturze wszelkich ideologii nacjonalistycznych. Sam Smarzowski wskazywał raczej na słuszność tej drugiej interpretacji. W rozmowie z „Do Rzeczy" zaznaczył, że „Wołyń może się powtórzyć", ale niekoniecznie na Ukrainie. O sukcesie ponad podziałami decydował być może także geniusz artystyczny; film za wybitny uznał ceniony i niepodejrzewany o prawicowe sympatie krytyk Tomasz Raczek. Wśród nielicznych głosów zdecydowanie krytycznych wobec filmu znalazł się artykuł na łamach „Kultury Liberalnej". Autor się oburzał, że mordercy u Smarzowskiego wykrzykują: „Sława Ukrajini! Herojam sława!", a więc hasło, które na Majdanie ramię w ramię z Ukraińcami skandowali Polacy, co może powodować nad Wisłą niepotrzebnie złe skojarzenia. Z kolei na łamach „Newsweeka" mieszkająca w Polsce Ukrainka Natalia Panchenko twierdziła: „Po filmie »Wołyń« ludzie piszą, żebym opuściła Polskę i że mnie zabiją".

Przypadki dewastacji polskich miejsc pamięci i placówek dyplomatycznych na Ukrainie w pierwszych miesiącach tego roku sprawiły, że doktryna o niemieszaniu historii i współczesności we wzajemnych relacjach traci rację bytu. Przedmiotem ataku stają się już nie tylko pamięć i jej materialny wymiar w postaci pomników, lecz także państwo polskie (20 centymetrów brakowało, by w Łucku zginął pracownik polskiego konsulatu). Część komentatorów i polityków przytakuje ukraińskiej tezie, w myśl której incydenty te są dziełem rosyjskich prowokatorów. Mniej ufni liderzy opinii zwracają uwagę na to, że odpowiedzialność za to, co się dzieje na Ukrainie, spoczywa na państwie ukraińskim, i jeśli oskarża ono o prowokację stronę trzecią, to powinno przedstawić jakieś ku temu dowody. Tymczasem sprawcy wciąż pozostają „nieznani".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Antypolskie dewastacje na Ukrainie

29 marca, Łuck, obwód wołyński. Konsulat RP został ostrzelany z granatnika. Pocisk uderzył tuż nad częścią mieszkalną placówki. W momencie ostrzału spał tam jeden z pracowników, dlatego też – jak powiedział mediom szef konsulatu – „gdyby pocisk trafił 20 centymetrów niżej, to byłaby tragedia".

11/12 marca, Lwów. Pomnik lwowskich profesorów zamordowanych przez hitlerowców w 1941 r. został oblany czerwoną farbą. Na monumencie namalowano symbol SS i napis: „Śmierć Lachom!".

11/12 marca, Podkamień (obwód lwowski). Pomnik ofiar zbrodni dokonanej przez oddziały UPA i SS został w przeddzień (bądź też w dniu) rocznicy mordu oblany czerwoną farbą. Na monumencie namalowano symbol SS i napis: „Śmierć Lachom!".

16 lutego, Kijów. Nacjonaliści ukraińscy z organizacji Czarny Komitet zawiesili na parkanie polskiej ambasady portret Bandery.

8 lutego, Lwów. Na parkanie polskiego konsulatu we Lwowie namalowano napis: „Nasza ziemia".

24/25 stycznia, Bykownia (obwód kijowski). Pomnik ofiar NKWD został pomalowany farbą olejną. Sprawcy dewastacji na polskiej części monumentu napisali: „+SS Galizien+", a na ukraińskiej: „OUN-UPA kurwa" (cyrylicą).

8 stycznia, Huta Pieniacka (obwód lwowski). Zdewastowano pomnik ofiar zbrodni dokonanej przez oddział SS, złożony z ukraińskich ochotników. Nieznani sprawcy wysadzili w powietrze krzyż stanowiący centralną część monumentu, a także pomalowali tablice pamiątkowe z nazwiskami ofiar (jedną tablicę na niebiesko-żółte barwy Ukrainy, drugą – na czerwono-czarne barwy UPA).

eprasa.pl a156d6168f

Z Jarosławem Gowinem, wicepremierem, ministrem nauki i szkolnictwa wyższego
rozmawia Łukasz Warzecha

Sama nieugiętość nie jest wartością

FOT. ANDRZEJ WIKTOR/FORUM

ŁUKASZ WARZECHA: Ile lat będzie rządził PiS?

JAROSŁAW GOWIN: Na pewno jeszcze dwa i pół roku. Co dalej – to będzie zależało od jakości naszych rządów.

Bardzo jest pan skromny. Wicepremier Mateusz Morawiecki nie był taki wstrzemięźliwy, mówiąc, że będziecie mieć władzę do 2031 r. Przynajmniej. Jarosław Kaczyński uznał z kolei, że to zbyt zachowawcza ocena. Władza odurza?

Najwyraźniej obaj mają poczucie humoru, podczas gdy ja jestem ponurakiem.

Żadnej refleksji na temat rosnącej pychy w obozie władzy?

Nie twierdzę, że szał cezarów całkiem nas ominął, ale akurat te dwie wypowiedzi traktuję jako wyraz dystansu do siebie oraz wskazanie skali wyzwań, które przed nami stoją. Żeby zrealizować plan Mateusza Morawieckiego, potrzeba kilkunastu lat. Natomiast zapewniam, że liderzy obozu Zjednoczonej Prawicy, w tym wymienieni przez pana, mają pełną świadomość tego, jak trudny bój czeka nas w 2019 r. W pewnym sensie będzie to bój na śmierć i życie, bo jeśli stracimy władzę, to z powodu liczby interesów, jakie naruszyliśmy, nie zostanie kamień na kamieniu z tego, co zrobiliśmy, a na prawicę spadną ciosy, przy których czas rządów Donalda Tuska będzie wspominany jako okres polityki prawdziwej miłości.

Pewnie by tak było, ale przecież w dużej mierze na wasze własne życzenie. To wy stworzyliście mechanizmy dziś bardzo dla obecnej władzy wygodne, ale skonstruowane w taki sposób, że skwapliwie skorzysta z nich obecna opozycja, gdy was pokona. Wspomnieć można choćby sposób powoływania członków Krajowej Rady Sądownictwa czy obsadzania stanowisk w mediach publicznych.

Zgadzam się, że wprowadzając nowe mechanizmy funkcjonowania państwa, trzeba pamiętać, że prędzej czy później będą one wykorzystywane nie tylko przez ludzi, w których – jak w nas, że nawiążę do żartobliwych słów Jarosława Kaczyńskiego – jest samo dobro. Zdarza mi się podnosić ten argument w rozmowach koalicyjnych.

Jaka jest reakcja na tę argumentację?

Jest zrozumienie, ale zarazem pada kontrargument, że musimy maszerować szybko i nie czas na wahania oraz półśrodki.

Powiedział pan, że szaleństwo cezarów nie ominęło całkiem obozu władzy. Sprawy takie jak wypadek kolumny Antoniego Macierewicza czy

eprasa.pl a156d6168f

przedstawiony bez żadnych konsultacji z mieszkańcami projekt metropolii warszawskiej Jacka Sasina mogą wskazywać, że nie tylko was to nie ominęło, lecz także objawia się coraz wyraźniej.

Nie chcę się odnosić do konkretnych przypadków. Każdy z nich jest złożony. Mogę powiedzieć tyle: widzę na horyzoncie dwa poważne zagrożenia, które sprawiają, że wyniku wyborów w roku 2019 nie uważam za rozstrzygnięty. Po pierwsze – uleganie diabelskiej pokusie arogancji władzy. Przeświadczeniu, że nam wolno więcej, bo racja moralna jest po naszej stronie. Obserwowałem tę mentalną skazę już za rządów Platformy również u tych polityków, którzy na pierwszy rzut oka wydawali się na nią odporni. Zapanowało wówczas przekonanie, że odsunięcie od władzy „złego PiS" daje PO moralną legitymację do dowolnych działań. Po drugie – otwarcie nadmiernej liczby frontów. Nie da się wprowadzać zbyt wielu zmian jednocześnie, zaś zbyt wiele trwających konfliktów może wywołać społeczny odruch zmęczenia, najpierw objawiający się odwróceniem się od polityki, a potem poszukiwaniem winnych takiego stanu rzeczy.

Ta druga uwaga może być nieco spóźniona, wziąwszy pod uwagę, jak wiele frontów PiS już pootwierał: zmiany w wojsku, reforma edukacji, ustawa o służbie cywilnej, zmiany w sposobie ściągania podatków wraz z powołaniem Krajowej Administracji Skarbowej, zmiany w sądownictwie, w szkolnictwie wyższym, nadchodzące przepisy dekoncentracyjne dotyczące mediów i wiele, wiele innych mniejszych spraw.

Do każdego z tych wątków należałoby się odnieść z osobna. Akurat w tym katalogu, który pan przedstawił, nie ma właściwie przedsięwzięć, które uznałbym za zbyteczne. Pytanie jest natomiast o szczegóły zmian i tempo ich wprowadzania. Już dawno temu w gronie liderów koalicji rządowej rozmawialiśmy o tym, że konieczne jest sporządzenie kompleksowej mapy potencjalnych konfliktów, jakie mogą wywołać planowane przez nas zmiany, ułożenie hierarchii tych zmian i planu ich rozłożenia w czasie – nie tylko na tę kadencję, lecz także na kolejną, przy założeniu, że wygramy wybory. Być może z takiej mapy wynikłaby również rezygnacja z niektórych projektów. Przecież nie wszystkie fronty, nawet w sprawach słusznych, trzeba otwierać od razu.

Czy ta mapa reform i konfliktów ostatecznie powstała czy na rozmowach się skończyło?

Jeszcze nie powstała, ale musi powstać, jeśli myślimy serio o rządzeniu po 2019 r.

Z jednego z ostatnich sondaży wynika, że wyborcy cenią PiS głównie za dwie kwestie: program „Rodzina 500+" oraz reformę wieku emerytalnego, czyli za dwa bardzo kosztowne, socjalne przedsięwzięcia. Czy rząd kupuje sobie w ten sposób głosy?

Takie postawienie sprawy jest niesprawiedliwe. Zresztą każdą z tych dwóch reform oceniam odmiennie. Program „Rodzina 500+" to wielkie przedsięwzięcie cywilizacyjne, wcale nie o charakterze socjalnym, bo pieniądze dostają także rodziny zamożne. Ten program wspiera instytucję rodziny, ma też znaczenie dla demografii, i już zaczął przynosić efekty. Inaczej jest ze zmianami emerytalnymi. Zawsze uważałem, że obniżenie wieku emerytalnego będzie szkodliwe, i tej opinii nie zmieniam. Tyle że w 2015 r. była alternatywa: albo wygrana PiS z obiecanym obniżeniem wieku emerytalnego, albo rządy PO i PSL, być może wspierane przez lewicę. Nie mam cienia wątpliwości, że decydując się na zawarcie przymierza z PiS i stworzenie obozu Zjednoczonej Prawicy, dokonałem właściwego wyboru, niezależnie od moich zastrzeżeń do kontrreformy emerytalnej.

Gdyby potraktować te dwa przedsięwzięcia czysto prakseologicznie, czy dzięki nim w kolejnych wyborach macie zagwarantowane procenty poparcia?

Byłoby naiwnością wierzyć, że dzięki takim zmianom mamy wygraną w kieszeni. Każde społeczeństwo szybko przyzwyczaja się do tego, co ma. Z punktu widzenia technologii politycznej lepiej byłoby rozłożyć te prospołeczne przedsięwzięcia na całą kadencję, co zresztą proponowałem – aby po uruchomieniu programu „500+" inne podobne projekty odłożyć na koniec kadencji, a w latach 2017–2018 skoncentrować się na rozwoju gospodarczym. Zapadła inna decyzja i dziś nie ma już pola dla nowych programów społecznych. Pozostaje skupić się na realizacji Planu Odpowiedzialnego Rozwoju. Bez tego w następnych kadencjach nie uda się zapewnić trwałości rozwiązań, które wprowadziliśmy. Jednak głęboko wierzę w sukces planu Morawieckiego.

Tymczasem niewykluczone, że podjęte zostaną kolejne decyzje, podkreślające zdecydowanie lewicowy i etatystyczny kurs rządu. Rząd przyjął pozytywne stanowisko w sprawie obywatelskiego projektu Solidarności o zakazie handlu w niedziele, w Sejmie procedowany jest projekt lobby aptekarskiego „Apteka dla aptekarza". Pan zawsze deklarował się jako gospodarczy liberał. Jak pan godzi te poglądy z przymierzem z PiS?

Jestem przeciwny projektom takim jak „Apteka dla aptekarza" i zapowiedziałem, że będę głosować przeciwko temu rozwiązaniu, chyba że zostanie w istotny sposób skorygowane. W sprawie zakazu handlu w niedziele nie jestem ortodoksyjny. Opowiadam się za ograniczaniem go w sklepach wielkopowierzchniowych, aby dać oddech małym sklepom rodzinnym.

Jeśli faktycznie taki będzie skutek, a tego nie wiemy. Wiele projektów faktycznie rządowych jest niestety procedowanych jako poselskie, dzięki czemu nie trzeba do nich dołączać oceny skutków regulacji ani prowadzić konsultacji społecznych.

W tych obszarach, w których zdecydowaliśmy się na zmiany bardzo szybkie, ciężar przygotowania projektów faktycznie spadał często na klub parlamentarny, ale to sytuacja przejściowa. Projektów poselskich będzie teraz zdecydowanie mniej. Pani premier kładzie duży nacisk na to, by kolejne reformy szły już ścieżką rządową. Natomiast trudno uznać, że nasz rząd nie docenia wagi konsultacji. Przykładem są zmiany w obszarze nauki i szkolnictwa wyższego. Nawet moi przeciwnicy podkreślają, że nigdy po 1989 r. nie było reform, którym towarzyszyłyby tak szerokie konsultacje.

Wszystko jednak wskazuje na to, że rząd PiS odrzuci obywatelski wniosek o referendum w sprawie reformy edukacji – bo że uda się zebrać dość podpisów, to właściwie pewne. Dokładnie tak, jak podobny wniosek odrzucił rząd Platformy Obywatelskiej.

Likwidację gimnazjów zapowiadaliśmy w kampanii wyborczej i nikt nie może być tym zaskoczony. Działania w tej sprawie rozpoczęliśmy natychmiast po objęciu władzy i wtedy mogła być pora na referendum, a nie teraz, gdy przygotowania są tak zaawansowane. Referendum w tej sprawie dzisiaj groziłoby gigantycznym chaosem. Poza tym nigdy nie obiecywaliśmy, że w każdym przypadku obywatelskiego wniosku będziemy głosowali za referendum, podobnie jak nie obiecywaliśmy, że poprzemy każdy społeczny projekt w sprawie aborcji. Chociaż staramy się, aby te projekty trafiały przynajmniej do komisji sejmowych. Jednak podkreślam: musimy się kierować poczuciem odpowiedzialności. Na referendum dotyczące reformy edukacji był czas na początku 2016 r.

eprasa.pl a156d6168f

Podobnie odpowiadali Donald Tusk i jego ministrowie Fundacji Rzecznik Praw Rodziców, gdy składała obywatelski projekt ustawy oraz zebrała podpisy pod wnioskiem o referendum: że już za późno na zmianę, bo prace nad umieszczeniem w szkołach sześciolatków są zbyt zaawansowane.

Sytuacje są jednak nieporównywalne. Posłanie sześciolatków do szkół było o wiele prostszą operacją niż nasza reforma, więc o wiele łatwiej byłoby się z niej wycofać.

Rządowi udało się zwiększyć dochody budżetu z VAT poprzez uszczelnienie systemu. Jednocześnie jednak przedsiębiorcy obawiają się, że skarbówka, dostawszy nowe kompetencje, będzie dociskać także tych uczciwych i za wszelką cenę nakładać kary. Chociaż Krajowa Administracja Skarbowa jest nowym bytem, to są to wciąż ci sami urzędnicy z tym samym sposobem myślenia. Na dodatek wprowadzono karę 25 lat pozbawienia wolności za przestępstwa podatkowe o wartości minimum 10 mln zł.

W tej ostatniej sprawie zgłosiłem zdanie odrębne podczas posiedzenia rządu. Karę 25 lat pozbawienia wolności za przestępstwo finansowe uważam za rozwiązanie kontrowersyjne. Co do traktowania przedsiębiorców przez aparat skarbowy – ostatnio rozmawiałem na ten temat z Romanem Kluską i Ryszardem Florkiem, czyli czołowymi polskimi przedsiębiorcami, a od wielu miesięcy docierają do mnie rozmaite alarmujące sygnały. Przekazuję je wicepremierowi Morawieckiemu, a on, o ile wiem, sprawdza je dokładnie. W wielu przypadkach okazują się bezzasadne, w niektórych – uzasadnione. Co do Krajowej Administracji Skarbowej dałbym tej instytucji czas na sprawdzenie się i dopiero wtedy wystawiałbym ocenę. Ze strony rządu KAS otrzymała wyraźną dyrektywę, aby kontrole dotyczyły głównie dużych, a nie mniejszych firm oraz aby prowadzone były tam, gdzie istnieje uzasadnione podejrzenie, że działa karuzela VAT. Pamiętajmy, że gra się toczy o dziesiątki miliardów złotych rocznie.

Jak miałaby wyglądać „repolonizacja" mediów? Kto miałby przejąć redakcje, które zachodnie koncerny medialne byłyby zmuszone sprzedać?

Tutaj chodzi nie tyle o repolonizację, ile o dekoncentrację. Zakładam, że w jej wyniku pojawią się nowi inwestorzy – zarówno polscy, jak i zagraniczni – a wtedy będą decydowały zasady rynkowe.

W Polsce, poza spółkami Skarbu Państwa, nie ma dzisiaj podmiotów, które byłyby w stanie wyłożyć pieniądze wystarczające na zakup choćby zestawu lokalnych gazet, będących obecnie w ręku zagranicznych koncernów. A jeśli miałyby je przejąć spółki Skarbu Państwa, to oznaczałoby to faktyczne upaństwowienie tych mediów.

Nikt nie powiedział, że cała grupa lokalnych dzienników ma być kupiona jako jedna całość. Nikt też nie mówił, że kupującymi mają być wyłącznie polscy inwestorzy. Ważne jest, aby jeden koncern nie monopolizował praktycznie całego rynku prasy lokalnej. Dodatkowym problemem jest, że to koncern zagraniczny, jednak ja za podstawowy problem uznaję monopol. Owszem, może się zdarzyć, że ta czy inna spółka Skarbu Państwa zdecyduje się na zainwestowanie w media, oczywiście po rynkowej analizie opłacalności takiej inwestycji, ale na pewno nie stanie się to głównym przedmiotem działalności tych firm.

> **Nie widzę uzasadnienia dla postawienia Tuskowi zarzutu zdrady, nawet zdrady dyplomatycznej**

Czy Antoni Macierewicz jest problemem dla rządu PiS?

Proszę wybaczyć, ale żaden minister nie odpowie na tak postawione pytanie, dotyczące innego członka rządu. Jak w dobrej korporacji, tak i w rządzie obowiązuje zasada, że w sprawach personalnych wypowiada się szef – czyli w tym przypadku pani premier. I tylko ona może oceniać poszczególnych członków swojego gabinetu.

Pani premier oceniła, że sprawa Bartłomieja Misiewicza jest zakończona. Jednak to nie do końca prawda. Nazwisko Misiewicz będzie się za tym rządem ciągnąć – w kiepskim kontekście. Misiewicz stał się symbolem.

W sprawie tego dżentelmena wypowiedzieli się już prezydent, premier i szef partii rządzącej. Nie widzę powodu, by do tego grona dołączał wicepremier…

Nasz tygodnik próbował uzyskać informacje o rezultatach prac komisji smoleńskiej – bez skutku. Przez ponad rok komisja nie przedstawiła żadnych znaczących ustaleń. Antoni Macierewicz złożył w prokuraturze doniesienie na Donalda Tuska. Czy to próba ucieczki do przodu?

Nie widzę w tej chwili podstaw dla tezy, że w Smoleńsku doszło do zamachu, choć także nie jestem w stanie tej ewentualności całkowicie wykluczyć. Donald Tusk niewątpliwie ponosi odpowiedzialność polityczną za zły stan państwa, co przyczyniło się do katastrofy. Ponadto nie widzę też uzasadnienia dla postawienia mu zarzutu zdrady, nawet zdrady dyplomatycznej. Wszystko w rękach prokuratury.

Czy walcząc z kandydaturą Donalda Tuska w Brukseli, odnieśliśmy zwycięstwo wielkie czy może tylko umiarkowane?

To nie było zwycięstwo. Nie jestem zwolennikiem romantycznej tradycji, lubującej się w zwycięstwach moralnych, przedstawiającej porażki jako moralne zwycięstwa. W Brukseli celu nie osiągnęliśmy. Są osoby, które patrzą na to przez pryzmat wielkich procesów historycznych i twierdzą, że zwycięstwo polega na tym, iż dowiedliśmy, że jesteśmy nieugięci. Jednak nieugiętość nie jest sama w sobie wartością. Nieugiętość jest dobra tylko wówczas, gdy prowadzi do osiągnięcia celów. Naszą europejską politykę musimy przemyśleć na nowo, zastanowić się nad sojuszami. Chciałbym, żebyśmy bliżej współpracowali z państwami nordyckimi, z którymi mamy znacznie szersze pole wspólnych interesów niż z krajami Grupy Wyszehradzkiej – co oczywiście nie znaczy, że bagatelizuję znaczenie V4. Jednak współpraca z każdym z państw musi się opierać na chłodnej analizie wspólnych interesów. Dotyczy to również polityki wobec Niemiec. W tych sprawach jestem uczniem Tukidydesa czy amerykańskich realistów – Hansa Morgenthaua lub Henry'ego Kissingera. Uważam, że myślenie o polityce zagranicznej trzeba zaczynać od spojrzenia na mapę. Patrząc na nią, zobaczymy, że albo będziemy mieć dobre relacje z Rosją – wykluczone przy polityce Władimira Putina – albo z Niemcami. Jeśli nasze stosunki będą złe i z jednym, i z drugim krajem, to zagrożone będzie nasze bezpieczeństwo. W polityce zagranicznej potrzeba nam więcej chłodnej kalkulacji, a mniej porywów serca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a156d6168f

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

SZUKAJ WYDANIA Z PŁYTĄ

PREMIERA DVD

Fabularna wersja życia Snowdena pokazana oczami Olivera Stone'a staje się chwilami ekscytującym thrillerem politycznym [...].

Film opowiedziany jest z werwą i energią, a kolejne sceny niesie wyśmienity w swojej roli Joseph Gordon-Levitt, który jest tak dobry, że gdy rozmawiał telefonicznie z rodziną prawdziwego Snowdena, ci myśleli, że rozmawiają ze swoim synem!

www.film.com.pl

eprasa.pl a156d6168f

raport DO RZECZY

Zadyszka w biegu

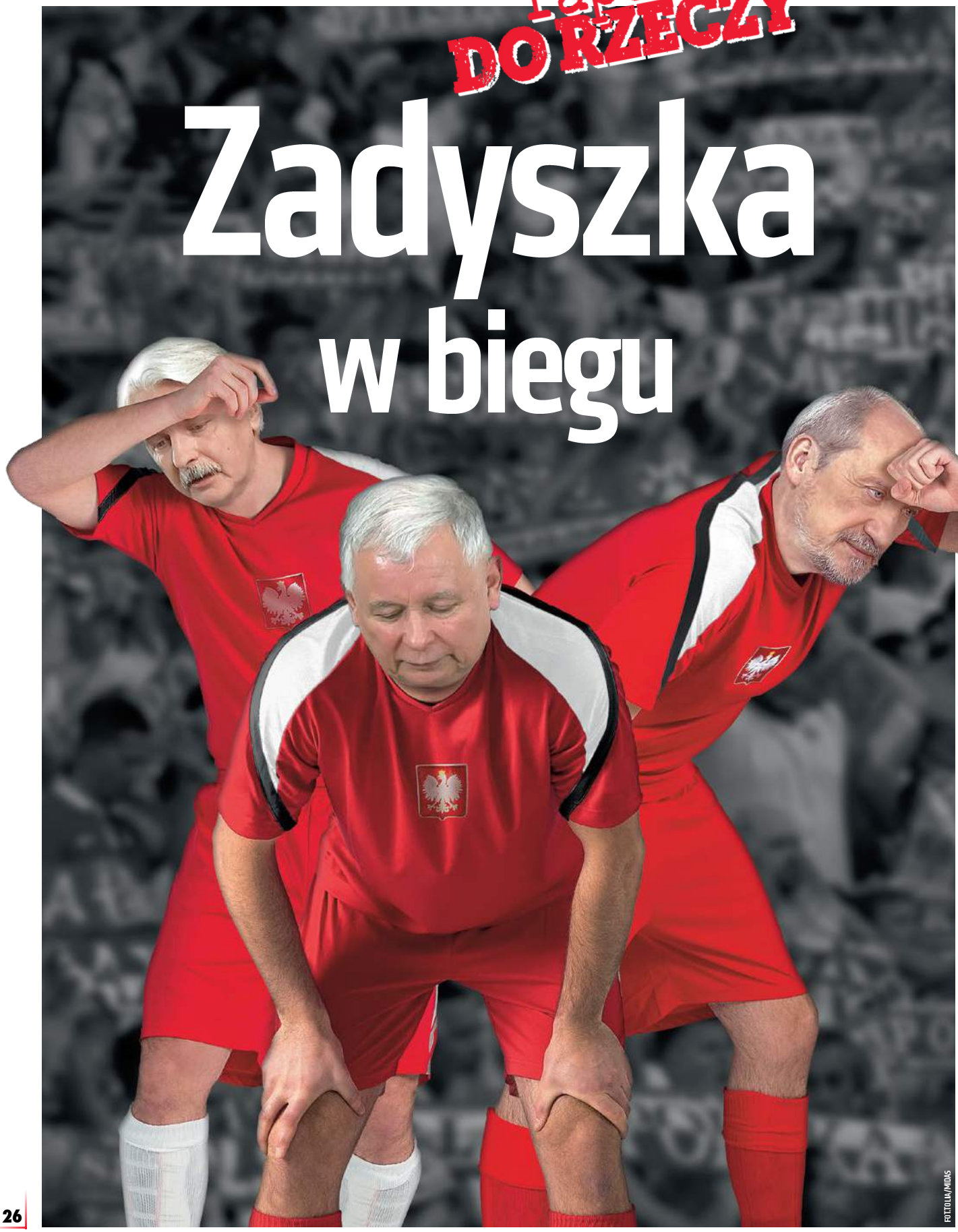

FOTOLIA/MIDAS

eprasa.pl a156d6168f

Piotr Semka

PiS musi wrócić do budowania własnej mocnej pozycji. Problemów bowiem nie ubywa, a przed partią nieuchronny czas zużywania się władzy

Trzy kolejne sondaże potwierdziły znaczne zmniejszenie się dystansu między PiS a Platformą Obywatelską – główną partią opozycji. Chociaż większość polityków rządzącej partii zachęca, by poczekać na kolejny sondaż i przekonać się, na ile trwała jest ta nowa tendencja sondażowa, to poczucie niepokoju w PiS da się wyczuć. Tym, co różni między sobą polityków partii Jarosława Kaczyńskiego, jest diagnoza tego, co się stało i jak należy na to reagować.

Reakcje wśród ważnych polityków PiS można podzielić na trzy grupy. Pierwsi są „poważnie zaniepokojeni". Przedstawicielem tej grupy jest Jarosław Gowin, który wzywa, by „chuchać na zimne" i spadku sondażowego nie traktować jako chwilowego wahnięcia, lecz dokonać refleksji nad priorytetami dalszej polityki.

– Byłoby histerią wpadać w panikę, ale niedojrzałością, gdybyśmy nie zastanawiali się, czy nie należy czegoś skorygować. Pytanie: Czy warto wytaczać tak wiele bojów naraz? Powinniśmy stworzyć mapę spraw do załatwienia, konflikty zhierarchizować, a z niektórych całkiem zrezygnować – mówił Gowin w Radiu Zet. Za specjalnie niebezpieczne dla PiS wicepremier uznał próby „stworzenia wrażenia przez opozycję, że chcemy wyprowadzić Polskę z UE". I zaznaczał, że takiego planu rząd nie ma.

Charakterystyczne dla stanu dyskusji wewnątrz PiS jest to, że tylko Gowin zachęca do dyskusji publicznie. Reszta polityków rządzącej partii, których pytałem o zmiany w sondażach, choć zgadza się z Gowinem, to nie chce o tym mówić pod nazwiskiem.

Kolejna grupa w obozie władzy to „ostrożni realiści", którzy nie lekceważą zmian sondażowych, ale zachęcają, by poczekać i przekonać się, czy trend doganiania jest trwały. Wskazują, że ostatni skok Platformy w górę to efekt czegoś, co można nazwać „tuskonostalgią". Wskutek sporu o reelekcję szefa Rady Europejskiej i sukcesu Donalda Tuska iluś wyborców PO, którzy albo zniechęcili się do tej partii, albo przerzucili sympatie na Nowoczesną, na chwilę powróciło emocjonalnie do dawnych czasów, gdy ambitny gdańszczanin kojarzył się z epoką sukcesów i iluzji „silnej Polski w silnej Europie". Są przekonani, że choć to wspomnienie wpłynęło na sondaże, to nie będzie trwać wiecznie. Idol „młodych i wykształconych z wielkich miast" powróci do brukselskich obowiązków (oczywiście kopiąc co pewien czas PiS w kostkę), a PO znów będzie miała twarz Grzegorza Schetyny z jego nijakością i brakiem charyzmy. W tym kontekście planowany show wystawienia Schetyny na premiera w ramach konstruktywnego wotum nieufności może PiS wyjść na dobre. Przypomni bowiem, jak kiepska bywa opozycja.

Najwięcej wiary w siebie wydaje się mieć najsprawniejszy team wizerunkowy w obozie PiS, zgromadzony wokół premier Beaty Szydło. Już przystąpiono do leczenia urazów po szczycie brukselskim poprzez dobrze rozreklamowany szczyt V4 w Warszawie – ukazujący kraje Europy Środkowej jako czynnik innowacyjności w Unii. Liderzy wyszehradzcy przybyli chętnie, szukali okazji do zatarcia złego wrażenia z głosowania w sprawie Tuska. Do sklejenia V4 na pewno przyczyniły się też ponowne głosy z Brukseli o karach dla państw unikających przyjmowania uchodźców. I tylko Viktor Orbán, który ponoć nie uzyskał przy okazji warszawskiej wizyty audiencji u Jarosława Kaczyńskiego, dostał sygnał, że aby mogło dojść do pełnej rekoncyliacji, musi upłynąć jeszcze trochę czasu.

Najwięcej niepokoju wśród wyborców prawicy budzi spór kompetencyjny na linii Kancelaria Prezydenta – MON

Beata Szydło wie dodatkowo, że w kwestii weta wobec przyjmowania uchodźców może liczyć na szerokie poparcie wykraczające poza żelazny elektorat PiS. Owszem, opozycja dalej będzie grała oskarżeniami o ukryty plan przeprowadzenia Polexitu, ale przy zręcznej polityce premier skuteczność takich ataków można znacznie osłabić.

I wreszcie ostatnia grupa w PiS to „wierni żołnierze naczelnika". Dostrzegają oni niekorzystne zmiany w sondażach, ale stoją na stanowisku, że jakiekolwiek szybkie zmiany kadrowe będą uznawane za dowód słabości. Według tego sposobu zmiany są przywilejem tylko jednej osoby w partii – Jarosława Kaczyńskiego – a wszelki pośpiech nie jest wskazany.

Nie jest to pozbawione pewnej racji, bo media niechętne PiS nagłośnią każdy objaw nerwowości jako „początek końca" nielubianej ekipy. Na dodatek podobnego sposobu myślenia trzyma się twardy elektorat PiS, który pamięta już niejeden kryzys wizerunkowy tej partii. Z drugiej strony odwlekanie zmian powoduje, że w rządzie są wciąż osoby, które stały się złymi symbolami i zdają się trwać jedynie z powodu swoistej przekory prezesa PiS.

POTKNIĘCIA O DROBIAZGI

Spróbujmy przeanalizować kilka ostatnich błędów wizerunkowych PiS, których tło trudno części elektoratu trudno zrozumieć. Najwięcej niepokoju wśród wyborców prawicy budzi wyrazisty spór kompetencyjny na linii Kancelaria Prezydenta Andrzeja Dudy – Ministerstwo Obrony Narodowej. Mniejsza nawet o treść sporu, bo kwestia obsady ataszatów wojskowych mało kogo interesuje. Jednak nawet ludzie mało obeznani z polityką rozumieją, że wymiana listów prezydent – szef MON oznacza brak innych kanałów komunikacji. Wyborcy PiS tego konfliktu nie rozumieją i zaczynają wierzyć w teorie o chaosie w obozie władzy. To niejedyny problem, który kojarzyć się może z MON. Kolejną niejasną sprawą jest upór ministra Antoniego Macierewicza w sprawie Bartłomieja Misiewicza – urzędnika, którego dalsza kariera w resorcie była tematem krytycznych opinii Jarosława Kaczyńskiego i Beaty Szydło. Nawet jeśli jest sporo racji w opinii, że Misiewicza zdemonizowano, to jego pozostawanie w resorcie obrony czyni tak poważne straty wizerunkowe dla rządu, iż dawno już powinien opuścić ministerstwo. Rozważania o tym, czy Misiewicz jeszcze jest w MON, pozwalają mediom ciągnąć wielomiesięczny serial budzący

eprasa.pl a156d6168f

złe emocje wobec „dobrej zmiany". Jeśli dodamy do tego chaos informacyjny wokół Eurokorpusu i skali polskiego w nim udziału, to widać wyraźnie, jak rząd potyka się o drobiazgi.

NIEU

Drugi wyrazisty problem rządu to minister spraw zagranicznych Witold Waszczykowski. Wątpliwości wobec kontynuowania jego misji trwają od ponad pół roku, a jednak trwa on na swoim stanowisku.

Już jego misja przekonywania polityków unijnych do kandydatury Jacka Saryusza-Wolskiego nie wyglądała najlepiej, a gdy już trochę zaczynano zapominać o szczycie brukselskim, Waszczykowski zaskoczył nawet własny obóz tezą, że Donalda Tuska wybrano nielegalnie. Trzeba się z tego było gęsto tłumaczyć. Oficjalnie liderzy PiS występują jednak wciąż w obronie szefa polskiej dyplomacji.

Trudno tłumaczyć to inaczej niż determinacją Jarosława Kaczyńskiego, który raz już wyratował szefa MSZ po kontrowersjach wokół zaproszenia Komisji Weneckiej do Polski. Zmęczenie Waszczykowskiego kontrastuje z coraz lepszymi ocenami wiceministra Konrada Szymańskiego, który w dyskretny sposób pomógł premier Szydło poruszać się swobodnie na szczytach Rady Europejskiej.

Krążą pogłoski, że okazją do zmian w MSZ może być ewentualne przyznanie Polsce miejsca w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, co ma się rozstrzygnąć w czerwcu. Jeśli Polska otrzyma miejsce, to skierowanie tam ministra Waszczykowskiego będzie dobrą okazją do zmian. Jeśli jednak np. ofensywa Rosji storpeduje oddanie miejsca w radzie Polakom, to problem pozostanie. Tymczasem w dyplomację jako słaby punkt ekipy PiS opozycja bije z coraz większym skutkiem dla wywoływania obaw o Polexit.

Niewiele polepszyła się też sytuacja z polityką informacyjną wokół inicjatyw ustawodawczych PiS w Sejmie. Tych ustaw, które już przegłosowano, klub PiS nie umie bronić. Tak się stało np. z ustawą dotyczącą możliwości wycinki drzew na prywatnych działkach. A wokół projektów nowych ustaw opozycja z łatwością potrafi kreować lęki społeczne.

Nikt nie wie, czy projekt zmiany kształtu orła w koronie w godle kraju był przemyślaną decyzją klubu, czy był to pomysł szeregowych posłów – ostatecznie się z niego wycofano.

Wszystko to przypomina wciąż otoczony mgłą niejasności problem PiS: Na jakim szczeblu koordynowana jest polityka prezesa Kaczyńskiego, klubu PiS, rządu Beaty Szydło, takich resortów jak MON i wreszcie Kancelarii Prezydenta RP? Nadal nie sposób ustalić, czy dochodzi do systematycznych spotkań w trójkącie Jarosław Kaczyński – Beata Szydło – prezydent Duda. Powtarza się niepokojący schemat dobrego przechodzenia przez kolejne wyzwania, a potem zapadania w letarg. W zeszłym roku obóz PiS dał sobie radę z dwoma wielkimi wydarzeniami: szczytem NATO w Warszawie i z wizytą papieża Franciszka w Polsce. Gdy obie imprezy udało się przeprowadzić z sukcesem, był czas na spokojnie zaplanowaną i przeprowadzoną pierwszą rekonstrukcję rządu. Tę okazję zmarnowano. Potem na czas nie zrozumiano, ile wybuchowego potencjału mają pomysły marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego dotyczące zmian funkcjonowania mediów w Sejmie – co zemściło się grudniowym kryzysem. Trzeba było wycofywać się z projektów zmian w warunkach okupacji sali sejmowej przez opozycję.

Za sukces uznać można ostatni szczyt V4 w Warszawie FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Potem, gdy kryzys wygaszono, znów nastąpiły bezruch i cisza, choć można było przewidzieć, że sprawa ewentualnej reelekcji Tuska nie będzie łatwa dla PiS.

Teraz obóz władzy winien szukać pomysłu na ewentualną recydywę planu Brukseli, dotyczącego obowiązkowych kwot uchodźców do przyjęcia, lub na ideę karania Polski sankcjami. Wymagać będzie to koordynowania działań Nowogrodzkiej, Sejmu, rządu i klubu PiS w Sejmie. Tego wymagać będą też zmagania o jak najlepszy los naszych rodaków nad Tamizą po Brexicie. Tak skomplikowanych gier dyplomatycznych nie da się prowadzić bez stałych kontaktów i narad w obozie PiS.

W TERENIE

Przed Prawem i Sprawiedliwością jeszcze jedno, coraz wyraźniejsze wyzwanie – zaczynająca się już powoli kampania do samorządów, która zdominuje przyszły rok. W wielkich miastach Platforma ma już wyrazistych kandydatów, takich jak Hanna Zdanowska w Łodzi czy Jacek Jaśkowiak w Poznaniu, lub nowych, ale dobrze rozpoznawalnych – takich jak Andrzej Halicki w stolicy czy Jarosław Wałęsa w Gdańsku. Kogo chce im przeciwstawić PiS? I kiedy chce zacząć budować ich rozpoznawalność? Politycy Prawa i Sprawiedliwości wypytywani o tak kłopotliwe kwestie wolą mówić o słabości opozycji.

Prawdą jest, że skłócenie na linii PO – Nowoczesna pozwala na diagnozę, iż może nie powstać jedna wspólna lista opozycji w wyborach samorządowych. PSL już ogłosiło że wystawi własne. W Warszawie Nowoczesna najprawdopodobniej wystawi Kamilę Gasiuk-Pihowicz, co wiele mówi o braku determinacji Ryszarda Petru, by osobiście walczyć na najtrudniejszym froncie. PiS może wreszcie mniej się bać wejścia do gry w walce o samorząd Komitetu Obrony Demokracji, który zmaga się z wewnętrznym kryzysem. Wszystko to jednak liczenie na błędy opozycji, a nie budowanie własnej, mocnej pozycji.

Jak zwykle wiara partii w cudowne rozwiązywanie wszystkich tych problemów spada na barki Jarosława Kaczyńskiego. Czy takie przekonanie nie uczy jednak bierności? Mija dopiero jedna trzecia kadencji, a PiS wydaje się dostawać zadyszki. A przecież przed rządzącą partią jeszcze długi bieg. Tym trudniejszy, że towarzyszyć będzie mu nieuchronny syndrom zużywania się władzy. Rok 2017 to ostatni „spokojny" rok przed sekwencją wyborczą lat 2018–2019–2020. Bardzo łatwo będzie PiS przepuścić go przez palce.

Kwestia koordynacji działań w obozie władzy zaczyna być paląca. Łatwo to powiedzieć, trudniej przezwyciężyć stare nawyki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a156d6168f

TYGODNIK POLSKIEGO DO RZECZY

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY” + DWIE KSIĄŻKI FELIKSA KONECZNEGO: „DZIEJE POLSKI” I „O WIELOŚCI CYWILIZACJI”

144 zł

oszczędzasz 125 zł

PRENUMERATA DWULETNIA TYGODNIKA „DO RZECZY” + YANOSIK GTR WRAZ Z ROCZNĄ TRANSMISJĄ DANYCH

Yanosik GTR

Najskuteczniejszy komunikator dla kierowców.
Ponad 1,5 mln unikalnych użytkowników miesięcznie.
Bądź informowany o aktualnej sytuacji na drodze!

- **ostrzeżenia** m.in. o kontrolach prędkości, fotoradarach i wypadkach
- wygodna funkcja **mobilnego parkomatu**
- wskaźnik **EKOjazdy** dla obniżenia kosztów paliwa i napraw
- specjalny tryb dla **motocyklistów**
- **automatyczne** uruchamianie bez konieczności montażu

490 zł oszczędzasz 775 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a156d6168f

raport DO RZECZY

Twardy kurs bez zmian

Rafał A. Ziemkiewicz

Lekceważenie drobnych wizerunkowych potknięć kończy się zwykle lawiną, której nie udaje się już zatrzymać

Będziemy rządzić co najmniej do roku 2031 – zapowiedział Mateusz Morawiecki. A prezes Kaczyński skomentował żartobliwie, że wicepremier jest pesymistą, bo on sam spodziewa się rządów jeszcze dłuższych. Nie jest to dobry moment na takie przechwałki, bo poparcie dla PiS po raz pierwszy od wyborczego zwycięstwa „zadołowało".

Widać to nie tylko po sondażach. Pierwszy z nich, w którym różnica między PiS a PO zmalała do kilku punktów, można było jeszcze zlekceważyć. Tym bardziej że wykonała go pracownia mająca na sumieniu wiele chybionych prognoz – nawet jej szef czuł się w obowiązku wyjaśnić w wywiadzie dla portalu Tomasza Lisa, że odnotowany efekt jest zapewne chwilowy. Niemniej tym razem trend potwierdził się w kolejnych badaniach różnych pracowni stosujących różne metodologie. We wszystkich notowania PiS okazały się trochę niższe, a różnica pomiędzy PiS a PO spadła do kilku punktów procentowych. Wzrost PO dokonuje się co prawda głównie kosztem Nowoczesnej, która zrównała się z trzymającym twardo swoje 8–10 proc. Kukiz'15 albo nawet ustąpiła mu miejsca na podium, ale zsumowane wyniki PO i Nowoczesnej również okazały się wyższe niż w poprzednich badaniach.

Jedyną lepszą wiadomością dla PiS jest w tych sondażach to, że odnotowują one także zauważalny wzrost deklarowanej frekwencji. Partia rządząca nie traci więc w liczbach bezwzględnych – po prostu niechęć do niej i gotowość wsparcia „totalnej opozycji" zadeklarowała część respondentów, dotąd od czasu wyborów deklarujących obojętność. Widać tu doskonale efekt strategii, którą niedawno w „Do Rzeczy" krytykowaliśmy – nastawienia się wyłącznie na swój twardy elektorat i tylko z nim komunikowania.

Dlaczego nazywam to wiadomością „lepszą"? Wiedząc bowiem, że przekonani się nie odwracają, a tylko zmobilizowała się przeciwko PiS część „milczącej większości", może partia się pocieszać, że takie mobilizacje bywają krótkotrwałe, jak tego w przywoływanym wywiadzie spodziewał się szef kontrowersyjnej pracowni badawczej.

DLACZEGO DRGNĘŁO?

Mądrzej jednak byłoby się zastanowić na miejscu rządzących, co sprawiło, że po półtora roku usilnych starań „opozycji totalnej", która bezskutecznie próbowała na wszelkie sposoby ową milczącą większość nastraszyć i zmobilizować przeciwko władzy, po raz pierwszy coś w nastrojach społecznych drgnęło.

Czyżby opozycja znalazła wreszcie wspólny język z utraconym elektoratem? Nic na to nie wskazuje. Antyrządowe manifestacje skurczyły się do kilku tysięcy stałych uczestników, lider KOD przoduje w rankingach „Komu najmniej ufamy?", lider Nowoczesnej nie jest w stanie odzyskać utraconej powagi, a i PO nie ma nikogo, kto by porywał tłumy – jej powrót na pozycję głównej siły „totalnej opozycji" jest w oczywisty sposób bardziej oznaką desperacji antypisu niż entuzjazmu. Nadal też nie znalazła drogi do serc wyborców. Śpie-

eprasa.pl a156d6168f

Każda kolejna władza III RP bardziej sama sobie szkodziła, niż była w stanie jej zaszkodzić opozycja. PiS zdaje się podążać tą samą drogą FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

wanie z kartki „Ody do radości" i zapowiadanie walki z Polexitem, który jest oczywistym dla wszystkich fantomem, nie rokuje lepiej niż poprzednie strachy, którymi starała się ich mobilizować. PiS wprowadzi państwo wyznaniowe, średniowiecze, będzie palić kobiety na stosie, zabierze Internet, wszystkich podsłuchuje, pisze na nowo historię Wałęsy, niszczy demokrację, demontuje Trybunał Konstytucyjny, zabiera wolność sądom, cofa do czasów PRL szkoły... Wszystko to wyborcy – nazwijmy ich – centrowi, tak jak puszczali mimo uszu, tak puszczają nadal. Poza żelaznym elektoratem antyprawicowym, ale temu z kolei jest wszystko jedno, pod jakimi akurat hasłami manifestuje swoją nienawiść do Kaczyńskiego, katolicyzmu i żołnierzy wyklętych.

W istocie nieudana próba niedopuszczenia do przedłużenia kadencji Donalda Tuska na kolejne 2,5 roku, choć sprawiła „totalnej opozycji" tak ogromną radość, pokazała, jak bardzo jest ona dziś słaba i że jedynym politykiem, który może nieco „podciągnąć" jej notowania, pozostaje Donald Tusk. Entuzjaści prezesa Kaczyńskiego, skłonni zawsze post factum przypisywać jego emocjonalnym zachowaniom sens czy nawet strategiczny geniusz, ukuli już tezę, że cała klęska została poniesiona celowo, na zasadzie szachowego gambitu, z wliczeniem w rachunek wizerunkowych strat, po to, by symbolicznie postawić po przeciwnej stronie sporu Tuska. Dlaczego formacji rządzącej ma się opłacać odsunięcie dwóch nieskutecznych i skłóconych przywódców opozycji na rzecz jednego, popularnego, obrońcy strategicznego geniuszu prezesa, na razie nie wyjaśnili, a chyba tylko nie ja jeden jestem tego wyjaśnienia ciekaw.

Fakt, że „totalna opozycja" nie umiała wykorzystać nawet tak oczywistej klęski rządu jak porażka w sprawie Tuska. Zamiast pójść za odczuciami wyborców, urządziła festiwal radości z tego, że Polska przegrała i została na arenie międzynarodowej upokorzona, czyniąc z wyniku głosowania „27:1" emblemat narracji „im gorzej, tym lepiej". To nie jest to, co wyborcy chcieli słyszeć, i tu po raz kolejny PiS miał szczęście. W ogóle taka opozycja jest dla Jarosława Kaczyńskiego i jego partii prawdziwym darem losu, ale ten dar losu zaczyna PiS wyraźnie szkodzić.

Stare chińskie powiedzenie każe spokojnie siedzieć na brzegu rzeki, nic nie robić, tylko czekać – trup wroga w końcu sam rzeką przypłynie. Może nie w każdej dziedzinie, ale w polityce, zwłaszcza w polskiej polityce, to przysłowie się sprawdza. Każda kolejna partia sprawująca władzę w III RP bardziej sobie szkodziła sama, niż była jej w stanie zaszkodzić opozycja. I na razie PiS zdaje się podążać tą samą drogą.

SZARŻA NA TUSKA I MISIEWICZ

Sondaże nie są jedynym dzwonkiem alarmowym, który powinien głośno rozbrzmieć przy Nowogrodzkiej i w innych biurach rządzącej partii. Każdy, kto ma jakiś kontakt z przeciętnymi Polakami, nieangażującymi się w życie polityczne i przez to na co dzień niedającymi politykom żadnego „feedbacku", ale mającymi przecież swoje zdanie, musiał zauważyć coś, czego od czasu wyborów nie było. Złe słowa o PiS padają nie tylko z ust typowych „lemingów", które nienawidzą wszelkiej prawicy i ze względów – nazwijmy to – tożsamościowych oraz z powodu poczucia zagrożenia różnego rodzaju grup interesu, z którymi się identyfikują. PiS zdołał wzbudzić irytację także wśród tych, którzy beneficjentami III RP nigdy nie byli, przeciwnie – są często beneficjentami nowych rządów, np. programu „500+", i bynajmniej nie mają powodu chcieć, „żeby znowu było tak, jak było".

Brukselska szarża na Tuska ma tu swoje znaczenie. Rząd obrócił nią przeciwko sobie ten sam społeczny odruch, na którym sporo korzystał, kiedy krytykował „totalną opozycję" za jej brukselskie zabiegi o skarcenie polskiego rządu przez unijne instytucje, nałożenie sankcji czy przynajmniej werbalne „przeczołganie" Polski podczas kolejnych debat w europarlamencie. Polacy po prostu odruchowo uważają za rzecz naganną wynoszenie polskich, krajowych sporów na zewnątrz i wciąganie w nie obcych.

A upór, z jakim rząd starał się „zdjąć" Polaka z symbolicznego, ale prestiżowego unijnego stanowiska, odebrany został właśnie w ten sposób: jako akt małości, prywatnej zemsty Jarosława Kaczyńskiego, który może sobie Tuska nie lubić, wiadomo zresztą, że Tusk też za nim nie przepada, ale z tej niechęci posuwać się do niszczenia tak drogich Polakom pozorów bycia przez „cywilizowany świat" docenianymi i dopieszczanymi – to hańba. Tak każdy przeciętny Polak tę szarżę i kwiaty wręczane przez prezesa wracającej po klęsce pani premier zrozumiał. I trudno się zresztą dziwić – rząd nie umiał wiarygodnie uzasadnić (pytanie, czy w ogóle to możliwe?), czemu akurat w tej, a nie innej sprawie postanowił „pokazać", że Niemcy nie liczą się z mniejszymi państwami.

To nie jest jedyny powód zauważalnego rozczarowania rządami PiS. Bardzo źle odebrali Polacy „niezatapialność" Bartłomieja Misiewicza. Słusznie czy nie, stał się on symbolem arogancji nowej władzy i zatraty przez nią przyzwoitości. Upór, z jakim raczej mało popularny Antoni Macierewicz broni

eprasa.pl a156d6168f

Sprawa Bartłomieja Misiewicza niszczy wizerunek PiS jako partii innej niż ci od ośmiorniczek FOT. M. GRZELAK/REPORTER

ulubieńca, któremu – mimo młodego wieku i braku wykształcenia – „załatwił" synekury w radach nadzorczych, arogancja jego samego, każącego sobie salutować dużo starszym oficerom czy jeżdżącego służbowym samochodem na dyskoteki – te obrazy przebiły się do publicznej świadomości i zniszczyły wizerunek PiS jako partii może niekoniecznie intelektualnych orłów, ale jednak polityków z innej gliny niż ci od ośmiorniczek. Co gorsza, raz powstała za sprawą uporu Macierewicza wizerunkowa rysa zaczęła się poszerzać, gdy okazał się on również lekceważyć najpopularniejszego polityka rządzącego, jakim jest prezydent Duda. Spory wewnątrz partii nigdy nie służą jej dobrze, ale w tym przypadku, gdy protagonistą wyraźnie biorącym górę jest polityk zaburzający wyborcom poczucie bezpieczeństwa i uznany za łamiącego w imię kolesiostwa standardy przyzwoitości – tym bardziej.

PiS uwielbia się żalić, że wciąż znajduje się pod ostrzałem wrogo doń nastawionych mediów, że wszystko one przekręcają, manipulują i starają się na wszelkie sposoby zaszkodzić. To w dużym stopniu prawda, ale władza powinna się raczej cieszyć, że ten zmasowany ostrzał prowadzony jest na oślep, bez pomyślunku, i tylko rzadko, przypadkiem, trafia celnie. Takim celnym trafieniem są jednak na pewno pojawiające się od czasu do czasu listy bliższych i dalszych krewnych, szwagrów, konkubin i znajomych znajomych rządzących polityków, którzy znaleźli się w rozmaitych radach nadzorczych czy na państwowych albo w inny sposób pozostających pod wpływem partii synekurach. Centrowy wyborca wiele PiS wybaczał, wierząc w większą uczciwość i przyzwoitość jego działaczy. Jeśli tę wiarę straci, to i przebaczenie się skończy.

INCYAPA

Tym bardziej że polityka informacyjna rządu nie istnieje. Można do woli narzekać na stronniczość TVN, ale jeśli jedna z głównych agencji ratingowych poprawia w górę prognozę wzrostu PKB dla Polski, to aż się prosi, by ten sukces rządu uczynić najważniejszym wydarzeniem dnia. Tym bardziej że opozycja sama podniosła PKB, wskaźnik niewiele tak naprawdę mówiący o gospodarce, do rangi propagandowego fetyszu, a agencje ratingowe czyniła nieomylną wyrocznią, spodziewając się z ich strony ataku na rząd PiS.

Tymczasem w takim dniu media żyją fatalnym lapsusem (oby tylko) ministra Waszczykowskiego, jakoby wybór Tuska został „sfałszowany". I wszyscy ministrowie, zamiast chełpić się sukcesem, muszą znowu brnąć w sprawę, o której im szybciej Polacy zapomną, tym dla władzy lepiej, i tłumaczyć się z oczywistej bzdury. Pretensje można mieć tylko do własnego chaosu informacyjnego. Nieudolność władzy w tej dziedzinie to temat na osobne analizy. Nawet gdy rząd czyni coś, co większości ludzi się podoba – np. umożliwia wycięcie drzew na własnej prywatnej działce bez przechodzenia, tak jak dotąd, urzędniczego slalomu – pozwala zrobić z tego karykaturę.

Bardzo niebezpieczne dla PiS są też posunięcia w oczywisty sposób dyktowane przez rozmaite lobby – takie jak np. ustawa ograniczająca liczbę aptek, zamykanie na niedzielę pod dyktando związku zawodowego galerii handlowych, gromadzących w weekendy tłumy Polaków, czy fatalny pomysł „jednolitej ceny książek". To kolejny sposób niweczenia korzystnego dla PiS wizerunkowego kontrastu z partiami „załatwiaczy", które większość Polaków odrzuciła jesienią 2016 r.

Każda z takich spraw to kropla drążąca skałę. Jednak proces psucia się wizerunku publicznego przypomina zanieczyszczanie rzeki – wszelkie ścieki wydają się w niej ginąć bez śladu, nie widać żadnych powodów do szczególnego niepokoju i nagle, w momencie, którego nie zdoła dokładnie przewidzieć żaden ekolog, ekosystem umiera i wtedy już niczego się nie da zrobić.

Każda z partii rządzących dotąd Polską przeżywała to, co sam Jarosław Kaczyński zdiagnozował kiedyś u Unii Demokratycznej jako „stan silnej rozkoszy" – poczucie, że „nie ma z kim przegrać", i pewność „co najmniej dwunastu lat stabilnych rządów". I każda lekceważyła drobne, sumujące się wizerunkowe przegrane, aż jakieś zupełne głupstwo, jak firanki posła Pęczaka czy ośmiorniczki uruchamiały niepowstrzymaną lawinę, której już nie dało się zatrzymać.

Liderzy Prawa i Sprawiedliwości wydają się hołdować przekonaniu, że niezdecydowanymi nie ma się co przejmować, pomiędzy wyborami liczą się tylko „twarde" elektoraty, a o reszcie pomyśli się, gdy przyjdzie czas na kampanię, i jakoś tam ją oczaruje.

Tymczasem wtedy może się okazać, że czary już nie działają i na wszystko za późno.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a156d6168f

PAWEŁ ZARZECZNY

1961 - 2017

Dziękujemy Pawle, że byłeś z nami.

Zespół oraz widzowie TV Republika

republika

raport DO RZECZY

Wojciech Wybranowski

Ma doświadczenie i kompetencje. Dzięki temu mógłby być jednym z najskuteczniejszych szefów MSZ. Dlaczego więc w historii dyplomacji zaczął zapisywać się gafami?

Kampanie wyborcze w 2015 r. – prezydencka i parlamentarna. Witold Waszczykowski organizuje spotkania z zagranicznymi dyplomatami i ambasadorami. Na każdym z nich świetnie wypada. Dyplomaci, uczestnicy spotkań i współpracownicy prezesa PiS doceniają jego poziom wiedzy, spokój, opanowanie. Kilka wystąpień przyjętych zostaje oklaskami.

– Wydawało się, że jako szef dyplomacji będzie jak Ławrow: chłodny, opanowany, cyniczny – opowiada w rozmowie z „Do Rzeczy" jeden ze współpracowników premier Beaty Szydło. – Jednak gdy został już ministrem, coś w niego wstąpiło. Daje się ponieść emocjom, zalicza wpadkę za wpadką. Jakby miał dwie twarze.

WPADKI? JAKIE WPADKI?

O szefie polskiego MSZ co rusz jest głośno. Na początku ubiegłego tygodnia stwierdził, że przy wyborze Donalda Tuska na szefa Rady Europejskiej doszło do fałszerstwa. – Zastanowimy się nad tym, czy podważyć wybór Tuska, czy jest to warte – powiedział w programie „Jeden na jeden".

Te słowa wywołały burzę polityczną, medialną i sporą konsternację wśród członków polskiego rządu. Od wypowiedzi Waszczykowskiego odciął się jego zastępca, wiceminister Konrad Szymański, dystansowali się też inni przedstawiciele rządu. W tylnych rzędach partii Kaczyńskiego słychać głosy zniechęcenia działaniami szefa MSZ i sugestie, że jego pozostawanie na tym stanowisku będzie stanowiło dla PiS obciążenie wizerunkowe.

Oficjalnie partia milczy. Nieoficjalnie tygodnik „Do Rzeczy" dowiedział się, że przynajmniej na razie szef MSZ nie musi się obawiać dymisji. W ubiegłym tygodniu miało dojść do godzinnej rozmowy Jarosława Kaczyńskiego z Waszczykowskim dotyczącej m.in. polityki europejskiej i przyszłości polityka w MSZ.

Dyplomata na językach

FOT. ŁUKASZ KOBUS/FORUM

eprasa.pl a156d6168f

– Pozycja ministra Waszczykowskiego jest stabilna – mówi nam osoba z bliskiego otoczenia lidera PiS. I przypomina, że szef MSZ koordynuje działania zmierzające do tego, by Polska została członkiem niestałym Rady Bezpieczeństwa ONZ.

Sam Waszczykowski, gdy rozmawiamy z nim o kontrowersjach, które narosły wokół jego działań i wypowiedzi, nie kryje zaskoczenia: – Jakie wpadki? – pyta z autentycznym zdziwieniem. I przekonuje: – Polski rząd, Antoni Macierewicz, ja czy inni członkowie rządu, którzy starają się podejmować poważne reformy i zmiany, są ofiarami brutalnych ataków prowadzonych lub inspirowanych przez zagraniczne ośrodki, think tanki, którym bardzo nie podoba się zmiana kursu polityki zagranicznej. To jest element pewnej wojny, wywierania presji, zdajemy sobie z tego sprawę. Niestety, uczestniczą w tym również niektóre media – dodaje.

Akurat z wojną Waszczykowski też mocno się podłożył, i to zaledwie kilka dni wcześniej. Podczas rozmowy w Polsat News wojnę na Bałkanach określił mianem „marginalnej". W rozmowie z „Do Rzeczy" minister przekonuje, że został źle zrozumiany, bo nigdy nie powiedział, że wojna na Bałkanach była nieważna, a terminu „marginalna" użył w sensie geograficznym, ponieważ konflikt toczył się na rubieżach Europy.

– Niech się bawią – palnął z kolei jesienią ubiegłego roku, gdy opozycji i związanym z nią mediom udało się wyprowadzić na ulice polskich miast tysiące kobiet w proteście przeciwko planom zmiany ustawy antyaborcyjnej. Szef MSZ czarny protest nazwał kpiną i zjawiskiem marginalnym. Te lekceważące opinie stały się dla rządu Beaty Szydło i PiS większym wizerunkowym problemem niż same demonstracje, które wbrew oczekiwaniom opozycji nie przerodziły się w ciągły społeczny bunt.

Prawdziwym hitem w środowiskach niechętnych PiS stało się jednak podanie nazwy nieistniejącego państwa – San Escobar. W trakcie szczytu ONZ szef polskiej dyplomacji relacjonował dziennikarzom: – Mamy okazję do prawie 20 spotkań z różnymi ministrami. Z niektórymi, jak np. na Karaibach, po raz pierwszy chyba w historii naszej dyplomacji. Na przykład z takimi krajami jak San Escobar albo Belize – wyliczał. „San Escobar" szybko zaczął żyć własnym życiem, zwłaszcza za sprawą przeciwników rządu. Na Twitterze dorobił się własnego konta, flagi, ambasadorów, ba – nawet opisu w Wikipedii. Witold Waszczykowski tłumaczył później, że przejęzyczył się ze zmęczenia i chodziło mu o karaibskie państwo San Cristóbal.

– Jestem doświadczonym dyplomatą, od lat funkcjonuję w tej sferze i wielu dziennikarzy zdaje sobie sprawę, że nie może rywalizować merytorycznie. Nie podejmują więc dyskusji, nie próbują polemizować, ale szukają haków, wyrwanych z kontekstów zdań, by ośmieszać – mówi „Do Rzeczy" szef MSZ. – W minionym roku odbyłem prawie 70 wizyt zagranicznych i przyjąłem blisko 50 wizyt w kraju. Proszę znaleźć jakikolwiek błąd dyplomatyczny w którymś z tych wydarzeń międzynarodowych!

PUSY I MINUSY

Witold Waszczykowski rzeczywiście jest wśród prawicowych polityków jednym z najlepiej przygotowanych do kierowania polską dyplomacją. Doskonale włada językiem angielskim, zna akty prawne i dokumenty dotyczące funkcjonowania UE oraz europejskich struktur. Wcześniej przez wiele lat pracował w polskiej dyplomacji, był m.in. szefem Biura Łącznikowego RP przy NATO. – W działaniach ministra Waszczykowskiego są plusy i minusy. Do tych ostatnich zaliczam np. niestabilną politykę wobec Chin, która w wykonaniu rządu często idzie w poprzek staraniom prezydenta Dudy. A plusy? Na pewno należy do nich próba znormalizowania stosunków z naszym wschodnim sąsiadem, czyli Białorusią – ocenia poseł Adam Andruszkiewicz z Kukiz'15.

Jednak za kontakty z Łukaszenką na polską dyplomację posypały się gromy także z prawej strony. Wiele wskazuje bowiem na to, że ceną, jaką Polska miała zapłacić za gospodarcze zbliżenie, było zapowiadane przez Waszczykowskiego obcięcie sporej części dotacji na telewizję Biełsat wpierającej wolność słowa na Białorusi. W praktyce oznaczałoby to likwidację stacji.

Część klubowych kolegów z PiS ma za złe Waszczykowskiemu ściągnięcie do Polski Komisji Weneckiej, która miała badać stan praworządności. Skończyło się to krytycznymi raportami wykorzystywanymi przez opozycję do walki z rządem. Jednak to nie Waszczykowski był autorem tego pomysłu. Decyzję o wysłaniu listu do Komisji Weneckiej miał ostatecznie zaakceptować Jarosław Kaczyński.

Takiego alibi brakuje już chyba jednak w kwestii przygotowania dyplomacji do walki o nieprzedłużanie kadencji Donalda Tuska jako przewodniczącego Rady Europejskiej. Wielu posłów PiS i prawicowych komentatorów ocenia te działania Waszczykowskiego negatywnie. Niektórzy zaznaczają, że Jacek Saryusz-Wolski zdecydował się kandydować zbyt późno, że decyzje ostateczne podejmowała „Nowogrodzka", że „sprawa i tak była przegrana", ale zgadzają się też, że w pewnych momentach dyplomatycznej finezji zabrakło. Na przykład wtedy, gdy szef MSZ odpowiedział dziennikarzom, że nie wie, ile państw popiera Saryusza-Wolskiego. – Nie kolekcjonujemy tego – dodał.

– Gra się takimi kartami, jakie się ma, my w tym rozdaniu nie mieliśmy zbyt silnych. Może jego wypowiedź nie była zbyt dyplomatyczna, czasami reaguje zbyt emocjonalnie, ale też wziął na siebie trudną rolę człowieka, który przyjmuje na siebie wiele ataków mających podważyć pozycję polskiego rządu – tłumaczy Waszczykowskiego poseł Leonard Krasulski (PiS) wiceprzewodniczący sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą.

PUBLICYSTA CZY POLITYK

Można odnieść wrażenie, że szefowi MSZ trudno poskromić publicystyczne zapędy. I to nawet wówczas, gdy rozwaga nakazywałaby politykowi być bardziej oszczędnym w słowach. Niektórzy w PiS się zastanawiają, czy nie będzie to w końcu gwoździem do politycznej trumny Waszczykowskiego. – Czy nie gubi mnie zapał publicystyczny? Bardzo wiele dzieje się na świecie. Chyba tylko za ministra Krzysztofa Skubiszewskiego świat był podobnie niebezpieczny. Minister spraw zagranicznych musi zatem wypowiadać się na temat ważnych spraw i bronić polskich interesów. A gdybym milczał? Też byłbym atakowany – odpowiada Witold Waszczykowski „Do Rzeczy". I opowiada o zdarzeniu, do którego doszło latem ubiegłego roku: – Proszę sobie wyobrazić, że na spotkaniu z papieżem Franciszkiem podczas Światowych Dni Młodzieży tylko uścisnąłem mu dłoń, powiedziałem parę zdań i poszedłem dalej. Natychmiast jedna z telewizji skomentowała, że Waszczykowski nie miał papieżowi nic do powiedzenia.

Szef MSZ w język gryźć się nie zamierza, a to oznacza, że jeszcze nieraz pewnie skłonność do polemik, barwnej argumentacji i słownych filipik spowoduje, iż on sam lub jego współpracownicy będą musieli tłumaczyć, co tak naprawdę szef miał na myśli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a156d6168f

Z Tomaszem Rzymkowskim, wiceprzewodniczącym komisji śledczej ds. Amber Gold, posłem klubu Kukiz'15
rozmawia Edyta Hołdyńska

Parasol służb specjalnych nad Amber Gold?

EDYTA HOŁDYŃSKA: Z prac komisji śledczej ds. Amber Gold wyłania się tragiczny obraz funkcjonowania państwa. Dlaczego Donald Tusk nie powiadomił podległych sobie służb? Marek Belka twierdzi, że go poinformował, zanim wybuchł skandal.

TOMASZ RZYMKOWSKI: Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego i jej działalność w tamtym okresie to clou całej sprawy. ABW o tym, kto stoi na czele Amber Gold, dowiedziała się już w lutym 2010 r., co przed komisją zeznał Jarosław Mąka. Marcin P. był dziewięć razy skazany za przestępczość związaną z obrotem gospodarczym, zanim powstała spółka Amber Gold. To wypłynęło podczas postępowania kontrolnego przeprowadzonego przez Ministerstwo Gospodarki, czego efektem było cofnięcie decyzji o wpisaniu do rejestru domów składowych spółki Amber Gold. Jarosław Mąka poinformował centralę ABW w Warszawie o tym, że jest to spółka bardzo podejrzana. I to była przełomowa informacja. Do tej pory oficjalnie panowało przekonanie, że jako pierwszy ABW w maju 2012 r. poinformował Bank Gospodarki Żywnościowej, prowadzący rachunki Amber Gold. Szef ABW poinformował wówczas w trybie ekspresowym o przestępczej działalności Amber Gold najważniejsze osoby w państwie: prezydenta, premiera, szefów innych służb. Wystąpiliśmy o przekazanie nam treści tej informacji.

Jednak Amber Gold upadł w lipcu.

A w ciągu tych dwóch miesięcy najwięcej Polaków zdeponowało swoje oszczędności w Amber Gold. ABW prowadziła postępowanie, ale nie rozpoczęła działań mających na celu zabezpieczenie tych pieniędzy. I one wyparowały. A można było zablokować konta bankowe Amber Gold, przesłuchać tych ludzi.

Szefowie urzędów państwowych i służb przerzucają się teraz odpowiedzialnością. Kto powinien to zrobić?

Tak jak w każdej instytucji, jeśli podwładny popełnia błąd, konsekwencje ponosi szef. Zwierzchnikiem całej administracji cywilnej, także służb specjalnych, jest prezes Rady Ministrów, czyli wówczas Donald Tusk. Ponadto w okresie od 2008 r., czyli od odwołania Pawła Grasia, do 2014 r. Donald Tusk nie wyznaczył ministra koordynatora służb specjalnych, tak więc to premier na podstawie specustaw był w tym czasie bezpośrednim przełożonym wszystkich służ specjalnych. Sprawował nad nimi nadzór i koordynował je. Według mnie to przesłanka, by pociągnąć Donalda Tuska do odpowiedzialności politycznej przed Trybunałem Stanu.

Są zarzuty, że prace komisji to tylko polowanie na Donalda Tuska.

Wątek Donalda Tuska jest jednym z wielu, jaki badamy. Chodzi o nieprawidłowości w funkcjonowaniu państwa, takie jak brak nadzoru nad służbami, i to, że specsłużby podjęły swojego rodzaju grę. Sprawdzamy, czy Bank Gospodarki Żywnościowej nie złożył zawiadomienia do ABW pod wpływem informacji nieoficjalnych z samej ABW; czy ktoś nie chciał, żeby BGŻ zawiadomił służby oficjalnie i żeby wówczas mogły one przystąpić do działania. Jest dla mnie nie do wytłumaczenia, by w ciągu godziny, a tyle minęło od złożenia wniosku, przygotować pełną informację do najważniejszych osób w państwie o zagrożeniu ze strony Amber Gold. To oznacza, że ABW już wcześniej prowadziła te działania, natomiast nie wiemy, co się działo od powstania Amber Gold w 2009 r. do maja 2012 r. Jakie działania podejmowała ABW. Najważniejsza jest odpowiedź na pytanie: „Dlaczego ABW tak się zachowała?".

Działań zaniechały także inne urzędy państwowe: Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, Komisja Nadzoru Finansowego. Czy wszyscy powinni ponieść konsekwencje?

Oczywiście mamy winne i prokuraturę, i KNF, i UOKiK, który kompletnie nic nie zrobił. Prokuratura pozorowała pewne działania, KNF zrobiła chyba najwięcej ze wszystkich instytucji, ale UOKiK nawet nie wszczął stosownego postępowania. Cała wierchuszka urzędu prowadziła postępowanie przedwstępne i nie szukała bliższych informacji. Proszę sobie wyobrazić, że mamy do czynienia z kradzieżą. I ktoś poświadcza, że osoba podejrzana była w innym miejscu, a organy ścigania już odstępują od dalszych czynności. Nie sprawdza, czy alibi jest prawdziwe. Umarza postępowanie. Tak wyglądała praca UOKiK względem Amber Gold. Pani prezes zasłaniała się tym, że każda decyzja musi być weryfikowana przez niezawisły sąd, Sąd Okręgowy w Warszawie. I tylko w przypadkach ewidentnych kierują sprawę do sądu. Tutaj nawet umowa zawierana między klientem a Amber Gold była konstrukcją różnych umów cywilnoprawnych, momentami wzajemnie się wykluczających. Sam przekaz płynący z reklam, obiecujący wysokie zyski dzięki inwestycji w złoto, nie został sprawdzony. Dlaczego UOKiK nie zbadał tego mechanizmu? Funkcjonariusze tłumaczyli się, że nie wnikają w model biznesowy firmy. A to fundamentalna sprawa do

FOT. ARCHIWUM TOMASZA RZYMKOWSKIEGO

eprasa.pl a156d6168f

sprawdzenia, czy Amber Gold kupowało złoto, czy ordynarnie oszukiwało. Do tej pory nie mamy pewności, choć wszystko wskazuje na to, że tego złota było mało, ok. 10 kg.

Czy nie ma pan wrażenia, że ktoś rozpiął parasol ochronny nad tą spółką i nawet kiedy nieprawidłowości zostały już zauważone, powstrzymywał wszelkie działania?

Takie wrażenie towarzyszy mi od samego początku. I to były najprawdopodobniej służby specjalne, które mają doskonałą wiedzę na temat funkcjonowania państwa, poszczególnych funkcjonariuszy, i tylko one mogą taki parasol ochronny rozpiąć. Tutaj jest duży problem do sklasyfikowania działań poszczególnych organów. Niektóre podmioty starały się rzeczywiście coś zrobić. KNF to jedna z jaśniejszych instytucji w sprawie. Ministerstwo Gospodarki skutecznie przeszkodziło w niektórych działaniach. Sądownictwo i kurator sądowy nie powinni ufać osobie, która była dziewięciokrotnie skazana.

A jaka była rola syna Donalda Tuska, pracującego w OLT Express finansowanym przez Amber Gold?

OLT to skrót od „Ostfriesische Lufttransport", co oznacza wschodnio-fryzyjski transport lotniczy. To spółka powstała w 1958 r., która została połączona w późniejszej fazie z Jet Air. Pod tą marką istniało kilka spółek. Nie wiadomo, czy jest tutaj podwójne dno, czy maniera przyjmowania obcobrzmiących nazw firm. Jesteśmy w trakcie sprawdzania tej tezy. My podchodzimy bowiem do sprawy jak badacze, którzy sprawdzają swoje przypuszczenia na podstawie badań, my sprawdzamy na podstawie zeznań świadków i dokumentów.

Na jaką tezę stawiacie teraz?

Po analizie przekazu medialnego od samego początku postawiłem sobie tezę, że za całym przedsięwzięciem stała zorganizowana grupa przestępcza, mająca swój rodowód w Trójmieście, która współpracowała ze służbami specjalnymi lub wykorzystywała je. Uczestniczyli we wszystkim niektórzy politycy Platformy Obywatelskiej, ale także funkcjonariusze publiczni, którzy byli wykorzystywani do krycia całej sprawy. I, paradoksalnie, Donald Tusk mógł o sprawie nie wiedzieć. Ważna jest korelacja czasowa. W maju wpływa zawiadomienie BGŻ, w tym samym czasie syn Donalda Tuska podejmuje współpracę z OLT Express. Nie pracuje tam, nie ma umowy o pracę, ale wykonuje zlecenia w ramach prowadzonej przez siebie działalności. Ta współpraca trwała dwa miesiące i możliwe, że kiedy Donald Tusk dowiedział się o tym fakcie, rozpoczęła się operacja wyciągnięcia syna z całości. Donald Tusk? mógł dopiero wtedy zorientować się, że bliskie mu otoczenie, czyli służby, policja, funkcjonariusze państwowi, współpracują z grupą przestępczą.

A czy sam Michał Tusk wiedział, co tam się dzieje? Z zeznań świadków wynika, że zabiegał o współpracę z Amber Gold.

Nie chciałbym przedwcześnie tego sugerować. Po to powołaliśmy Michała Tuska na świadka. W czerwcu odpowie na nasze pytania, a będzie ich naprawdę bardzo dużo. Jakie były jego kontakty z branżą lotniczą? Jak to się stało, że rozpoczął współpracę? Czy informował o tym ABW? Jak wyglądał jego kontakt z ABW? Przecież nie mamy do czynienia ze zwykłym obywatelem, a z synem premiera. Najbliższym członkiem rodziny najważniejszej osoby w państwie. Numer jeden. Ochrona dla bliskich takich osób jest standardem na całym świecie. Służby specjalne strzegą takich osób jak oka w głowie. Jak to się stało, że taka osoba podjęła współpracę z panem P., który był – delikatnie mówiąc – osobą bardzo podejrzaną? I jakie były rozmowy syna z ojcem? Czy były takie dialogi mówiące o współpracy z Amber Gold? Czy to ojciec kazał się synowi z tego interesu wycofać? Czy jakiś funkcjonariusz ABW mu to polecił? Domniemanie niewinności nie jest tylko instytucją prawną. Mam świadomość, że czasem można się wpakować nieświadomie w poważne tarapaty.

Wielu świadków także mówi o tym, że gdyby wiedzieli, co to za spółka, wcześniej wzięliby ją pod lupę. A w tamtym okresie nikt jej o nic nie podejrzewał.

W przypadku funkcjonariuszy publicznych, zajmujących się zawodowo badaniem mechanizmów społeczno-prawnych, mamy do czynienia z zaniechaniem. Z niepodjęciem czynności, za które my, podatnicy, płacimy. Z niewykonaniem posługi wobec społeczeństwa. Marek Belka zachował się skandalicznie, mówiąc o trzech telefonach, które wykonał w czasie swojej kadencji do redaktorów naczelnych i do premiera z informacjami o nieprawidłowościach w OLT Express, a nie samym Amber Gold, i nie reagując. Nie sprawdzając, czy Amber Gold wykonuje działalność kantorową, która była pod jego nadzorem. Powiedział, że wszyscy o tym wiedzieli, ale nie reagowali. To paraliżujące.

Mając takie informacje, jakie mamy teraz, kto powinien już usłyszeć zarzuty?

Skierowaliśmy zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez prok. Barbarę Kijanko, pierwszego prokuratora referenta, a także prok. Hannę Borkowską. To pani prokurator, która trzymała akta sprawy przez trzy miesiące, między 5 stycznia a 4 kwietnia 2012 r. Problem w tym, że minęło wiele czasu. Część zarzutów już się przedawniła, a część przedawni się za chwilę. Natomiast odpowiedzialność dyscyplinarną część funkcjonariuszy powinna ponieść. A przynajmniej nie pełnić funkcji kierowniczych, skoro zawiedli społeczeństwo. To np. prok. Dariusz Różycki, który przyjmował korzyść majątkową w postaci karnetu na mecze Lechii Gdańsk, a także kurator Marek Lipski, który nie dopełnił swoich powinności służbowych. Tutaj postępowanie już się toczy. I będzie więcej takich wniosków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl/a156d6168f

Rodzice jak bohaterowie

Agnieszka Niewińska

Nie wyobrażają sobie, by ich chore dziecko trafiło do jakiejś placówki. Zamieniają mieszkanie w szpital i stają się specjalistami od zmieniania opatrunków oraz żywienia dojelitowego. Wielu bez pomocy nie poradziłoby sobie z tym wyzwaniem

FOT. FOTOLIA

Rozmawiam z córką, opowiadam jej różne historie, puszczam piosenki – wylicza Ewa Brzezińska, mama sześcioletniej Michelle. Można by powiedzieć, że u Brzezińskich jest jak w wielu innych domach, gdyby nie to, że Michelle jest w ciężkim stanie klinicznym, a mama musi być przy niej dzień i noc. Dziewczynka w swoim domu w wielkopolskim Pleszewie zamiast lalkami, pluszakami czy kolorowymi kredkami jest otoczona specjalistycznym sprzętem. Aparatura medyczna pomaga jej w oddychaniu. Michelle nie jest w stanie jeść samodzielnie, więc karmiona jest dojelitowo. Nie ma z nią kontaktu, choć mama potrafi się z córką porozumieć.

– Kiedy zbliża się do niej pielęgniarka z igłą, Michellka płacze, ale ja mówię do niej, proszę, żeby przestała, i ona naprawdę to rozumie, uspokaja się. Jak jest jej dobrze, to poznaję to po jej twarzy, ma taki spokojny, ukojony wyraz – mówi mama dziewczynki.

Michelle cierpi na dziecięce porażenie mózgowe – głębokie, z poważnym nasileniem objawów – oraz na padaczkę lekooporną. Codziennie ma nawet sześć ataków. – A to i tak znaczna poprawa, bo były takie momenty, że ataków było ok. 30 w ciągu doby – opowiada Brzezińska.

ZŁE WIADOMOŚCI

Dziewczynka spieszyła się na świat. Pani Ewa odwiedzała akurat siostrę w Londynie, kiedy zaczął się poród. – Był długi i trudny, ale kiedy wzięłam Michellkę na ręce, wydawało mi się, że mam zdrowe dziecko. Badania pokazały, że jest problem ze słuchem. Szybko wróciłam do Polski na szczegółowe badania – opowiada. Okazało się, że nie chodzi jedynie o problem ze słuchem. Z diagnozą trudno było się pogodzić. – Lekarze zalecali rehabilitację, mówili, że może zdziałać cuda, i ja się uczepiłam tej nadziei – wspomina. Stan Michelle ciągle się jednak pogarszał. Kiedy skończyła roczek, pojawiła się wysoka gorączka, dziewczynka nie mogła oddychać, zapadła się jej tchawica. Leżała pod respiratorem. Mama z pamięci recytuje wszystkie złe wiadomości, które usłyszała od lekarzy. Zapalenie otrzewnej, zatrzymanie akcji serca, zapadnięte płuca. Dziewczynka przechodziła kolejne operacje. – Lekarze wezwali mnie nawet do szpitala, żebym się z Michellką pożegnała. Ona jednak przeżyła, a ja bardzo chciałam zabrać ją do domu – dodaje.

Monika Pinkowska ze stowarzyszenia SPES, które utworzyło program pomocy dzieciom w ciężkim stanie klinicznym, zwraca uwagę, że opieka nad tak głęboko niepełnosprawnym dzieckiem to dla rodziny ogromne obciążenie – zarówno fizyczne, psychiczne, jak i materialne. – Jedno z rodziców, zazwyczaj

eprasa.pl a156d6168f

jest to mama, musi zrezygnować z pracy i zająć się dzieckiem. Ono wymaga opieki przez całą dobę. Nawet jeśli oddech wspiera aparatura, to rodzic i tak czuwa. Nie ma odpoczynku ani wakacji. Staje się specjalistą od zmieniania opatrunków, odsysania śliny, żywienia dojelitowego. Świadczenie pielęgnacyjne, które dostaje, to 1,4 tys. zł. Wiele naszych podopiecznych na same leki, opatrunki i odżywki wydaje 1 tys. zł miesięcznie. Do tego bardzo wzrastają wydatki na prąd ze względu na działającą przez całą dobę aparaturę – wylicza Pinkowska.

Dla Ewy Brzezińskiej było to nie do udźwignięcia, bo córką opiekuje się sama, do niedawna nie miała nawet własnego dachu nad głową – zajmowały jeden pokój bez łazienki. Romskie pochodzenie jeszcze utrudniało codzienną walkę o zapewnienie opieki córce.

DUŻE POTRZEBY I SPEŁNIONE MARZENIA

Nie tylko bieżące wydatki są problemem rodziców zajmujących się dziećmi w ciężkim stanie. Brakuje wsparcia przy zakupie specjalistycznego sprzętu, a bez łóżka rehabilitacyjnego, zapobiegającego odleżynom, koncentratora tlenu, ssaka albo specjalistycznego wózka nie ma możliwości, by zaopiekować się dzieckiem w domu. Bez pomocy organizacji pozarządowych wiele rodzin nie byłoby w stanie kupić niezbędnego sprzętu. Stowarzyszenie SPES rodzinom w najtrudniejszej sytuacji przyznaje comiesięczne stypendia, pomaga też w niezbędnych remontach, które ułatwią opiekę nad dzieckiem. – Pomoc, której udzielamy naszym stypendystom, to nie zasiłek ani zapomoga, tylko stypendium, które umożliwia dążenie do trwałej poprawy sytuacji życiowej. W miarę możliwości dofinansowujemy także podnoszenie kwalifikacji zawodowych żywicieli rodzin, likwidację barier architektonicznych, zakup sprzętu wspomagającego opiekę. Mamy do rodziców ogromny szacunek, bo to ludzie, którzy bardzo kochają swoje dzieci, są im oddani i wszystko by dla nich zrobili – mówi Monika Pinkowska.

Ewa Brzezińska nie chce nawet myśleć, jak wyglądałaby sytuacja jej córki, gdyby nie pomoc stowarzyszenia SPES. Organizacja nie tylko wspiera ją comiesięcznym stypendium, lecz także wytrwale zabiegała w urzędzie miasta o przyznanie mieszkania komunalnego, które następnie wyremontowała i wyposażyła. – Ja nawet nie wierzyłam, że ktoś może nam pomóc w taki sposób, byłam w szoku. Gdyby nie ta pomoc, to chyba nie dałabym rady zająć się Michelle w domu – mówi. – Potrzeby Michelle są dziś zaspokojone, ma wszystkie sprzęty, profesjonalne łóżeczko, specjalnie przystosowaną łazienkę. Czujemy się bezpiecznie – mówi. I dodaje, że spełniło się jedno z jej największych pragnień. Michelle w maju będzie miała pierwszą komunię świętą. – Inne marzenia? Chciałabym kiedyś pojechać do sanktuarium w Lourdes. Oczywiście największym byłoby, żeby córka była zdrowa. Niestety, jej rokowania nie są najlepsze – dodaje.

Stowarzyszenie SPES ma w tej chwili 23 stypendystów. – Spośród rodzin, które się do nas zgłaszają, wybieramy te, które są w najtrudniejszej sytuacji, mają mniej sił, zasobów i możliwości, aby zorganizować indywidualną zbiórkę. Dlatego tworzymy fundusz pomocy stypendialnej, aby rozdysponować środki dla rodzin według potrzeb. Takie rozwiązanie odciąża rodziny i daje im 12 miesięcy pewności, że zaspokojone będą bieżące, najważniejsze potrzeby – mówi Monika Pinkowska.

SPES udziela pomocy długofalowej, często wspiera rodziny przez kilka kolejnych lat. Od ilości środków przekazanych przez darczyńców zależy, jaką pomoc i ilu rodzinom organizacja będzie mogła udzielić. Wysokość comiesięcznego stypendium zależy od sytuacji rodziny.

Chore dziecko wymaga opieki przez całą dobę. Nawet jeśli oddech wspiera aparatura, to rodzic i tak czuwa. Nie ma odpoczynku ani wakacji

– W 2016 r. udało się nam przeprowadzić siedem remontów w mieszkaniach rodzin, które opiekują się dzieckiem w ciężkim stanie klinicznym, tak by dostosować wnętrze do ich potrzeb – mówi Monika Pinkowska. Zmiany zaszły m.in. w łódzkim mieszkaniu państwa Dynowskich, których „Do Rzeczy" odwiedziło trzy lata temu. Agnieszka, która w tym roku skończy 18 lat, urodziła się z porażeniem mózgowym po tym, jak lekarze zwlekali z cesarskim cięciem. SPES wyremontował m.in. łazienkę, dostosowując ją do potrzeb osoby niepełnosprawnej i ułatwiając w ten sposób opiekę nad Agnieszką.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Stowarzyszenie SPES można wesprzeć, przekazując 1 proc. podatku: KRS: 00000 14574 lub wpłacając darowiznę na konto o numerze: 80 1240 2959 1111 0010 2904 3289.

REKLAMA

eprasa.pl a156d6168f

Dziewiętnaście róż

Tomasz Nieśpiał

Przemysław zostawił na ciele Moniki bukiet kwiatów. Miał symbolizować 19 lat wspólnego życia, które zakończyło się zabójstwem

FOT. FOTOLIA/12 KREOEK

Chełm, 7 lipca 2016 r. Przemysław K., znany lokalnie inżynier, przyjeżdża do miasta. Od pewnego czasu 43-letni mężczyzna zajmuje się inwestycją na Mazowszu, więc w chełmskim mieszkaniu bywa sporadycznie.

W tamto czwartkowe pochmurne popołudnie Przemysław K. wstępuje najpierw do kwiaciarni przy ul. Sienkiewicza. To kilka minut spacerem od mieszkania przy ul. Mickiewicza, w którym do niedawna mieszkał z żoną. Prosi o 19 róż. Na jego wyraźne życzenie florystka komponuje bukiet z 18 białych kwiatów i jednego czerwonego. – Różne mamy zamówienia, a to nie było niczym szczególnym – zapewniają nas właściciele kwiaciarni. Chwilę później Przemysław K. z bukietem w dłoni udaje się do mieszkania przy ul. Mickiewicza.

Monika K. – jak potem można przeczytać w prokuratorskich aktach, dbająca o urodę i zdrowie 42-letnia funkcjonariuszka Służby Więziennej – próbuje sobie ułożyć życie u boku nowego mężczyzny. Jednak co jakiś czas pojawia się w mieszkaniu przy ul. Mickiewicza, by nakarmić koty lub zabrać swoje rzeczy. Z takim zamiarem Monika K. przychodzi 7 lipca po południu, niedługo po skończonej służbie w Zakładzie Karnym w Chełmie, gdzie jest pielęgniarką. Postanawia wykorzystać fakt, że Przemysław K. ma być wtedy w pracy. Kilka minut przed godz. 16 kobieta rozmawia przez telefon ze swoim przyjacielem. Umawiają się na spotkanie dwie godziny później, ale Monika K. już na nie nie dotrze.

Z aktu oskarżenia, jaki Prokuratura Rejonowa w Chełmie przesłała właśnie do Sądu Okręgowego w Lublinie, wynika, że kiedy Monika K. pojawia się w mieszkaniu przy ul. Mickiewicza, na miejscu jest już jej mąż. W czasie rozmowy kobieta najprawdopodobniej przekazuje mu informację o tym, że wynajęła adwokata do rozwodu. Wtedy, zdaniem śledczych, Przemysław K. wyjmuje nóż i próbuje ugodzić nim żonę w okolice klatki piersiowej. Kobieta zasłania się ręką, ale zostaje zraniona. Być może właśnie wtedy próbuje szukać pomocy i wysyła pusty SMS do przyjaciela. Jest godz. 17.01. Niedługo potem jej telefon zaczyna dzwonić, ale Monika K. już nie odbiera. Zdaniem prokuratury w tym czasie otrzymuje kolejne ciosy. Kiedy po jednym z nich w jej ciele po raz kolejny utkwiło 28,5-centrymetrowe ostrze noża kuchennego, Przemysław K. wyciąga je do połowy, a po chwili przekręca. 42-latka umiera.

Tym samym nożem Przemysław K. podcina sobie żyły na lewym przedramieniu. Przed wyjściem na balkon mieszkania układa jeszcze przyniesione wcześniej róże na ciele kobiety. Po chwili z krwawiącymi ranami Przemysław K. skacze z balkonu na trzecim piętrze bloku. W ciężkim stanie trafia do szpitala, a w mieszkaniu policja odnajduje zwłoki Moniki K.

Kiedy po kilku dniach Przemysław K. odzyskuje świadomość, prokurator stawia mu zarzut zabójstwa. Mężczyzna nie przyznaje się do winy. Przekonuje, że podczas spotkania z żoną to ona sugerowała mu, by popełnił samobójstwo. Kiedy odmówił, kobieta sama próbowała targnąć się na swoje życie, a podczas szarpaniny doszło do tragedii. W tę wersję prokurator jednak nie wierzy. Mężczyźnie grozi dożywocie. Jego proces rozpocznie się wkrótce przed lubelskim sądem.

NIGDY CIĘ NIE SKRZYWDZĘ

Śledczy znaleźli w komputerze Przemysława K. list do żony: „Proszę, daj mi zwrócić Ci każdy jeden zepsuty rok naszego małżeństwa, na rok szczęśliwego małżeństwa. […] Nigdy nie wyrządzę Ci żadnej krzywdy".

Dopiero po tamtej tragedii na światło dzienne zaczynają wychodzić szczegóły małżeńskiego życia Przemysława i Moniki K. Z akt sprawy wynika, że mężczyzna wielokrotnie poniża małżonkę, „dając jej odczuć, iż funkcjonuje na niższym poziomie intelektualnym, zawodowym oraz materialnym". Monika K. już w 2006 r. zgłasza policji problem z awanturującym się i bijącym ją mężem. – Jednak nie chciała jego ścigania. Poprosiła, by przeprowadzono z nim rozmowę profilaktyczno-ostrzegawczą. Funkcjonariusze z nim porozmawiali i temat przycichł – mówi jeden z chełmskich śledczych.

Jednak przez lata problem narasta. I to mimo że oficjalnie małżeństwo miało się dobrze. Przemysław K. robi karierę, nieźle zarabia, wypowiada się w lokalnych mediach. – Wymagający profesjonalista – tak ocenia go jeden z jego znajomych. Z kolei jeden z jego byłych pracodawców woli nie wypowiadać się o Przemysławie K. – Było, minęło. Niech go teraz sąd sprawiedliwie osądzi – kwituje serię naszych pytań.

Tymczasem Monika K. nie poprzestaje na zajęciu pielęgniarki. Po rozpoczęciu pracy w więzieniu zaczyna studia doktoranckie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. – Zadbana, elegancka, bardzo atrakcyjna. Podobała się facetom – mówi jej koleżanka z pracy. Zarzeka się, że o przemocy w małżeństwie K. nie miała pojęcia.

Nie ona jedna. Z akt sprawy wynika, że wiedzę o małżeńskich kłopotach Moniki K.

eprasa.pl a156d6168f

ma kilka osób z najbliższej rodziny. Choćby matka, która zna prawdziwą przyczynę braku posiadania dzieci przez małżeństwo K. – Był to świadomy wybór. Monika tłumaczyła, że nie chciała mieć dzieci, gdyż patrzyłyby, jak tatuś bije mamusię – wyznała śledczym.

W 2015 r. Monika K. poznaje innego mężczyznę. Planują wspólną przyszłość i dziecko. Kiedy o tym związku dowiaduje się jej mąż, zaczyna ją szantażować. – Dysponował serią jej erotycznych zdjęć. Groził, że jeśli do niego nie wróci, to je upubliczni. Stworzył nawet listę instytucji, do których – jak twierdził – zamierza przesłać fotografie. Na liście były Generalny Inspektorat Służby Więziennej, związek zawodowy działający w chełmskim więzieniu, Okręgowa Izba Pielęgniarek i Położnych, lokalna redakcja – opowiada jeden z policjantów.

To zachowanie zbiega się w czasie z myślami samobójczymi Przemysława K. i leczeniem psychiatrycznym. Nie przeszkadza to jednak mężczyźnie w walce o względy żony. „Proszę, wróć do nas, bez Ciebie nic nie ma sensu" – pisze w jednym z listów.

Monika K. jest jednak nieugięta. Wyprowadza się z domu i zamieszkuje u matki. Postanawia wystąpić o rozwód, choć wie, że mąż jej nie odpuści. – Prędzej mnie uśmierci, bo ma mentalność Czeczena – wyznaje przyjacielowi.

JAK WŁASNOŚĆ

Mimo problemów, z jakimi zmaga się Przemysław K., biegli uznają, że może on odpowiadać przed sądem. Z akt sprawy wynika, że proces decyzyjny oskarżonego związany z morderstwem przebiegał „z chłodnym wyrachowaniem". Przemysław K. wiedział bowiem o niewierności żony już od maja 2016 r. „Jego działanie ukierunkowane na pozbawienie jej życia było zaplanowane" – czytamy w akcie oskarżenia.

Zdaniem dr. Marcina Demczuka, psychologa i psychoterapeuty z Lublina, tragedia małżeństwa K. jest przykładem relacji przemocowej. – Sprawca próbuje kontrolować i podporządkować sobie drugą osobę. I o ile może to się podobać w początkowym etapie związku, oznaczać rycerskość i zaangażowanie partnera, o tyle jeśli ten mechanizm postępuje, to może doprowadzić do patologicznej relacji – tłumaczy dr Demczuk.

Jego zdaniem ofiary często wypracowują w sobie mechanizmy funkcjonowania w takim związku. – Wpływ na to może mieć np. stereotypowe myślenie ofiary, że nie wynosi się takich spraw na zewnątrz rodziny. A kiedy dołożymy do tego bezkrytyczne przywiązanie się do patriarchalnego modelu rodziny i cechy osobowościowe ofiary, może dojść do tego, że taki związek trwa latami – mówi lubelski psychoterapeuta. I dodaje, że sprawca przemocy często traktuje ofiarę jako własność. – Robi to poprzez szantaż emocjonalny i fizyczny – wyjaśnia dr Marcin Demczuk, który o zazdrości pisał doktorat. – Zazdrość to stan emocjonalny, ale także mechanizm obronny, dzięki któremu możemy dostrzec, że dzieje się coś złego w związku. Zdarza się jednak, że dochodzi do przekroczenia indywidualnej tolerancji na takie zachowania i mamy do czynienia z patologizacją zazdrości – tłumaczy ekspert. I dlatego zdaniem naszego rozmówcy niezwykle istotne jest działanie. – Aby kobiety odważyły się mówić, zanim stanie się coś złego – mówi dr Demczuk.

Pięć dni po tragedii do Sądu Okręgowego w Lublinie trafia pozew rozwodowy Moniki K. Sprawa nie zostaje nigdy rozpoznana, a Przemysław K. oficjalnie figuruje jako wdowiec.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl a156d6168f

Wiesław Chełminiak

Pomysłowy Władimir i frywolna Emma

Dwa największe przeboje muzealnego sezonu zimowo-wiosennego w Londynie świetnie wpisują się w znaną skądinąd tezę o dekadenckim Zachodzie oraz ideowym, choć nieco przerażającym Wschodzie

Arystokrata William Beckford nazwał ją „Kirke, która zamieniała w oswojone wieprze wielu szarmanckich i dzielnych oficerów". Można rzec: przyganiał kocioł garnkowi, bo sam przestał być zapraszany na salony, gdy wyszły na jaw jego homoseksualne i pedofilskie skłonności. Emma Hamilton faktycznie zauroczyła wielu mężczyzn. Stracił dla niej głowę twórca morskiej potęgi Wielkiej Brytanii.

O zwycięstwach adm. Nelsona słyszało każde angielskie dziecko, wiedza o jego życiu intymnym nie jest już tak powszechna. National Maritime Museum w Greenwich postanowiło, bez żadnej okrągłej rocznicy, przypomnieć kobietę, przy której zapominał o obowiązkach wobec króla i ojczyzny.

DORÓWNAŁA KASTRATOM

Z plakatów reklamujących wystawę „Emma Hamilton. Seduction and Celebrity" patrzy niebieskooka dziewczyna o regularnych rysach. Lekko rozchylone usta i burza kasztanowych włosów na głowie dopełniają obrazu niebezpiecznej kusicielki. To oczywiście Kirke, ale George Romney portretował Emmę również jako Wenus, Sybillę, Penelopę, Joannę d'Arc i personifikację cnót wszelakich. Malarz ani chybi podkochiwał się w swojej, młodszej o 30 lat, modelce. Gdy wyjechała do Włoch, popadł w depresję. Lady Hamilton w ogóle miała szczęście do artystów: jej urodę utrwalili dla potomności twórcy tej klasy co sir Joshua Reynolds, Thomas Lawrence i Élisabeth Vigée Le Brun. Pozostawiła też ślad w muzyce. Podobno jej sopran dorównywał głosom słynnych kastratów. Występowała w towarzystwie największych gwiazd opery. W Madrycie i Londynie proponowano jej nawet angaż. W Neapolu Giovanni Paisiello komponował specjalnie dla Emmy, w Wiedniu Joseph Haydn akompaniował jej na fortepianie.

Lady Hamilton jako „Natura" – obraz George'a Rommeya z 1782 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a156d6168f

Wśród eksponatów są miłosne listy, biżuteria i stroje z epoki. Można posłuchać pieśni z repertuaru celebrytki i obejrzeć film, w którym współczesna aktorka odtwarza jej występ. Twórcy wystawy podkreślają, że Emma była „nadzwyczajną kobietą w męskim świecie", piękną, ambitną i twórczą. Miała wiele twarzy, a „kochanka była tylko jedną z jej tożsamości". Z pewnością potrafiłaby się odnaleźć w dzisiejszym świecie, gdy pragnienie sławy stało się obsesją, a młodość, uroda i odrobina sprytu wystarczają do zrobienia kariery w show-biznesie. Koncept, że flama Nelsona wywarła wpływ na kulturę europejską, wydaje się jednak naciągany. Owszem, przez 15 lat była częścią beau monde'u (jej postać zdobiła nawet porcelanę z berlińskiej manufaktury), lecz ten wypluł córkę kowala z Cheshire, gdy straciła urodę, protektora, majątek i resztki zdrowego rozsądku.

RZEŹBA, KTÓRA OŻYŁA

Emma urodziła się i zmarła w biedzie, lecz jej życie to wymarzony materiał na kostiumowy melodramat, który zresztą już powstał. Wchodzących na wystawę wita olbrzymia fotografia Vivien Leigh, która w filmie „Lady Hamilton" z 1941 r. zagrała tytułową rolę. Partnerował jej Laurence Olivier, byli świeżo po ślubie. Trwała wojna, kręcono w wielkim pośpiechu i z bardzo ograniczonym budżetem, lecz film okazał się sukcesem artystycznym oraz finansowym. Utrwalił wizerunek kobiety fatalnej, który – trzeba przyznać – ma niezłe zakotwiczenie w rzeczywistości. Emma, podobnie jak Vivien, miała problem alkoholowy. Poza tym była uzależniona od hazardu i nie umiała oszczędzać.

Przyszła na świat jako Amy Lyon. W wieku 15 lat zatrudniła się w cenionym przez londyńskich koneserów domu publicznym pani Kelly zwanej Przeoryszą. Stamtąd trafiła do gabinetu doktora – szarlatana Jamesa Grahama, gdzie jako żywy (i niekompletnie ubrany) posąg bogini Higiei pomagała leczyć londyńczyków z bezpłodności. Potem wpadła w oko młodemu baronetowi, który porzucił ją w stanie odmiennym, lecz dzięki niemu nabrała ogłady. Jak bowiem zauważył Kazimierz Chłędowski, „kobiecej zręczności i sprytu miała aż nadto".

Kolejny arystokratyczny opiekun, Charles Francis Greville, sprawił, że ladacznica stała się damą. Emma nauczyła się cenić, odrzuciła karesy samego księcia Walii. Niestety, po sześciu latach kochanek postanowił się ustatkować i wysłał ją do Neapolu, wprost w objęcia swego wuja – ambasadora.

William Hamilton nie był tuzinkowym człowiekiem. W celach naukowych wspinał się na Wezuwiusza, kolekcjonował antyki i dzieła sztuki. Zamówił u Romneya kilka portretów „czarodziejki", którą poznał, bawiąc w Londynie, i postanowił zostać jej Pigmalionem. Dokończył edukację Emmy, organizował przyjęcia, podczas których wcielała się w znane postacie mitologiczne i historyczne: Medeę, Penelopę, Sofonisbę, Kleopatrę i Marię Magdalenę (ta ostatnia postać musiała być jej szczególnie bliska). Neapol był obowiązkowym przystankiem na trasie Grand Tour, więc „pozy" stały się znane w całej Europie. Oglądał je sam Goethe i był pod wrażeniem. Gdy została panią Hamilton, na dworze brytyjskim złośliwie komentowano, że „sir William ożenił się ze swą galerią posągów".

Emma nie dbała o to, bo zdążyła się już zaprzyjaźnić z Marią Karoliną, która faktycznie rządziła Królestwem Obojga Sycylii (jej męża interesowały głównie polowania i hoże wieśniaczki). Panie spędzały razem dużo czasu, podobnie się ubierały, szeptano więc, że łączy je zażyłość „natury safickiej". Królowej bardzo zależało na sojuszu z Londynem, gdyż na Italię padł cień francuskiej rewolucji. Łatwo dała się namówić do wsparcia brytyjskiej floty, która w 1798 r. zawinęła do Neapolu. Admirał Horatio Nelson, religijny monarchista, nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Pobił Francuzów pod Abukirem, a jako nagrodę wziął sobie ambasadorową, prawdopodobnie za wiedzą i zgodą jej małżonka. Ménage à trois (Emma używała zwrotu „jedno serce w trzech ciałach") trwało aż do śmierci sir Williama.

Plotkarze mieli używanie. Zwłaszcza że kochankowie nie szczędzili sobie czułości nawet w miejscach publicznych. „Niemiecki malarz sportretował Nelsona i panią Hamilton razem. Nasz korespondent ma nadzieję, że artysta będzie na tyle delikatny, że doda między nimi wizerunek sir Williama" – szydziła jedna z londyńskich gazet. Uwadze złośliwców nie uszło, że „cud Neapolu" bardzo utył. Tusza pozwoliła Emmie ukryć ciążę, potem odgrywała komedię, że Horatia jest dzieckiem adoptowanym.

Nelson rozstał się z żoną i zamieszkali razem w raju, czyli posiadłości Merton Place pod Londynem. Idylla trwała krótko. Po śmierci admirała pod Trafalgarem lady Hamilton kompletnie się pogubiła. Nie pozwolono jej zostać strażniczką pamięci bohatera narodowego. Uroda „czarodziejki z Neapolu" była już tylko wspomnieniem, gdy za długi trafiła do więzienia. Uciekła przed wierzycielami do Calais, gdzie wątroba ostatecznie odmówiła jej posłuszeństwa. Najsłynniejsza celebrytka epoki georgiańskiej nie dożyła nawet pięćdziesiątki.

CZAS APOKALIPSY

Na ekspozycji rewolucyjnej sztuki rosyjskiej tłok jest większy. Nic dziwnego, budynek Royal Academy of Arts znajduje się w samym sercu Londynu, a Chagall, Kandinsky i Malewicz mają wyrobioną markę. Zwiedzających z Europy Wschodniej łatwo rozpoznać – co bardziej prostackie okazy „proletariackiej kultury" budzą ich wesołość. Pozostali oglądają z nabożnym skupieniem propagandowe filmy i plakaty. Czy się nam to podoba, czy nie, Moskwa wciąż fascynuje, nie tylko Brytyjczyków. Mit o zdemoralizowanym i zmęczonym Zachodzie oraz witalnym, twórczym, choć morderczym Wschodzie nadal trzyma się mocno. Wiadomo, ex oriente lux.

Emma Hamilton w Rosji uchodziłaby za grzeczną dziewczynkę. Wszak caryca Katarzyna I zaczynała karierę jako markietanka i Bóg jeden wie, ilu miała mężczyzn, zanim zaciągnął ją do łóżka Piotr Wielki. Petersburski dwór długo cieszył się opinią najbardziej rozpustnego w Europie. Obyczajowe ekscesy bledną jednak wobec obłędu, w jaki Rosja popadła w XX w. Fundamentem, na którym budowano komunizm, była przemoc. Nieprzypadkowo wystawę promuje plakat z reprodukcją obrazu Borisa Kustodijewa „Bolszewik". Oto gigant z czerwoną flagą kroczy przez miasto niczym King Kong, nie zważając na tłumy liliputów (skojarzenie tym bardziej oczywiste, że cały Londyn oblepiony jest reklamami nowego filmu o wielkiej małpie). „Insurekcja" Klimenta Redki również uderza w tony apokaliptyczne. Artysta, urodzony w Chełmie, umieścił w środku płonącego diamentu komunistycznych VIP-ów. Lenin niczym Bóg w dniu Sądu Ostatecznego wysyła w cztery strony świata uzbrojonych żołnierzy. Płótno mogłoby być ilustracją słynnego wiersza symbolisty Aleksandra Błoka, w którym porównywał bolszewików do Scytów pustoszących Europę, z czego wyniknie duchowe odrodzenie.

MARTWY, CZYLI ŻYWY

Lenin, wstyd przyznać, nie wierzył w potencjał twórczy robotników. Nie ufał też działaczom Proletkultu, którzy przejęli od futurystów postulat przewietrzenia muzeów i wyrzucenia klasyki na śmietnik.

eprasa.pl a156d6168f

Anatolij Łunaczarski, szef Narkomprosu nadzorującego edukację, kulturę i rozrywkę, patrzył jednak na ich poczynania przez palce. Stąd powstało złudzenie, że partia sprzyja awangardzie i wszystkim, którzy chcą tworzyć „nową sztukę dla nowego świata". Prawda była inna. Po pierwsze – większość naukowców, pisarzy i artystów nie chciała mieć z bolszewikami nic wspólnego. Trocki pisał o „reakcyjnej głupocie ludzi wolnych zawodów", którzy woleli emigrować, niż nawrócić się na komunizm. Po drugie – nie tylko zły Stalin, lecz także masy robotniczo-chłopskie miały alergię na twórczość wyzwoloną z oków tradycji. „Dlaczego krowa jest zielona, a dom frunie po niebie i jaki to ma związek z Marksem i Engelsem?" – tak komentowano w Witebsku dzieła komisarza sztuk pięknych, Marka Chagalla.

Brytyjscy kuratorzy świadomie nawiązują do leningradzkiej ekspozycji z 1932 r., podsumowującej 15-lecie „rewolucyjnej" sztuki – ostatniej, do której dopuszczono awangardzistów. Pieczołowicie zrekonstruowali salę z obrazami i modelami architektonicznymi Kazimierza Malewicza. Mistrz, podejrzany o szpiegostwo na rzecz Niemiec, spuścił już wtedy z tonu i przeprosił się ze sztuką figuralną. Dzisiaj jest bardziej ceniony na Zachodzie niż w ojczyźnie. W muzealnym sklepiku za 155 funtów można kupić „suprematyczny" zegarek, co pozwala sądzić, że Malewicz urodził się za wcześnie. W XXI w. nie narzekałby na brak gotówki. Trudno też opędzić się od heretyckiej myśli, że eksperymenty, jakim z zapałem oddawali się artyści w pierwszych latach istnienia Kraju Rad, mogły być próbą ominięcia cenzury. A szaleństwo formy skutecznie maskowało ubóstwo treści.

Swoją drogą niełatwo było zadowolić państwowego mecenasa. Obraz Kuźmy Pietrowa-Wodkina, przedstawiający Lenina na marach, nie mógł być pokazywany publicznie, gdyż „wiecznie żywy" wódz wygląda na nim zbyt trupio. Bałwochwalczy kult Lenina oraz to, że portrety bolszewickich liderów zastąpiły ikony świętych, sprzyjały malarzom, którzy wcześniej tworzyli obrazy religijne – nie musieli nawet zmieniać poetyki. Dawni nowatorzy również dali z siebie zrobić poputczików. Konstruktywiści projektowali ubiory robocze typu uniseks, lekkie meble i składane łóżka, idealnie pasujące do klitek, w których gnieździł się lud pracujący. Władimir Majakowski, skandalista nienawidzący drobnomieszczańskiego trybu życia, bez żenady uprawiał prymitywną propagandę. Na dłuższą metę dla takich indywidualistów nie było jednak miejsca w ZSRS, więc twórca „Pluskwy" zabił się albo został zabity.

Zanim stery państwa przejął Stalin, artyści starali się unikać żyrowania zamordyzmu. Łatwiej przychodziło im popieranie forsownej, nieliczącej się z kosztami industrializacji. Partia wykorzystała ich słabość do maszyn. To słowo było fetyszem modernistów. Kompozytorzy pisali symfonie, w których rolę tradycyjnych instrumentów przejęły silniki, turbiny, młoty oraz fabryczne i okrętowe syreny. Filmowcy sławili wielkie budowy i spusty surówki, rzeźbiarze – urodę traktorzystek i upozowanych na herosów górników z Donbasu. Chociaż zdarzali się i tacy, którzy zdradzali tęsknotę za „wieczną Rosją", malując liryczne pejzaże, trojki pędzące przez zaspy i drewniane wioski z obowiązkową cerkiewką na wzgórzu. Inny rodzaj eskapizmu uprawiał wspomniany wcześniej Kuźma Pietrow-Wodkin, ten wyspecjalizował się w apolitycznych martwych naturach i portretach à la Giotto i Fra Angelico.

Obraz Borisa Kustodijewa „Bolszewik" z 1920 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NWYUTNY ŚWIAT

Po śmierci Łunaczarskiego partia przykręciła inteligentom śrubę. „Nowy wspaniały świat" także im ukazał swoje prawdziwe oblicze. Kurator wystawy z 1932 r., Nikołaj Punin, skończył życie w łagrze, bo krytykował socrealizm. Guru bolszewickiego teatru Wsiewołod Meyerhold, zanim jako szpieg japoński trafił pod ścianę, był bezlitośnie torturowany. Autorzy ekspozycji w Royal Academy of Arts tego nie przemilczają. Za zasłoną non stop wyświetlane są zdjęcia ofiar wielkiego terroru, odnalezione w archiwach NKWD. Tyle że komunizm był systemem zbrodniczym od samego początku. Tworząc iluzję szczęśliwego 15-lecia, podtrzymuje się mit o rzekomej wolności twórczej panującej w bolszewickiej Rosji.

Najważniejszym eksponatem londyńskiej wystawy jest Letatlin, czyli „latający rower robotnika", dzieło konstruktywisty Władimira Tatlina. Zwykle opisuje się go jako symbol utopii, pozbawionej ograniczeń wyobraźni. Ośmielę się mieć inne zdanie w tej sprawie. Machina, która tylko na chwilę zdołała oderwać się od ziemi, marnuje się w muzeum. Jej miejsce jest na Kremlu, w sąsiedztwie przedrewolucyjnych symboli Rosji: wielkiego dzwonu, który nigdy się nie odezwał, i ogromnej armaty, z której nigdy nie wystrzelono.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawy „Emma Hamilton. Seduction and Celebrity" National Maritime Museum w Greenwich i „Revolution: Russian Art 1917–1932" w Royal Academy of Art są czynne do 17 kwietnia.

eprasa.pl a156d6168f

GO ACTIVE SHOW

www.goactiveshow.pl
/goactiveshow

ORGANIZATOR:

PTAK WARSAW EXPO
MIĘDZYNARODOWE CENTRUM TARGOWO - KONGRESOWE

NAJWIĘKSZE TARGI FITNESS I SPORTÓW SIŁOWYCH W POLSCE

LEVRONE CHODAKOWSKA KHALIDOV

ALBIN | BURNEIKA | CHOIŃSKI | DZIURSKA | GŁUCHOWSKI
KARMOWSKI | KAVOUKIS | MĄCZYŃSKA | PUDZIANOWSKI

21-23 KWIETNIA 2017

#ewachodakowska &
BE ACTIVE TOUR 2016/2017
BeBio.pl Change your life!
powered by Nałęczowianka mineralna

POBIJ REKORD GUINNESSA Z EWĄ CHODAKOWSKĄ

PATRONAT HONOROWY:
Marszałek Województwa Mazowieckiego

PARTNER TARGÓW:
TechnoGym
Kevin Levrone Signature Series
Sante
Studio Sante Uzdrowisko Miejskie
JATOMI FITNESS

PARTNERZY KONFERENCJI:
MAURICZ
Głuchowski Sport Academy
M&P Milewski & Partnerzy

PARTNERZY WYDARZEŃ TOWARZYSZĄCYCH:
OLIMP Sport Nutrition
NAC
BIOGENIX
PRECOR
matmarco
SPINNING
Polski Związek Trenerów Personalnych

PATRONI MEDIALNI:
be active
myfitness.pl
SPORT.PL
KiF sport
FitnessExpert magazine
Business Woman&life
FITNESSPR
trenerGURU
Sportowy Magazyn.pl
FM Fitnessmotywatory.pl
TRENUJTO.
WK
Zmiany w Życiu
calazdrowia.pl
BODY CHALLENGE
LOGO
Radio Eska

Al. Katowicka 62, 05-830 Nadarzyn, Wolica 114D, Polska / +48 518 739 124 / www.warsawexpo.eu / info@warsawexpo.eu

eprasa.pl a156d6168f

Skarb kapitana

Piotr Gociek

Seria, która rozpoczęła się jako opowieść o pirackich łupach i łotrostwach, zamieniła się w rzecz o polityce. A dokładnie – o naprawianiu świata

Miałem nie więcej niż 10 lat, kiedy zaznałem pirackiego postmodernizmu, wszystko przez brytyjskiego dżentelmena o trudnym do wymówienia nazwisku Ronald Frederick Delderfield. Z tego to powodu zawsze miałem kłopot ze słynną „Wyspą skarbów” Roberta Louisa Stevensona. Wydawała mi się bowiem tylko dodatkiem do właściwej opowieści. Skąd ten kłopot? Było tak: Delderfield napisał w latach 50. XX w. powieść, która była przedziwnym ciągiem dalszym „Wyspy skarbów”, i opowiedział w niej o znanych z historii Stevensona wypadkach, ale z punktu widzenia innego narratora. Powieść nosiła tytuł „Przygody Bena Gunna”, ukazała się w Polsce w 1976 r. i tak się złożyło, że przeczytałem ją dużo wcześniej niż samą „Wyspę skarbów”.

Miała więc miejsce nieoczekiwana zmiana miejsc – dla mnie to nieco tępawy, lecz sympatyczny Ben Gunn, którego bohaterowie Stevensona spotykają dopiero w XV rozdziale słynnej powieści, był głównym bohaterem całej historii. I kiedy kilka lat później czytałem „Wyspę skarbów”, myślałem: „Ale niepotrzebnie kombinuje ten cały pan Stevenson i po co pisze o rzeczach, które już wiem”. Potem jeszcze zamieszanie w mojej głowie się powiększyło, bo w ręce wpadła mi książka Arthura D. Howdena Smitha „Złoto z Porto Bello”, która jest autoryzowanym prequelem „Wyspy skarbów” – na jej napisanie zezwolił jeden ze spadkobierców Stevensona. Wszystko to dowodzi tylko, że zjawisko prequeli i sequeli towarzyszy masowej kulturze od początku.

PRAWDZIWYCH PIRATÓW JUŻ NIE MA?

Mimo tego postmodernistycznego, jako się rzekło, przygotowania, z dużą ostrożnością podszedłem w roku 2014 do wieści o tym, że pojawił się serial o piratach stanowiący rozbudowany wstęp do „Wyspy skarbów”. Z dwóch powodów – bo z licznych prób wskrzeszenia na ekranie pirackich opowieści żadna nie była udana (słynni „Piraci z Karaibów” to raczej filmy fantasy niż stricte pirackie) i dlatego że magia „Wyspy skarbów” już dawno zwietrzała. To nie te czasy, kiedy kolejne pokolenia czytelników wciąż emocjonowały się klasyczną książką Stevensona. Nie te czasy, kiedy jej ekranizację z wielkim zapałem recenzował dla prasy codziennej Graham Greene. Przecież przez lata, które minęły, postać Długiego Johna Silvera kuśtykającego na jednej nodze z papugą na ramieniu stała się już figurą tak stereotypową, że wręcz komiczną.

„Piraci” („Black Sails”) zadebiutowali w styczniu 2014 r., ostatni odcinek wyemitowano zaś w USA 2 kwietnia tego roku. W Polsce z dwutygodniowym poślizgiem serial jest pokazywany przez Canal+.

Zaczęło się słabo, kończy się z przytupem. Pierwszy sezon „Piratów” był bowiem przeciętny – akcja wątła, sporo postaci toczących ze sobą długie dysputy plus irytujące podrabianie przez kanał Starz (który rzecz sfinansował) starszego rodzeństwa z HBO. To znaczy zasada – dwie sceny gadane, jedna lesbijskiego seksu, dwie sceny gadane, jedno podrzynanie gardła. I tak dalej. Największym grzechem twórców było jednak to, że nikt nie rozumiał, co właściwie kieruje głównymi bohaterami i jakie są ich cele.

Atutem serialu od samego początku były malowniczość i dobra obsada. Jego twórcy Jonathan E. Steinberg i Robert Levine zrobili dla pirackich opowieści to samo, co twórcy serialu „Gra o tron” dla fantasy – dali im brudny realizm. Proszę zauważyć, jak śmiesznie wygląda w porównaniu z „Piratami” krótki serial, który powstał w tym samym czasie i został osadzony w tej samej złotej epoce piractwa, czyli „Herb piratów” („Crossbones”). „Piraci” dają widzom mocne poczucie autentyzmu, „Herb piratów” jest tylko kolorową przebieranką.

Rzecz dzieje się w pierwszej połowie XVIII w. w Nassau, pirackim porcie na wyspie New Providence. Główne postacie to kapitan Flint, ogarnięty obsesją zagarnięcia hiszpańskich skarbów przewożonych z Nowego Świata do Europy przez okręt „Urca de Lima”, jego nowy kucharz John Silver, znany z okrucieństwa pirat Charles Vane oraz Eleanor Guthrie, która pomaga piratom legalizować ich bandyckie zdobycze. W Nassau łupy są przepakowywane do nowych beczek i worków, po czym

eprasa.pl a156d6168f

Flinta

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

sprzedawane jako normalny towar przez agentów handlowych współpracujących z rodem Guthriech. Rodzinny interes kręci się na razie dzięki ojcu Eleanor, Richardowi, ale szykuje się ona pomału do przejęcia sterów.

Szybko pojawiają się kolejne postacie, których nazwiska znamy nie tylko z „Wyspy skarbów", lecz także z historycznych przekazów o piratach z tamtych wód – Jack Rackham i jego kochanka Anne Bonny, w sezonie trzecim z kolei objawi się legendarny Czarnobrody, czyli Edward Teach. Członkiem załogi Flinta jest Billy Bones. Mamy także postacie wymyślone specjalnie na potrzeby serialu, takie jak prostytutka Max.

W pierwszym sezonie wydaje się, że najważniejszą rzeczą jest skarb z „Urca de Lima". Od drugiego sprawy zaczynają się komplikować z bardzo dobrym skutkiem dla serialu, który nabiera rozmachu z każdym odcinkiem – pojawiają się nowe okręty, nowe lokacje, rozgrywane są nowe bitwy. Najciekawsze jest jednak stopniowe poznawanie przeszłości głównych postaci, z kapitanem Flintem na czele. Jak to się stało, że ten kiedyś wzorowy oficer brytyjskiej marynarki, zamienił się w postrach mórz? W imię czego nie waha się przelewać krwi? Idzie o zemstę, perwersyjną przyjemność czy może gna go jeszcze coś innego?

Flint to od początku postać najbardziej tajemnicza. To, co go ukształtowało, poznajemy pomału w retrospekcjach, pozostali bohaterowie najważniejsze dni swego życia przeżywają już wraz z widzami. Tutaj też widać, że scenarzyści odrobili dobrze lekcję z „Gry o tron", każąc lękliwym, pechowym i maluczkim przechodzić ewolucję do bohaterstwa i sławy, a możnych gnębiąc na rozmaite sposoby. Pamiętajmy też, że nie jest to serial jedynie o piratach. Na morzach ścierają się dwie potęgi – imperium brytyjskie i korona Hiszpanii. Jedni i drudzy mocno usadowili się w Nowym Świecie, jedni i drudzy mają wobec Nassau i piratów własne plany.

PYKA

I tak oto serial o przygodach i skarbach zamienia się w serial o polityce. Takiej małej, gdy chodzi jedynie o to, kto wywiedzie kogo w pole w samym Nassau, jak i dużo większej, kiedy dowiadujemy się wreszcie, jakie plany ma kapitan Flint. A są to zamierzenia, na które porywać się może szaleniec lub geniusz. Dawna chluba brytyjskiej marynarki chce rzucić wyzwanie nie tylko Wielkiej Brytanii, lecz także całemu światu: wzniecić rewoltę, która sprawi, że New Providence i inne wyspy Morza Karaibskiego, staną się wolną republiką stworzoną pospołu przez piratów i wyzwolonych niewolników. Jedni nazywają ten pomysł wojną przeciw cywilizacji, inni wojną przeciw opresji.

Wizjonerzy zajmujący się społeczną inżynierią zwykle nie baczą na to, jaką cenę przyjdzie zapłacić za ich wielkie dzieło. Flint wydaje się człowiekiem nieczułym na tę kwestię długo przed tym, zanim poznajemy jego zamierzenia. To zresztą powód, dla którego tak trudno utrzymać mu posłuch wśród piratów i tak ciężko zdobyć głosy, by obierano go kapitanem. Coraz więcej wskazuje bowiem na to, że nie cofnie się przed niczym, by osiągnąć cel. Zdradzi każdego sojusznika, wejdzie w każdy alians, lekką ręką poświęci cudze żywoty.

Im bliżej końca, tym lepiej widać, że sednem serialu są (oprócz mocarstwowych zamierzeń Flinta) relacje między nim a Johnem Silverem, który przechodzi ciekawą ewolucję. Ze złodziejaszka szukającego okazji, by się dorobić, zmienia się w symbol walki przeciw Anglikom, a także w najwierniejszego sojusznika, a potem przyjaciela Flinta. Obaj odkrywają, że kiedy działają razem, nie ma takiej rzeczy, która wydawałaby się niemożliwa. Jak skończy się ta przyjaźń? Odpowiedź na to pytanie poznacie dopiero w ostatnim odcinku.

Jako że w popkulturze panuje teraz moda na silne postacie kobiece, także i te sprawy wyeksponowane są mocno w „Piratach". O wyczynach Anne Bonny czy Mary Read wiemy z bestsellera non-fiction opublikowanego w 1724 r., czyli „A General History of the Pyrates" kapitana Charlesa Johnsona. Walczyły u boku mężczyzn jak równe, a w wielu przypadkach wykazywały się większą odwagą i wiernością zasadom pirackiego kodeksu. „Gdybyś walczył jak mężczyzna, nie zdychałbyś jak pies" – miała rzucić Anne Bonny do kapitana Jacka Rackhama, który miał za chwilę zawisnąć na stryczku. Jednak prawdziwą władzę w świecie dzierżą ci, którzy zamiast szabli w dłoni mają odpowiednie wpływy, pochodzenie i bogactwo. I płeć – dodają bohaterki serialu skarżące się na męską opresję.

ZNAKOMITA ROZRYWKA

Całą tę historię ogląda się znakomicie, mnóstwo w niej naprawdę nieoczekiwanych zwrotów akcji i niezwykle barwnych postaci (przymknijcie tylko oko na rozwlekły sezon pierwszy). Dobrze serialowi zrobiło także trzymanie się bardzo długo z dala od realizacji zapowiedzi, że będzie to prequel „Wyspy skarbów". Dzięki temu twórcy mogli opowiedzieć własną fabułę i obdarzyć bohaterów własnym życiem. Słynna Wyspa Szkieletów, na której skarbu szukali po latach Ben Gunn, Jim Hawkins i inni bohaterowie „Wyspy skarbów" czy „Przygód Bena Gunna", pojawia się dopiero trzy odcinki przed końcem. I bardzo dobrze, bo przecież widz pamiętający przez cały czas, że o przedbiegi do Stevensona chodzi, mógłby od razu sięgnąć po powieść i sprawdzić, którzy z bohaterów przeżyli, czyli dowiedzieć się, jak skończyła się rywalizacja o skarb kapitana Flinta. Nie róbcie tego. Szkoda zabawy.

★★★★★☆
SEZON 4
„PIRACI"
USA 2017
wyst. Toby Stephens, Luke Arnold, Hannah New, Toby Schmitz
EMISJA W CANAL+

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a156d6168f

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Słoń a sprawa polska

★★★☆☆☆

REŻ. NIKI CARO
„AZYL" („ZOOKEEPER'S WIFE")
USA 2017

wyst. Jessica Chastain, Johan Heldenbergh, Daniel Brühl, Michael McElhatton

Spielberg wielkim filmowcem jest, bo wie, czego oczekuje publiczność: krzepienia serc i oswajania koszmarów. Dlatego „Lista Schindlera" stała się wzorcem z Sèvres dla amerykańskich produkcji, których akcja rozgrywa się w czasach pogardy.

O zaletach „Azylu" pisał już na tych łamach Andrzej Horubała. Realizacja jest poprawna, a scenariusz – prawie całkowicie zgodny z założeniami naszej polityki historycznej. Niemcy są tu sadystycznymi oprawcami, Żydzi bezgrzesznymi ofiarami, a Polacy szlachetnymi konspiratorami i dzielnymi powstańcami. Na ekranie nie pałęta się żaden szmalcownik ani antysemita. II Rzeczpospolita to eden. Oczywiście wolelibyśmy, by ukrywający się Żydzi rysowali na ścianie orła w koronie niż gwiazdę Dawida, lecz skoro nie dołożyliśmy do produkcji nawet złotówki, cieszmy się z tego, co dają. Fajnie jest pomarzyć, że na jakiś czas termin „warszawskie zoo" wyprze z obiegu popularną na Zachodzie zbitkę „polskie obozy zagłady".

To jednak za mało, by uznać „Azyl" za film wybitny. No, chyba że umówimy się, iż optymalnym sposobem opowiadania o okupacyjnym horrorze jest konwencja kina familijnego. Niki Caro woli wzruszać, niż straszyć (a tym bardziej dołować) widzów. I kurczowo trzyma się ogranych schematów. Jeśli na początku kamera pokazuje kredki, to wiadomo, że w kluczowej scenie zostaną one użyte. Bohaterów narysowano wyjątkowo grubą kreską. Antonina Żabińska to Schindler w spódnicy, anioł miłosierdzia uwielbiający wszystkie Boże stworzenia – od słonia do królika. A najbardziej dzieci.

Na ekranie nie wygląda to źle. Chęć pochwalenia panny Chastain przeszła mi jednak po lekturze wywiadu, w którym rudowłosa aktorka oznajmiła, że „»Azyl« to opowieść o otoczonej przez maczystowską agresję kobiecie, która dorasta do tego, by wyjść z cienia". Wygląda na to, że za plecami gwiazdy wycięto z filmu wszystkie feministyczne wątki. Nie chciałbym być w skórze montażysty, gdy ona się o tym dowie. Mówiąc serio, jedyną intrygującą personą w „Azylu" jest czarny charakter. Daniel Brühl sprytnie wykorzystał swój chłopięcy wdzięk, budując kreację opartą na sprzecznościach.

Herr Heck pojawia się na ekranie jako naukowiec z kindersztubą, unikający rozmów o polityce. Kiedy wraca nad Wisłę w mundurze esesmana, jest już klasycznym übermenschem. Zasmakował we władzy, może nawet lekko sfiksował, gdyż chce zostać niemieckim Łysenką i przywrócić światu tura. Fascynacja Hecka panią Żabińską czyni z niego postać nieprzewidywalną. Poza tym nadałby się na ministra ochrony przyrody. Kocha zwierzęta, lecz od czasu do czasu lubi sobie do nich postrzelać. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „MAŁŻEŃSKIE PORACHUNKI"

Powtórka z rozrywki w nieoczekiwanych dekoracjach. Kryminalna komedia inspirowana Hitchcockiem i jego „Nieznajomymi z pociągu", tyle że tutaj panowie, chcąc pozbyć się swoich żon, zamiast wymienić się zleceniami, wspólnie, po pijanemu, wynajmują zawodowego zabójcę. A co będzie, gdy wytrzeźwieją? Sporo specyficznego skandynawskiego humoru. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Małżeńskie porachunki" („Dræberne fra Nibe"), reż. Ole Bornedal, wyst. Ulrich Thomsen, Nicolas Bro, Dania 2017***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Carrie Pilby", reż. Susan Johnson, USA 2016***
- ***„Matka" („Ema"), reż. Kadri Kõusaar, Estonia 2016***
- ***„Pakt krwi" („Arsenal"), reż. Steven C. Miller, USA 2017***

eprasa.pl a156d6168f

Strzał przy bankomacie

Według najnowszych ustaleń kartografów Twin Peaks nie znajduje się już na północno-wschodnich rubieżach Stanów Zjednoczonych. Trzeba go szukać w Estonii.

Dom z białej cegły, jakich wiele. A jednak drzwi się w nim prawie nie zamykają. W jednym z pokoi leży bowiem pogrążony w śpiączce Lauri. Składają mu wizyty zszokowani przyjaciele i znajomi, szarmancki szef i zafrasowany policjant.

Całe miasteczko zachodzi w głowę: Kto postrzelił młodego nauczyciela? Krąg podejrzanych jest aż nazbyt szeroki: nikomu się tu nie przelewa, wielu zaś marzy, by wyrwać się z zabitej deskami prowincji do wielkiego świata. Lauri, zanim stał się warzywem, opróżnił konto w banku. 80 tys. euro to sumka warta grzechu. Czy również grzechu zabójstwa?

Synem opiekuje się małomówna Elsa. Sprawia wrażenie osoby pogodzonej z losem, ale to pozory. Każdy z mieszkańców estońskiego Twin Peaks prowadzi podwójne życie. A każda z ujawnionych tajemnic zbliża nas do rozwiązania kryminalnej zagadki.

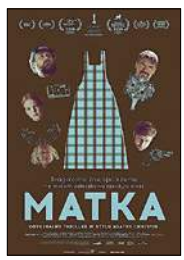

★★★★★★

REŻ. KADRI KÕUSAAR
„MATKA" („EMA")
ESTONIA 2016

wyst. Tiina Mälberg, Andres Tabun, Andres Noormets

„Matka" jest filmem cierpkim, lecz psychologicznie wiarygodnym. Kin nie podbije, łatwo jednak dałoby się go przerobić na teatralny spektakl – z akcją rozgrywającą się w „pokoju zwierzeń". Jako Lauri mógłby zabłysnąć Maciej Stuhr, a Krystyna Janda z pewnością byłaby świetną Elsą. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W POGONI ZA SZCZĘŚCIEM

★★★★★★

REŻ. WALT DOHRN, MIKE MITCHELL
„TROLLE" („TROLLS")
USA 2017, IMPERIAL

wyst. Anna Kendrick, Justin Timberlake, Zooey Deschanel

Cięty byłem na ten film okrutnie, bo zwiastun był przeraźliwie głupiutki, jednak kiedy doszło do oglądania, bawiłem się dobrze. Trzeba tylko odpowiednio ustawić oczekiwania – to animacja dla trochę młodszych odbiorców niż „Zwierzogród" i „Wielka szóstka". Dla starszych i dorosłych może być z początku nieco irytująca, ale kiedy zaczyna się na dobre wpasowywanie w prościutką fabułę wielkich muzycznych hitów różnych generacji, robi się naprawdę zabawnie. Okazuje się, że nawet grupa Gorillaz pasuje do filmu dla dzieci. Tytułowe trolle to maleńkie stworki przepełnione optymizmem (do granic głupoty), nic tylko śpiewałyby i tańczyły, a co pół godziny muszą się przytulać. Ich wrogami są przebrzydłe bergeny, które uszczęśliwia tylko jedna rzecz na świecie – zżeranie trolli. Kiedy więc jedyny na świecie troll smutas i bardzo rozbrykana księżniczka ruszą z pomocą porwanym przyjaciołom, będą musieli wymyślić także, jak sprawić, by nikomu do szczęścia taka konsumpcja nie była potrzebna.

WYKOLEJONA ZNOWU NADAJE

★★★★★★

REŻ. AMY SCHUMER
„AMY SCHUMER: THE LEATHER SPECIAL"
USA 2017, NETFLIX

wyst. Amy Schumer

Jeszcze kilka lat temu pyskata komediantka znana była głównie koneserom amerykańskiego stand-upu. Od czasu, gdy wystąpiła w komedii „Wykolejona" (2015) Judda Apatowa, stała się międzynarodową gwiazdą. Sceny jednak nie porzuca, o czym świadczy najnowszy występ zarejestrowany dla platformy Netflix. Wbita w obcisły strój z czarnej skóry Schumer obraca swoje sadełko w atut, przekonując widownię, że czuje się sexy i nikt nie powinien się swego wyglądu wstydzić. Niestety, wstydzić powinna się z powodu poziomu serwowanych dowcipów. Większość dotyczy tego, co mężczyźni i kobiety robią ze sobą w sypialni ze szczegółami dość fizjologicznymi. Stand-up widział nie takie rzeczy, zwykle jednak do czegoś prowadzą – najpierw jazda po bandzie, a potem mocne puenty, z których wynika, że chodzi o coś więcej niż tylko pusty rechot. Tej drugiej części u Amy Schumer zabrakło. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „FLATOUT 4: TOTAL INSANITY"

★★★★★★

Nowy „FlatOut" to jedna z tych gier, w której na pozór wszystko wygląda dobrze. Wsiadasz do stuningowanego samochodu i ścigasz się w zawodach, których organizatorzy nie słyszeli o regułach fair play. Kruszysz szyby, miażdżysz zderzaki, a maszyny przeciwników stają w płomieniach, gdy przychodzi do demolki na otwartym ringu. Niestety, w praktyce okazuje się, że fizyka jazdy przypomina loterię, grafika nie zachwyca, a prawdziwą, acz krótkotrwałą frajdę dają jedynie poboczne zręcznościowe gierki. Nic dziwnego, że na koniec dnia można raczej ziewnąć, niż poczuć odrobinę szaleństwa, które „FlatOut" obiecywał w podtytule. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Wyścigi*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Kylotonn/Techland*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *12+*

eprasa.pl a156d6168f

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Czarny, żelazny krzyżyk

Jest to książka XIX-wieczna w pełnym tego słowa znaczeniu. Historia opowiedziana w „Pięknych Polkach" rozpoczyna się w 1857 r., sześć lat przed wybuchem powstania styczniowego, w Galicji Wschodniej, głównie we Lwowie, choć nie tylko. Bohaterki opowieści miały po 15 lat i były uczennicami zakładu wychowawczego dla dziewcząt prowadzonego przez Felicję Wasilewską. Pod wpływem treści przekazywanych im w szkole wpadły na pomysł założenia organizacji patriotycznej, której celem miała być służba Polsce. Oczywiście chodziło o organizację tajną, bo o tym, by podobne stowarzyszenie zostało zaakceptowane przez władze, mowy być nie mogło.

Założycielkami były Zofia Romanowiczówna, Wanda Dybowska i Julia Dzierżanowska. Z czasem same zaczęły się nazywać (i tak je nazywano) klaudynkami, od imienia patronki organizacji. Została nią Klaudyna Potocka, uczestniczka powstania listopadowego, wielkopolska arystokratka po powstaniu zmuszona do emigracji. W Dreźnie stworzyła dom dla polskich uchodźców, energicznie zajęła się też działalnością charytatywną, organizując zbiórki, opiekując się chorymi, niosąc pomoc materialną i duchową. Adama Mickiewicza, jak sam napisał, natchnęła „wiarą w cnotę i dobroć życia na ziemi", a Wincenty Pol oświadczył, że pisać zaczął pieśni z powodu Mickiewicza i natchnienia Klaudyny Potockiej.

Nie porywy romantycznych poetów zadecydowały jednak o takim, a nie innym wyborze patronki dla dziewczęcej organizacji, lecz fakt, że jej najpoważniejsza na tym polu konkurentka – św. Jadwiga Śląska – była… Niemką.

W statucie stowarzyszenia klaudynki zobowiązywały się do pracy duchowej nad sobą „i nad ludem", do pielęgnowania polskiego języka i polskich obyczajów, wzajemnej pomocy oraz wspólnych modlitw za ojczyznę. Najciekawszym, a zarazem bardzo radykalnym postanowieniem był jednak ujęty w statucie zakaz małżeństw z cudzoziemcami i wojskowymi. Pierwotny zakaz ograniczał się do „Niemców i Moskali", następnie jednak rozciągnięty został na innych cudzoziemców (w domyśle: austriackich zaborców) oraz wojskowych. Ci ostatni mogli być Polakami robiącymi kariery w armii, ale skoro tak, to zasługiwali jedynie na określenie „zdrajcy". A – zwracają uwagę autorzy „Pięknych Polek" – „małżeństwo z cudzoziemcem oznaczało wtedy nie tylko awans finansowy, ale także nobilitację towarzyską i społeczną. Dlatego zobowiązanie, które nałożyły na siebie klaudynki, było dużym wyzwaniem".

Klaudyna Potocka FOT. POLONA

Znakiem rozpoznawczym klaudynek był czarny, żelazny krzyżyk noszony wysoko na szyjach dziewcząt. Nie były związane żadną formalną przysięgą, a członkinią organizacji zostać mogła każda kobieta, musiała jednak spełniać określone kryteria etyczne i przejść okres próbny. W sumie klaudynek, pochodzących zwykle z Galicji Wschodniej, było ok. 200. Zdekonspirowały się raz, po roku, gdy w modlitewniku jednej z nich znaleziony został statut organizacji. Szczęśliwie odkryła go ukochana nauczycielka Felicja Wasilewska, która bynajmniej nie skrytykowała pomysłu, lecz sama dołączyła do grona klaudynek.

Samokształcenie, praca organiczna, praca u podstaw… – wszystko to sytuuje dziewczęcą organizację ze Lwowa bliżej pozytywizmu, a jednak jej głębokie patriotyzm i religijność mają swoje korzenie w poprzedniej epoce. I nic dziwnego, że najczęściej czytanymi przez klaudynki autorami byli Mickiewicz i Lelewel.

Dziewczęta silnie zaangażowały się w powstanie styczniowe, tak jak Wanda Dybowska, późniejsza żona Franciszka Longchampsa de Bériera, ze znanej rodziny hugenockiej, w XIX w. już całkowicie spolonizowanej. Mieli pięcioro dzieci, a o ich późniejszym życiu wiadomo z pamiętników syna, Bogusława Longchampsa, który wspominał, że niedługo przed śmiercią (w 1915 r.) matka poruszająca się na wózku inwalidzkim, widząc z okna lwowskiego domu maszerujący oddział „Strzelca", powiedziała: „Mniejsza o to, kto to robi i z czyją pomocą, i czy szczerą, czy nieszczerą. Wszystko to skończy się jednym: Polska będzie! Nadchodzi wielka wojna, o którą modlił się Mickiewicz". A Bogusław, syn Wandy i Franciszka, chrzczony był – zgodnie ze starą husarską tradycją – na żołnierskich szablach. I rzeczywiście, wstąpił on do Legionów Piłsudskiego, a później bronił kraju przed bolszewikami.

Chrzest patriotyczny to znamienny obyczaj polskiego domu. I właśnie o takich polskich domach, w których wychowywały się lwowskie klaudynki, jest ta książka. Cała z XIX stulecia. ©℗

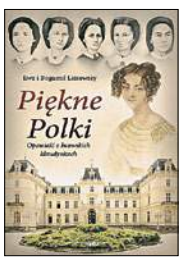

★★★☆☆☆
EWA I BOGUMIŁ LISZEWSCY
„PIĘKNE POLKI. OPOWIEŚĆ O LWOWSKICH KLAUDYNKACH"
REPLIKA, ZAKRZEWO 2017

eprasa.pl a156d6168f

PIOTR GOCIEK

PTANKI

Kokainowy tato

Juan Pablo Escobar dedykuje swoją książkę ojcu, który „nauczył mnie, jaką drogą nie należy iść". Mamy więc dydaktykę, ale bądźmy szczerzy – mało kto sięgnie po tę pozycję, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że złe uczynki prowadzą do żałosnego końca. Raczej będą to miłośnicy serialu „Narcos", żądni wiedzy na temat tego, „jak to było naprawdę". I oczywiście ją tu znajdą. Kto lepiej może znać sekrety narkotykowego imperium Escobara, jak nie jego rodzony syn?

Jednak nie to decyduje o oryginalności tej książki. Opowieści o Escobarze było już trochę (w zeszłym roku choćby ciekawa pozycja Marka Bowdena „Polowanie na Escobara"), więc techniczne szczegóły nie są wielką tajemnicą. Tutaj jednak zaglądamy do wnętrza rodzinnego domu niesławnego złoczyńcy. Próbował to także robić (z różnym efektem) film „Escobar. Historia nieznana", w którym w rolę tytułową wcielił się Benicio Del Toro.

Perspektywa rodzinna sprawia, że pierwszą rzeczą, jaką zauważamy, jest banalność zła. Uderza ona już podczas przeglądania wkładki ze zdjęciami. Tutaj pulchny, uśmiechnięty wąsacz tuli żonę i syna, tam przebiera się za meksykańskiego grasanta podczas wypadu do Las Vegas; tu wznosi rękę podczas przemowy jako kandydat w wyborach, tam z kolei wznosi małego Juana, żeby usadzić go sobie na barana. „Spędzał z nami wszystkie weekendy" – chwali tatę młody Escobar. Dzięki Bogu, chciałoby się zawołać, to oznacza, że miał mniej czasu na inną, hm, działalność. Jaką? Wiemy, wiemy: 80 proc. szmuglu kokainy do USA, miliardy dolarów zarobku i zero litości dla konkurentów w narkobiznesie.

Ton tej opowieści najlepiej oddaje tytuł innej książki, którą 10 lat temu wydała kolumbijska dziennikarka Virginia Vallejo: „Loving Pablo, Hating Escobar" („Kochając Pabla, nienawidząc Escobara"). Także potwory bywają kochającymi mężami i cudownymi ojcami; bez wątpienia Escobar takim potworem był. Matka żony Escobara próbowała odwieść ją od małżeństwa pytaniem: „Czy jesteś gotowa całe życie nosić Pablowi paczki z jedzeniem do więzienia?". „Tak, jestem gotowa". Nie może więc mówić, że nie wiedziała, w co się pakuje. Mały Juan nie miał takiego wyboru, po prostu pojawił się na świecie w samym środku szaleństwa, jakim była historia Pabla Escobara. „To, co źle się zaczyna, nie może się skończyć dobrze" – pisze Juan. Zwykle zauważamy to, kiedy jest za późno. ©℗

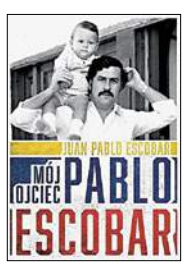

★★★★☆☆
JUAN PABLO ESCOBAR
„MÓJ OJCIEC PABLO ESCOBAR"
ZYSK I S-KA 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Trzynasty tom dzieł zebranych Białoszewskiego jest jednocześnie pierwszą częścią zbioru utworów rozproszonych i dotąd niepublikowanych. Oprócz wierszy są to także dwa dramaty i kilkanaście poetyckich przekładów.

MIRON BIAŁOSZEWSKI
„POLOT NAD NISKIMI SFERAMI"
PIW

Potężna apokaliptyczna powieść syna Stephena Kinga, który kryje się pod pseudonimem, by nie korzystać ze sławy ojca. Oto świat dotknięty niezwykłą zarazą, która pożera swe ofiary jak najbardziej dosłownie – płomieniami.

JOE HILL
„STRAŻAK"
ALBATROS

Barwnie napisana biografia Alexandra von Humboldta, przyrodnika i podróżnika. Jego prace nie tylko położyły podwaliny pod współczesną naukę, lecz także kształtowały wyobraźnię żądnych wiedzy XIX-wiecznych czytelników.

ANDREA WULF
„CZŁOWIEK, KTÓRY ZROZUMIAŁ NATURĘ"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

„Uczyć się na własnych błędach" – mawiamy. Nauka nazywa to „mechanizmami ewolucyjnymi". Dlaczego wyciągamy często niewłaściwe wnioski z oczywistych przesłanek i jak tego uniknąć – pouczająca książeczka. ©℗

poleca Piotr Gociek

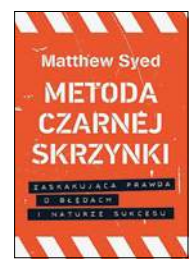

MATTHEW SYED
„METODA CZARNEJ SKRZYNKI"
INSIGNIS

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Michalina Wisłocka „Sztuka kochania" (Agora) – najsłynniejszy polski poradnik seksualny wraca na półki za sprawą filmu o autorce.***
2. ***William P. Young „Chata" (Nowa Proza) – bestseller ewangelizacyjny: ponad 20 milionów egzemplarzy sprzedanych na całym świecie. Ojciec obwiniający się o śmierć dziecka spędza weekend z Trójcą Świętą.***
3. ***Bruce W. Cameron „Był sobie pies" (Wydawnictwo Kobiece) – kolejny bestseller dzięki ekranizacji. Sympatyczny kundel, mały Ethan i wiele niespodzianek.***
4. ***Harlan Coben „Już mnie nie oszukasz" (Albatros) – nowa powieść znanego autora thrillerów: weteranka z Iraku i tajemnica zabójstwa jej męża.***
5. ***Olga Tokarczuk „Prowadź swój pług przez kości umarłych" (Wydawnictwo Literackie) – powieść, na podstawie której Agnieszka Holland nakręciła film „Pokot".***

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej Bookszpan)

eprasa.pl a156d6168f

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Nowojorskie klimaty

Tomasz Stańko FOT. ECM

Na początku dwa ostrzeżenia. Gdyby komuś przyszło do głowy szukać w Nowym Jorku December Avenue – daremny trud. Nie znajdzie takiej alei, bo jej po prostu nie ma. Jeśli natomiast ktoś, grudniową porą, zechce się włóczyć nowojorskimi alejami, by sprawdzić, jaki to szczególny rodzaj inspiracji znalazł tam Tomasz Stańko, zamiast poetyckiego ducha jazzu dopadnie go prędzej ostre przeziębienie.

Zakładam, że w przypadku najnowszej płyty Tomasza Stańki „December Avenue" będzie tak, jak bywa z ważnymi dziełami kultury. Obrastają z czasem legendą, która wiedzie rzesze fanów tropami wytyczanymi przez autora, a miejsca opisane na kartach powieści czy pokazane w filmach zyskują natychmiast ogromną popularność.

Na kolejny album Stańki musieliśmy czekać cztery lata i się nie zawiedliśmy. Z napotkanymi kilka lat temu w światowej stolicy jazzu muzykami – kubańskim pianistą Davidem Virellesem, bębniarzem Geraldem Cleaverem i Reubenem Rogersem (który zastąpił poprzedniego kontrabasistę Thomasa Morgana) – Stańko nagrał płytę, która jest 12. krążkiem wydanym w barwach wytwórni ECM.

Wspominam o tym, bo trwająca już ponad cztery dekady znajomość (przyjaźń) z producentem i wydawcą Manfredem Eicherem, w biografii artysty i w historii ECM owocuje nie tylko tuzinem autorskich albumów, lecz także jest przykładem, jak osobowość twórcy i osobowość producenta oddziałują na siebie. Dzisiaj trudno powiedzieć, na ile Eicher inspirował naszego trębacza, a na ile Stańko od lat wpływa na estetyczny klimat wytwórni.

„December Avenue" nie pomoże rozwikłać tej zagadki, bo właśnie ta płyta, jak żadna inna, jest dla mnie laboratoryjnym wzorcem ECM-owskiego brzmienia. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem w radiu nową wersję „Conclusion", musiałem zjechać na pobocze, by nie stracić ani jednej frazy. Ta muzyka działa tak jak sprężone powietrze. W myśl zasady „mniej znaczy więcej" w oszczędnie stawianych dźwiękach czai się niezwykle skondensowany ładunek emocji. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Uroki muzycznej turystyki

Duet Mitch & Mitch, czyli Magneto i Macio Moretti, czyli Bartek Tyciński i Maciej Moruś, nie przypadkiem nazywany jest legendarnym. Od 15 lat panowie działają na styku muzycznego kiczu, autoironii i wysublimowanej estrady.

Po pięciu albumach docenionych przez środowisko muzycznej alternatywy Mitch & Mitch osiągnęli w 2015 r. upragnioną sławę. Nagrali nową wersję zapomnianego, debiutanckiego albumu Zbigniewa Wodeckiego, który ukazał się 40 lat wcześniej. Płyta nazwana „1976: A Space Odyssey" pokryła się złotem i została nagrodzona dwoma Fryderykami.

Trzy lata temu jeden z Mitchów jako nie-Mitch wystąpił w klubie Audio Rebel w Rio de Janeiro, gdzie poznał Alexandre'a Kassina, brazylijskiego muzyka i producenta. Efektem tego spotkania jest omawiany album. Zawiera 10 utworów instrumentalnych idealnie pasujących na snobistyczną prywatkę. Płytę otwiera energetyczna gitarowa „Corredor Polones", po której następuje seria nagrań utrzymanych w stylistyce koktajlowego jazzu. Melodie przepięknie bujają i ogólnie jest bardzo sympatycznie.

„Visitantes Nordestinos" przypomina projekty Niemca Uwe Schmidta, który jako Senor Coconut nagrywał latynoskie wersje przebojów Kraftwerka czy Deep Purple. Słyszalny jest też duch Lalo Schifrina – argentyńskiego kompozytora muzyki filmowej, znanego choćby z tematu „Mission: Impossible". Urocza płyta. ©℗

★★★★★☆
MITCHCH &GASSIN „VISITANTES NORDESTINOS" LADO ABC

★★★★★☆
ANDRZEJ KORZYŃSKI „MUZYKA Z FILMÓW W REŻYSERII ANDRZEJA WAJDY" SONY

Utwory do filmów „Polowanie na muchy", „Człowiek z marmuru", „Człowiek z żelaza", „Brzezina", „Panna Nikt" powstały na przestrzeni 27 lat. Płyniemy od muzyki symfonicznej przez elektronikę i rocka do nowatorskiego disco. Klasyka. ©℗

★★★★★☆
CHRIS DEVITO „COLTRANE WEDŁUG COLTRANE'A" KOSMOS KOSMOS

DeVito zebrał wywiady Coltrane'a z lat 1952–1967. Saksofonista nie tylko zrewolucjonizował jazz nowoczesny, lecz także jego muzykę przepełnia pierwiastek duchowy. Mimo że zmarł 50 lat temu, jest czczony przez kolejne generacje muzyków. ©℗

eprasa.pl a156d6168f

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Nagroda dla twórców kultury stojących na straży prawdy i umiłowania wolności. Jej laureatem może zostać osoba, której działalność wpisuje się w hasło:
„A jednak coś po nas zostanie".

Na zgłoszenia kandydatów czekamy do 30 września
pod adresem: **fundacja@gintrowski.pl**

MECENAT KONCERTU

PGNiG

WSPÓŁORGANIZATOR:

NARODOWY INSTYTUT AUDIOWIZUALNY
NInA

PATRONI MEDIALNI:

wprost

DO RZECZY

eprasa.pl a156d6168f

Sprawa polska

Olivier Bault

Niebawem Francuzi dokonają wyboru ważnego dla całej Unii Europejskiej. Jaki scenariusz byłby korzystny dla Polski?

Czy Francję czeka duża zmiana w związku z tegorocznymi wyborami prezydenckimi (23 kwietnia i 7 maja) oraz parlamentarnymi (11 i 18 czerwca)? Jeszcze do stycznia wydawało się, że lewica nie ma żadnych szans i że pewnym zwycięzcą jest kandydat centroprawicy François Fillon, zapowiadający powrót Francji do większego konserwatyzmu, aczkolwiek bez wprowadzania istotnych zmian po lewicowej rewolucji obyczajowej przeprowadzonej za prezydentury François Hollande'a. Jeśli wybory wygra François Fillon, to „homomałżeństwa" zostaną ostatecznie usankcjonowane przez tych, którzy chętnie maszerowali na czele protestów przeciwko zmianie definicji instytucji małżeństwa. Z doświadczenia V Republiki Francuskiej wiadomo też, że wygrana w wyborach prezydenckich będzie gwarantowała wygraną obozu kandydata w wyborach do Zgromadzenia Narodowego. Z punktu widzenia Polski istotne może być to, że wygrana Fillona i francuskiej centroprawicy zapewniłaby trwanie Francji w Unii Europejskiej oraz w strukturach wojskowych NATO, nawet jeśli należałoby się spodziewać, zgodnie z zapowiedziami wyborczymi, pewnego zbliżenia między Francją a Rosją, zwłaszcza na polu wojny w Syrii, i wolę szybkiego zniesienia sankcji wprowadzonych po aneksji Krymu.

GROŹNA LE PEN

Ta sytuacja byłaby i tak korzystna w porównaniu z wygraną Marine Le Pen i Frontu Narodowego. Z tym że w przypadku Le Pen większość w Zgromadzeniu Narodowym nie byłaby wcale pewna nawet po zwycięstwie w wyborach prezydenckich.

Zakładając jednak, że Marine Le Pen i Frontowi Narodowemu udałoby się zdobyć większość dającą możliwość samodzielnego rządzenia dzięki francuskiemu systemowi jednomandatowych okręgów wyborczych, w których deputowani są wybierani w dwóch turach, zmiana w polityce zagranicznej Francji byłaby największa. Zgodnie z oficjalnym programem prezydenckim Marine Le Pen Francja opuści bowiem zintegro-

eprasa.pl a156d6168f

Wygrana François Fillona zapewniłaby trwanie Francji w Unii Europejskiej oraz w strukturach wojskowych NATO FOT. JULIEN DE ROSA/IP3/GETTY IMAGES

nad Sekwaną

wane struktury dowodzenia NATO, jak to uczynił gen. de Gaulle w 1966 r., i powróci tym samym do sytuacji sprzed 2009 r. Jednocześnie Francja zwiększy swoje wydatki na obronę do 2 proc. PKB w przyszłym roku i do 3 proc. PKB w 2022 r. Marine Le Pen zapowiada, bardziej niż Fillon, politykę międzynarodową niezależną od polityki amerykańskiej i zamierza traktować Rosję jako partnera na równi z USA.

Wygrana Marine Le Pen byłaby zatem najmniej korzystna dla Polski pod kątem polityki wschodniej. W sprawie islamizacji na zachodzie kontynentu, która może na dłuższą metę być także dużym zagrożeniem dla interesów krajów Europy Środkowo-Wschodniej, w tym Polski, zarówno Fillon, jak i Le Pen zapowiadają zdecydowaną walkę z islamizmem, odcięcie wpływów saudyjskich i katarskich na islam we Francji, zastopowanie nielegalnej imigracji oraz zahamowanie tej legalnej. Fillon miał w trwającej aktualnie kampanii jeszcze bardziej zdecydowane wypowiedzi niż Le Pen przeciwko wpływom islamu we Francji. Jednak jego rzeczywiste intencje pod znakiem zapytania stawia fakt, że gdy był premierem za prezydentury Nicolasa Sarkozy'ego, imigracja – zarówno legalna, jak i nielegalna – miała się bardzo dobrze, a islamizm rozwijał się bez przeszkód, m.in. dzięki funduszom saudyjskim i katarskim.

Brak istotnych zmian w polityce zagranicznej Francji gwarantuje za to kandydat namaszczony przez główne media (po przegranej progresisty Alaina Juppégo w prawyborach centroprawicy) Emmanuel Macron. Jest on także nieoficjalnie kandydatem odchodzącego prezydenta François Hollande'a i – już oficjalnie – byłego premiera Manuela Vallsa. Zwycięzca prawyborów Partii Socjalistycznej (PS) Benoît Hamon cieszy się poparciem na poziomie antysystemowego kandydata skrajnej lewicy Jeana-Luca Mélanchona, czyli reprezentuje ok. 10–15 proc. wyborców. Dlatego też liczni ministrowie i posłowie PS dołączyli do ruchu En Marche!, stworzonego przez byłego zastępcę sekretarza generalnego kancelarii prezydenta Hollande'a (w latach 2012–2014) i byłego ministra gospodarki w rządzie Manuela Vallsa (od sierpnia 2014 do sierpnia 2016 r.) Emmanuela Macrona.

FILLON I CZŁOWIEK SYSTEMU

Przedstawiający się jako antysystemowy i ponadpartyjny 39-letni Macron był wcześniej wspólnikiem w banku Rothschilda, a jeszcze wcześniej wysokim urzędnikiem administracji skarbowej, gdzie zatrudniony został po ukończeniu francuskiej wyższej szkoły

eprasa.pl a156d6168f

administracji ENA. Liberalno-lewicowy polityk jest zatem czystym produktem systemu i jest przez tenże system (czy „układ") bardzo mocno wspierany. W połowie marca według sondaży miał podobne notowania do prowadzącej do tej pory Marine Le Pen – na poziomie powyżej 25 proc. – podczas gdy wcześniejszy faworyt, François Fillon, nękany przez media i prokuraturę, zszedł już poniżej 20 proc. Według ostatnich badań Marine Le Pen przegrałaby w drugiej turze zarówno z Fillonem, jak i z Macronem, osiągając poparcie na poziomie 40–45 proc.

Z pozoru Polska powinna się cieszyć z ewentualnej wygranej Emmanuela Macrona, choć perspektywa lewicowego tandemu Francja-Niemcy (jeśli SPD z Martinem Schulzem na czele wygra wrześniowe wybory w Niemczech) nie będzie sytuacją wygodną dla rządzącego w Polsce PiS. Francja i Niemcy będą nadal przyciągały i wpuszczały setki tysięcy nielegalnych oraz legalnych imigrantów – głównie muzułmanów – i na arenie Unii Europejskiej będą dążyły do ściślejszej integracji wybranych krajów UE, czyli do federalizacji twardego jądra Unii w ramach Europy kilku prędkości. Macronowi będzie też po drodze z Angelą Merkel, którą chwali za politykę imigracyjną.

W porównaniu z wygraną kandydata centroprawicy zwycięstwo zastępczego kandydata lewicy ma także większe szanse doprowadzić za pięć lat do zdobycia władzy przez Front Narodowy, jeśli potwierdzą się podejrzenia, że kandydatura Emmanuela Macrona ma jedynie na celu zwodzić część prawicowego elektoratu w sytuacji, gdyby Partia Socjalistyczna nie miała już żadnych szans na wygraną i gdyby zwycięzca prawyborów centroprawicy stał się nie do zaakceptowania dla liberalno-lewicowej „grupy trzymającej władzę". Prezydentura Emmanuela Macrona może bowiem zadziałać podobnie jak prezydentura Nicolasa Sarkozy'ego, którego przedwyborcze obietnice i wizerunek prawdziwie prawicowego lidera odebrały co prawda głosy Frontowi Narodowemu w 2007 r., ale którego późniejsze otwieranie się na lewicę i niewywiązanie się z obietnic na dłuższą metę FN bardzo wzmocniły. I tak obecny lewicowy, „niezależny" kandydat Macron chce stopniowo zwiększać wydatki na obronę do poziomu 2 proc. w roku 2025, ustanowić nową, obowiązkową jednomiesięczną służbę wojskową dla wszystkich Francuzów i Francuzek, stworzyć 15 tys. nowych miejsc w więzieniach i zamknięte ośrodki dla dżihadystów powracających z Syrii, zatrudnić 10 tys. dodatkowych policjantów i systematycznie wydalać nielegalnych imigrantów, których wniosek o azyl nie zostanie przyjęty. Pytanie jednak: Jak zamierza realizować te typowo prawicowe zapowiedzi, zgodne z wolą przeważającej części Francuzów, jeśli liczy na większość parlamentarną, która miałaby się składać z lewicowych i centrowych posłów?

Dlatego też z punktu widzenia Polski korzystniejsza byłaby jednak wygrana François Fillona i jego partii LR. Jeśli chodzi o większą przychylność Fillona dla Rosji (w porównaniu z Macronem), to jest ona mimo wszystko umiarkowana. Przykładowo: w jego programie wyborczym zastrzega się, że dążenie do zniesienia sankcji wobec Moskwy musi być uwarunkowane poszanowaniem porozumienia z Mińska. Fillonowi, ze względu na większy konserwatyzm i znaczny nacisk na walkę z islamizacją oraz imigracją, byłoby poza tym bliżej do administracji nowego amerykańskiego prezydenta Donalda Trumpa i do europejskiej wizji Grupy Wyszehradzkiej niż Macronowi – zwolennikowi multikulturalizmu i eurofederalizmu. Co prawda Fillon chce wzmocnić strefę euro, co de facto pogłębi istniejącą Europę dwóch prędkości, ale w przeciwieństwie do federalnej wizji Macrona opowiada się za tym, aby władzę decyzyjną w ramach bardziej zintegrowanej strefy powierzać szefom rządów państw członkowskich, a na poziomie całej UE chciałby wzmocnić Radę Europejską kosztem Komisji Europejskiej.

Według sondaży Marine Le Pen przegrałaby w drugiej turze zarówno z Fillonem, jak i Macronem, zdobywając ok. 40–45 proc. głosów

Inną kwestią ważną dla Polski jest swobodny przepływ pracowników. I tu z polskiego punktu widzenia Fillon jest lepszym wyborem niż Marine Le Pen, gdyż obiecuje swoim wyborcom, że wymusi głęboką zmianę dyrektywy o pracownikach delegowanych, na podstawie której wielu obywateli Europy Środkowej i Wschodniej pracuje na zachodzie kontynentu, opłacając składki w kraju macierzystym. Zjawisko to jest powszechnie odbierane we Francji jako nieuczciwa konkurencja na rynku pracy i Marine Le Pen zamierza zażądać całkowitej likwidacji tej praktyki oraz wprowadzić preferencję narodową w zatrudnianiu pracowników. W tej dziedzinie nawet euroentuzjasta Emmanuel Macron chciałby wprowadzić pewne ograniczenia.

FREXITAWD

Porównując programy trzech głównych kandydatów, należy oczywiście podkreślić, że żądania Marine Le Pen dotyczące głębokiej reformy Unii Europejskiej idą tak daleko, chociażby w sferze dekonstrukcji wspólnej polityki rolnej czy handlowej, iż po jej wygranej Frexit stałby się bardzo prawdopodobny. W każdym razie obiecuje ona referendum w tej sprawie po fazie renegocjacji traktatów europejskich. Z drugiej strony mogłoby to dać Polsce i Węgrom realną szansę na promowanie swojej wizji Unii Europejskiej szanującej suwerenność państw członkowskich jako możliwego kompromisu, dzięki któremu można zapobiec całkowitemu rozpadowi UE.

Marine Le Pen jest tego świadoma i dlatego 8 marca na konferencji prasowej w obecności dziennikarzy europejskich mówiła o chęci podjęcia rozmów z Jarosławem Kaczyńskim oraz Viktorem Orbánem na temat spraw, które są w obecnej Unii nie do zaakceptowania. Należy również przypomnieć, że – w przeciwieństwie do posłów francuskiej lewicy i centroprawicy w europarlamencie – posłowie FN nigdy nie głosowali za przyjęciem rezolucji potępiających obecny polski rząd i zawsze krytykowali ingerencje Brukseli w wewnętrzne sprawy Węgier oraz Polski. Grupa Europa Narodów i Wolności, którą kieruje Marine Le Pen w Parlamencie Europejskim, ostro skrytykowała wybór Donalda Tuska na przewodniczącego Rady Europejskiej w sytuacji, gdy Polska nie chciała go poprzeć ze względu na jego ingerowanie w politykę wewnętrzną.

A zatem, o ile zwycięstwo Le Pen przyniosłoby Polsce największą niepewność co do przyszłej polityki zagranicznej Francji i największe ryzyko szybkiego rozpadu Unii Europejskiej oraz osłabienia NATO, o tyle stworzyłoby pewną szansę wyjścia z impasu, w którym znajduje się obecnie Europa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a156d6168f

IA

POD WĄS

Libacja jak się patrzy

Niedawno, gdzieś tak pod koniec karnawału, spotkałem się z grupą znajomych rówieśników. Cel był dość oczywisty – pogadać przy kieliszku. W programie „997" nazwano by naszą imprezę libacją. My jednak wolelibyśmy określenie „sympozjon", bo – owszem – chodziło o to, żeby się napić, ale rozmowa miała być co najmniej równie istotna.

Spotkaliśmy się w modnej knajpie. Miły klimat, nastrojowe, subtelne oświetlenie. Kelner podał nam kartę alkoholi. I tu zaczęły się problemy.

Nie byłem w stanie odcyfrować literek w menu. Wyciągnąłem rękę na całą długość i cofnąłem maksymalnie głowę, mając nadzieję, że będzie to wystarczający sposób na dalekowzroczność starczą, która dopada ludzi po 40. roku życia. Jednak literek znowu nie widziałem, bo – dla odmiany – było zbyt ciemno, żeby je dostrzec.

– Czy… Czy jesteście w stanie przeczytać, co jest w karcie? – zapytałem niepewnie. Nie byli. Podobnie jak ja robili rozmaite wygibasy, to podsuwając kartę pod nos, to odsuwając ją maksymalnie. Krzywili się, stroili miny, sapali i natężali, ale nie byli w stanie nic odczytać. Literki były skandalicznie małe, a my byliśmy skandalicznie starzy.

– Hm, niedawno zacząłem nosić okulary do czytania. Jednak one są do czytania, nie do picia, więc ich ze sobą nie zabrałem – wyznałem. Na szczęście jeden z osobników miał już grubo ponad 50 lat i już zżył się ze swoją prezbiopią. Wyciągnął więc szkła, włożył na nos i… Nic z tego. Było za ciemno.

– Przy stoliku obok jest mocniejsze światło – podpowiedział jeden z uczestników. Właściciel okularów przesiadł się zatem pod lampę i stamtąd informował nas, jakie drinki tu serwują. Libacja była uratowana. Musieliśmy jeszcze tylko pokonać podobne trudności przy zamawianiu kolacji. Jednak tu literki były nieco większe, więc poszło łatwiej. Potem jeszcze poinformowaliśmy obsługującego nas kelnera, że świat składa się nie tylko z 20-letnich hipsterów, więc fajnie by było, gdyby dorobili się kart nieco mniej designerskich, ale za to z większą czcionką. Pan obiecał, że przekaże nasze postulaty szefostwu. Po tym trudnym, acz zabawnym początku biesiada potoczyła się raźno i wesoło.

Oczywiście chciałoby się jęknąć, że kiedy to się stało. Dopiero co, dosłownie przed chwilą, byliśmy na początku tego prawdziwie dorosłego życia. I nagle, w mgnieniu oka, te 15, 20 lat przeminęło jak w filmie z bardzo szybkim montażem i okazuje się, że potrzebujemy okularów do zamawiania drinka w modnej knajpie.

Darujmy sobie jednak tego rodzaju banalne konstatacje. Zauważmy lepiej, że jest nisza na rynku. Trzeba założyć knajpę z bardzo dużą czcionką w menu. Pięćdziesięciolatkowie poczują się tam swobodnie, a my na tym zarobimy. ©℗

MARCINOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Nadzieja w zgodzie cząstkowej

Twórca literatury fantastycznej ma prawo, a nawet obowiązek zajmować się najmniej prawdopodobnymi scenariuszami. Dlatego myślę sobie niekiedy o końcu wojny polsko-polskiej. Czy kiedykolwiek wygaśnie, czy trwać już będzie do końca świata i jeden dzień dłużej? Nadzieja, że skończy się wraz z zejściem ostatnich bohaterów walki ze sceny politycznej, może okazać się płonna. Trzecie pokolenie AK walczy z trzecią generacją KPP i końca nie widać.

Sądzę, że budowanie polsko-polskiego kompromisu od góry jest niemożliwe. A od dołu?

W dodatku antagonistów nie interesuje jakieś zawieszenie broni, zgniły kompromis, lecz jedynie bezwarunkowa kapitulacja.

Jest to oczywista paranoja, chociaż osobiście upatruję w niej pewną nadzieję, opozycja totalna przesuwa bowiem konflikt poza granice absurdu i wprowadza w sferę śmieszności, co być może prędzej czy później ktoś dostrzeże.

Założenie, że po jednej stronie jest wyłącznie zło, a po drugiej krystaliczne dobro, przeczy zdrowemu rozsądkowi – a taka sytuacja panuje dzisiaj.

Logika polaryzacji nakazuje dziś Stefanowi Niesiołowskiemu (ongiś liderowi ZChN) walczyć o aborcję, popierać homoseksualistów, zwalczać zaściankowy polski patriotyzm i pewnie nie zawaha się zwalczać hierarchii katolickiej, kiedy ta poprze PiS. Ludzie w czasach podziemnej Solidarności przytuleni do kościelnej kruchty dziś popierają obrazoburcze spektakle, obywatele przez lata z gębą pełną patriotyzmu dziś wyklinają demony polskości.

Dlaczego?

Oczywiście na złość Jarosławowi Kaczyńskiemu.

Sądzę więc, że budowanie polsko-polskiego kompromisu od góry jest niemożliwe. A od dołu? Kiedy podział przebiega już w poprzek rodzin?

Jedyna nadzieja – uważam – w zgodach cząstkowych. Dogadywaniu się na dole (co niekiedy się dzieje) w sprawach łatwych, oczywistych, praktycznych. Bez emocji, wielkich słów i kontrowersyjnych nazwisk. Z czasem mogłoby się okazać, że gdy chodzi o konkrety, więcej nas łączy, niż dzieli.

Pozostałby jeszcze jeden drobiazg – przekonać o tym polityków. ©℗

eprasa.pl a156d6168f

Zarkiem Królem, publicystą
rozmawia Maciej Pieczyński

Mateusz Mawiecki to fenomen

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI/FORUM

eprasa.pl a156d6168

MACIECZYŃSKI: Czy półtora roku od zwycięstwa PiS Polska już nie jest w „ruinie"?

MAREK KRÓL: W czasach rządów koalicji PO-PSL Polska była w ruinie, ale intelektualnej. Formowano wówczas mentalność niewolniczą i uległość wobec dyktatu wielkich. Byliśmy jak uczniak ustawiany przez nauczycielkę, która wmawia mu, że do niczego się nie nadaje. Wmawiano nam, że nic nie jesteśmy w stanie osiągnąć, zaszczepiano brak wiary w sukces Polski.

Nie mówmy o tym, co było za poprzedników, bo przecież miała być „dobra zmiana". Jakie więc sukcesy odniosła Polska pod rządami PiS?

Niewątpliwie idée fixe Platformy było dryfowanie w głównym nurcie – nie tworzenie tego nurtu, nie współtworzenie nawet, ale właśnie dryfowanie w nim. Z tego wynikały konsekwencje gospodarcze, takie jak upadek stoczni, budowa Nord Stream. Staliśmy się tanim podwykonawcą. Rozwój stymuluje wydajność, a nie tania siła robocza. Za rządów PiS przestaliśmy być brzydką panną bez posagu, jak w przykry sposób mawiał o Polsce Władysław Bartoszewski. Może wciąż nie jesteśmy panną z posagiem, ale przynajmniej staramy się nie być brzydcy. A jeśli komuś wciąż się nie podobamy, to nie przez obiektywnie postrzeganą brzydotę, a przez naszą krnąbrność. Kisielewski powiedział mi kiedyś: „Jak pan wejdzie do środowiska, w którym wszyscy tak samo mówią i starają się na pana wywrzeć presję, żeby pan też dołączył do tego chóru, to dla zdrowia psychicznego lepiej niech pan będzie przeciw". PiS wyraża obecnie taki właśnie sprzeciw wobec głównego nurtu.

Mówi pan, że dla zdrowia psychicznego warto się sprzeciwiać. Jednak czy jeśli tych, którym się sprzeciwiamy, jest 27, a my jesteśmy sami, to może taka sytuacja przypomina bardziej chorobę niż zdrowie psychiczne?

Mówi pan o wyborze Tuska, który – nawiasem mówiąc – miał tyle wspólnego z demokracją, ile wybory w PRL, bo nie było mowy o wybieraniu jako takim, skoro zablokowano kontrkandydata. Moim zdaniem PiS w tej sprawie postąpił bardzo słusznie. Pokazał rogatą polską duszę. Co byśmy mieli z poparcia Tuska?! Twardy elektorat PiS odebrałby to jako oportunizm i niekonsekwencję. Poza tym oznaczałoby to poparcie Polaka, który z definicji nie może reprezentować interesów Polski.

Co z tego, że PiS moralnie wygrał, skoro praktycznie, realnie przegrał? A można było wcześniej i lepiej przygotować kandydaturę Saryusza-Wolskiego.

Mogę się zgodzić, że było to źle przygotowane. Jednak Saryusz-Wolski przewyższa inteligencją i kompetencjami Tuska, przewyższa go pod każdym względem…

Jednak nie ma takiego poparcia w Europie jak Tusk. PiS mu nie załatwił. Nawet u Orbána, z którym mieliśmy budować Międzymorze…

Kluczowe jest pytanie: Czy Polska prestiżowo przegrała czy wygrała, nie udzielając poparcia Tuskowi? Moim zdaniem wygrała, bo postawiła się Niemcom (których presja na wybór Tuska była przecież silna). A Orbán nie poparł nas najprawdopodobniej dlatego, że został do tego przekonany pozwoleniem na budowę elektrowni atomowej we współpracy z Rosją. Po PRL zostało nam emocjonalne podejście do Węgrów jako narodu naszych przyjaciół. Zawsze nam pomagali. Natomiast w wielkiej polityce zawsze kierowali się własnym interesem. Nie mieszajmy moralności do polityki zagranicznej.

Skoro w polityce zagranicznej decyduje interes, to jaki interes ugrał PiS na awanturze o Tuska?

Jego poparcie było moralnie nie do przyjęcia, a ja bym nie bagatelizował moralności w polityce…

Jednak jakoś Węgrów ta moralna ocena nie dotyczy, mimo że wolą interesy od sumienia?

Z Tuskiem to co innego. Chodzi o to, by emocji z relacji międzyludzkich nie przenosić na politykę międzynarodową. Donald Tusk jest przykładem nominacji mafijnej, podobnie jak Juncker. Obaj są politykami skompromitowanymi, o słabych charakterach. Junckera trzymają, bo jako były przywódca raju podatkowego, jakim jest Luksemburg, ma haki na wielu europejskich polityków, zaś Tusk jest usłużny, bo Angela Merkel z pewnością doskonale wie, co się stało w Smoleńsku, i ma na niego haka.

Oceniajmy działania PiS, nie Tuska. Tak czy inaczej jeśli Polska chce być regionalnym liderem, to musi się kierować nie tylko moralnością, lecz także skutecznością. A z tym chyba słabo.

PiS oberwał za sprawę Tuska srogie baty, nieproporcjonalne do niewielkiego znaczenia całej awantury. Wybór szefa RE to jak wybór woźnego Europy. Poza tym nie chodzi o to, czy to porażka, czy zwycięstwo, ale o to, jak się o tym opowie.

PiS chciał być liderem regionu Międzymorza. Jak ocenia pan efekty tej idei?

O tym, kto będzie liderem, nie decyduje żaden dekret, tylko gospodarka. Jeśli będziemy dominować intelektualnie i gospodarczo, to wtedy te kraje uznają nas za lidera. A nadzieję mieć możemy, choćby patrząc na ambitne plany Morawieckiego dotyczące samochodów elektrycznych – technologii przyszłości, lekceważonej przez Rosję czy kraje arabskie. Teraz jest tak, że spotykamy się w gronie Grupy Wyszehradzkiej, ale wystarczy, że Berlin pstryknie palcami, a reszta za nim pójdzie, bo potencjał niemiecki jest przeogromny…

Jeśli chodzi o wstawanie z kolan, to co się nam udało poza „moralnym zwycięstwem" nad Tuskiem, okupionym realną porażką? W czym pokazaliśmy większą niż poprzednicy asertywność?

Sukcesem jest relokacja w Polsce wojsk amerykańskich. To przełom, bo do niedawna Niemcy przecież bagatelizowali zagrożenie rosyjskie, obśmiewali pomysły nie tylko stałej obecności, lecz także nawet manewrów na terenie wschodniej flanki. Jarosław Kaczyński nie jest co prawda prorokiem, ale okazuje się, że wiele z jego przewidywań się sprawdza. PiS mówił o zagrożeniu zalewem imigrantów, a niedawno Trump zbeształ Angelę Merkel za politykę otwartych drzwi. Kaczyńskiego krytykowano za słowa o potrzebie posiadania broni atomowej przez UE, tymczasem Rosja w swojej doktrynie wojennej expressis verbis zapowiada, że dopuszcza atak jądrowy jedynie na takie państwo, które takiej broni nie posiada. Polska po „dobrej zmianie" jest w pewnym sensie awangardą konserwatywno-republikańskiej rewolucji w świecie.

Oceńmy realne działania rządu. Który z ministrów dostałby od pana najwyższą ocenę?

Fenomenem jest dla mnie Mateusz Morawiecki. Co prawda, tak jak wielu ministrów, robi nieustanne czystki, obsadzając większość stanowisk zaufanymi ludźmi. Natomiast bardzo podoba mi się, że to człowiek, który ma wizję. Przypomina mi Kwiatkowskiego i innych wielkich reformatorów II Rzeczypospolitej. Gdyby na początku lat 90. Morawiecki był na miejscu Balcerowicza, moglibyśmy być dziś potęgą gospodarczą. Nie jest entuzjastą tych kretyńskich kalek, w myśl których „kapitał nie ma narodowości", powinniśmy wszystko sprzedać za bezcen, a rząd nie powinien się do niczego wtrącić. Z reguły gospodarką zajmowali się u nas profesorowie, etatyści bez doświadczenia. Natomiast Morawiecki to prawdziwy człowiek

eprasa.pl a156d6168f

biznesu. Dyrektor banku jest praktykiem, lepiej poprowadzi państwowe interesy niż akademik teoretyk.

Dze, ale na razie Morawiecki ma tylko plan.

To i tak jest jakościowa zmiana w porównaniu z rządami Platformy. Tusk mawiał, że jak przyjdzie do niego człowiek z wizją, to go wygoni z gabinetu. Przemyślana wizja to pierwszy krok do sukcesu.

A kto jest najgorszym ministrem tego rządu?

Konstanty Radziwiłł. Rozumiem, że z tak niskim budżetem, jakim w stosunku do swoich zadań dysponuje Ministerstwo Zdrowia, nie można wiele zdziałać. Jedynym pomysłem Radziwiłła jest tworzenie nowych struktur. A przecież od samego mieszania herbata się słodsza nie robi. Minister nie zdefiniował odpowiednio prawdziwego problemu służby zdrowia, jakim jest niedobór specjalistów.

Sztandarowym projektem PiS jest program „500+". Z jednej strony dzietność już wzrosła (nie ma jednoznacznych dowodów, że to dzięki programowi, ale innych czynników nie było), z drugiej zaś strony kobiety uciekają z rynku pracy...

Minister Elżbieta Rafalska jest bardzo pracowitym i skutecznym urzędnikiem. „500+" to program przewrotny, bo w praktyce oznacza zwrot pieniędzy oddanych wcześniej państwu w formie podatków. Te pieniądze, wydane przez beneficjentów programu, wracają tym samym na rynek. Wzrasta konsumpcja. Jeżeli kobieta ma troje dzieci i pracowała na kasie w hipermarkecie za marne grosze, to zarówno dla niej, jak i dla społeczeństwa lepiej będzie, jeśli skupi się na wychowaniu dzieci. Jest jeszcze jeden pozytywny efekt programu „500+": oznacza on odwrót od liberalnej, szkodliwej społecznie ideologii, zgodnie z którą lepiej jest być singlem i hołdować własnym przyjemnościom, niż rodzić dzieci. Generalnie jednak „500+" to tylko proteza. Żeby zwiększenie dzietności powodowało rozwój gospodarczy, potrzeba jeszcze obniżenia podatków, a tego jak do tej pory PiS nie zrobił. To akurat jednak nie dziwi, bo partia Kaczyńskiego kontynuuje socjalistyczne tradycje PPS. Nie ma powodu, by spodziewać się po nich wolnorynkowości.

Jaki największy błąd, pańskim zdaniem, popełnił PiS?

Na skutek narracji narzuconej przez przeciwników PiS nie potrafi zaprzestać wojny plemiennej. Ciągle powtarza: „Wyście uprawiali propagandę, to my też nie mamy innego wyboru". To powoduje, że społeczeństwo, zamiast się rozwijać, traci swoje siły witalne na niepotrzebne konflikty. Nie wiem, jak wyzwolić się z nelsona, który na szyję obozu Zjednoczonej Prawicy zakłada opozycja totalna, ale nie można wciąż trwać w tej propagandowej młócce, w tym intelektualnym bełkocie. Za poprzedniej władzy widziałem, jak dziennikarz telewizji publicznej po programie podchodzi do polityka i pyta, czy jest zadowolony z rozmowy. Teraz dzieją się podobne rzeczy. Podobnie, a nawet gorzej, sytuacja w mediach wygląda na Zachodzie, gdzie też władza trzyma media krótko. Niestety, każdej władzy trudno zrezygnować z tego wygodnego narzędzia propagandy, jakim są media publiczne. Poza tym PiS otwiera zbyt wiele frontów politycznej walki.

A nie ma pan wrażenia, że PiS postępuje czasem chaotycznie, reaguje na kryzys, zamiast tworzyć przemyślane rozwiązania z wyprzedzeniem? Tak było m.in. w przypadku awantury o prawo aborcyjne.

Ten chaos to tylko dowód na to, że jednak prezes nie jest wszechmocny. Nie daje rady wszystkiego ogarnąć. Zresztą w każdej partii zdarzają się idioci.

Niedyplomatyczne wypowiedzi szefa dyplomacji też chyba nie służą „dobrej zmianie"?

Tutaj akurat nie byłbym tak surowy. Patrząc na zachowania choćby Jeana-Claude'a Junckera, nie ma co się wstydzić ogłady Waszczykowskiego. To jednak nie usprawiedliwia jego wpadek. Nawet jeśli miał rację, mówiąc, że w pewnym sensie wybór Tuska został sfałszowany, to jako szef dyplomacji nie powinien tego głośno mówić.

A jak ocenia pan Antoniego Macierewicza? Ministrem został wbrew kampanijnym obietnicom, a teraz sprawia wiele kłopotów wizerunkowych, w pewnym sensie jest więc „grzechem pierworodnym" „dobrej zmiany".

Mam nieodparte wrażenie, że większość tych, którzy alergicznie reagują na Macierewicza, rezonuje propagandę rosyjskiej agentury wpływu. Robienie z niego wariata to zresztą typowy zabieg propagandowy. Macierewicz jest jednym z najlepszych w wolnej Polsce ministrów obrony narodowej. Na tym stanowisku potrzebny jest człowiek o silnej osobowości, a nie ktoś taki jak minister Klich, który dawał Tuskowi sobą pomiatać. Wreszcie polska armia zaczyna być poważnie traktowana. Podziwiam odporność, niezłomność i siłę Antoniego Macierewicza, daj nam, Boże, więcej takich polityków.

A może powinien czasem więcej robić, niż mówić? Zapowiadał wyjaśnienie przyczyn katastrofy smoleńskiej i jak na razie rewelacji brak.

Ze Smoleńskiem jest jak z Katyniem: Rosjanie nigdy nie przyznają się do tego, co zrobili. Poza tym istnieje cyniczna międzynarodowa zmowa milczenia na ten temat. Macierewicz podjął się koszmarnie trudnej misji, której powodzenie nie zależy od niego.

Miała być „dobra zmiana", tymczasem nie tylko z lewicy słychać głosy, że to jednak „dobra, zmiana". PiS obsadza spółki Skarbu Państwa swoimi ludźmi, nowa prezes Trybunału Konstytucyjnego do pracy w Warszawie dojeżdża z Berlina, a premier używa służbowych środków transportu w prywatnych sprawach. Wisienką na torcie, personifikacją arogancji władzy, którą PiS przecież tak zarzucał Platformie, jest Bartłomiej Misiewicz.

Gdyby nie było Misiewicza, opozycja znalazłaby sobie inną ofiarę. Spotykając w studiach telewizyjnych polityków Prawa i Sprawiedliwości, nie widzę w nich arogancji, tylko pewność siebie, i to raczej nienaturalną, bo wymuszoną, wystudiowaną pod czujnym okiem PR-owców. Wyczuwalny jest u nich strach, obawa, że nie wystarczy kadencji na realizację programu reformowania Polski. Ministrowie w rządzie PiS zachowują się wręcz jak zaszczute zwierzęta.

Zaszczute zwierzęta bywają agresywne. To też dużo tłumaczy.

Oni się cieszą, że w ogóle ze strony mediów publicznych nie spotyka ich agresja. Wciąż jeszcze cierpią na kompleks „niechcianego dziecka". Czują się jak „brzydkie kaczątka" i potrzebują za wszelką cenę potwierdzenia własnej wartości. Pod względem psychologicznym formą takiego wołania o akceptację ze strony wyborców jest program „500+". To zaszczucie przybiera absurdalne wręcz formy. Denerwuje mnie, kiedy Andrzej Duda, przyjmując gości w Pałacu Prezydenckim, po kilka razy dziękuje im za przybycie. A to przecież głowa państwa, to gość powinien być zaszczycony jego zaproszeniem, a nie odwrotnie! Niestety, tak wyglądają owoce pedagogiki wstydu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a156d6168f

„Służyć Chrystusowi obecnemu w braciach potrzebujących"

z orędzia Ojca Świętego Franciszka na Wielki Post 2017

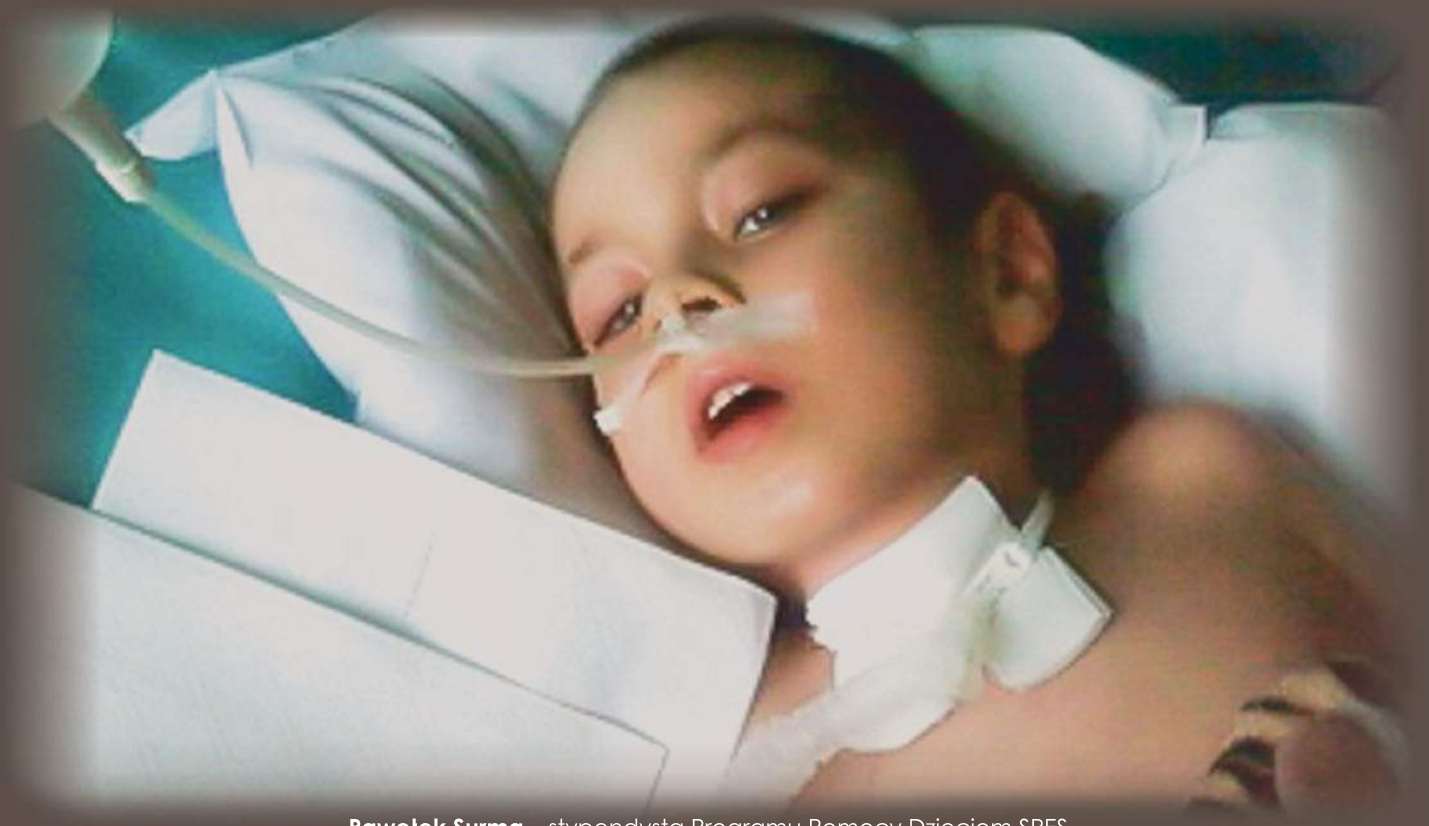

Pawełek Surma – stypendysta Programu Pomocy Dzieciom SPES,
na zdjęciu tuż po wypadku, który na całe życie pozbawił go sprawności fizycznej

Prosimy o Twoją pomoc

1% podatku: KRS 00000 14574
darowizna: 80 1240 2959 1111 0010 2904 3289

Prosimy Cię o wsparcie rodzin opiekujących się dziećmi w ciężkim stanie klinicznym. Podtrzymywanie funkcji życiowych respiratorem, karmienie dojelitowe, rehabilitacja… koszty domowej opieki są ogromne. Docieramy z pomocą do rodzin z całej Polski, znajdujących się w najtrudniejszej sytuacji. Finansujemy stypendia, zakup sprzętu rehabilitacyjnego, podnoszenie kwalifikacji zawodowych żywicieli rodzin, nawet zakup mieszkań dla pozbawionych własnego dachu nad głową! Twoje wsparcie pomoże trwale zmieniać rzeczywistość! Prosimy Cię o darowiznę oraz Twój 1% podatku – liczy się każda kwota. Bóg zapłać!

STOWARZYSZENIE NA RZECZ NIEPEŁNOSPRAWNYCH SPES

patronat medialny TYGODNIK UNIWERSALNY DO RZECZY

Stowarzyszenie SPES – Organizacja Katolicka – Dajemy świadectwo od roku 1986
www.dla-dzieci.spes.org.pl

Wspierają nas: Fundacja Nasza Szkoła, IPS Przedsiębiorstwo Informatyczne, Gość Niedzielny, Przewodnik Katolicki, DEON.PL, Misjonarze Oblaci MN Katowice, Prowincja Wniebowzięcia NMP Zakonu Braci Mniejszych w Polsce, Katowice dla dzieci

eprasa.pl a156d6168f

Gruzińska rzeź Polaków

Piotr Zychowicz

Bestialskie tortury, egzekucje, deportacje do łagrów. W trakcie wielkiego terroru na Polaków żyjących w Gruzji spadły krwawe sowieckie represje

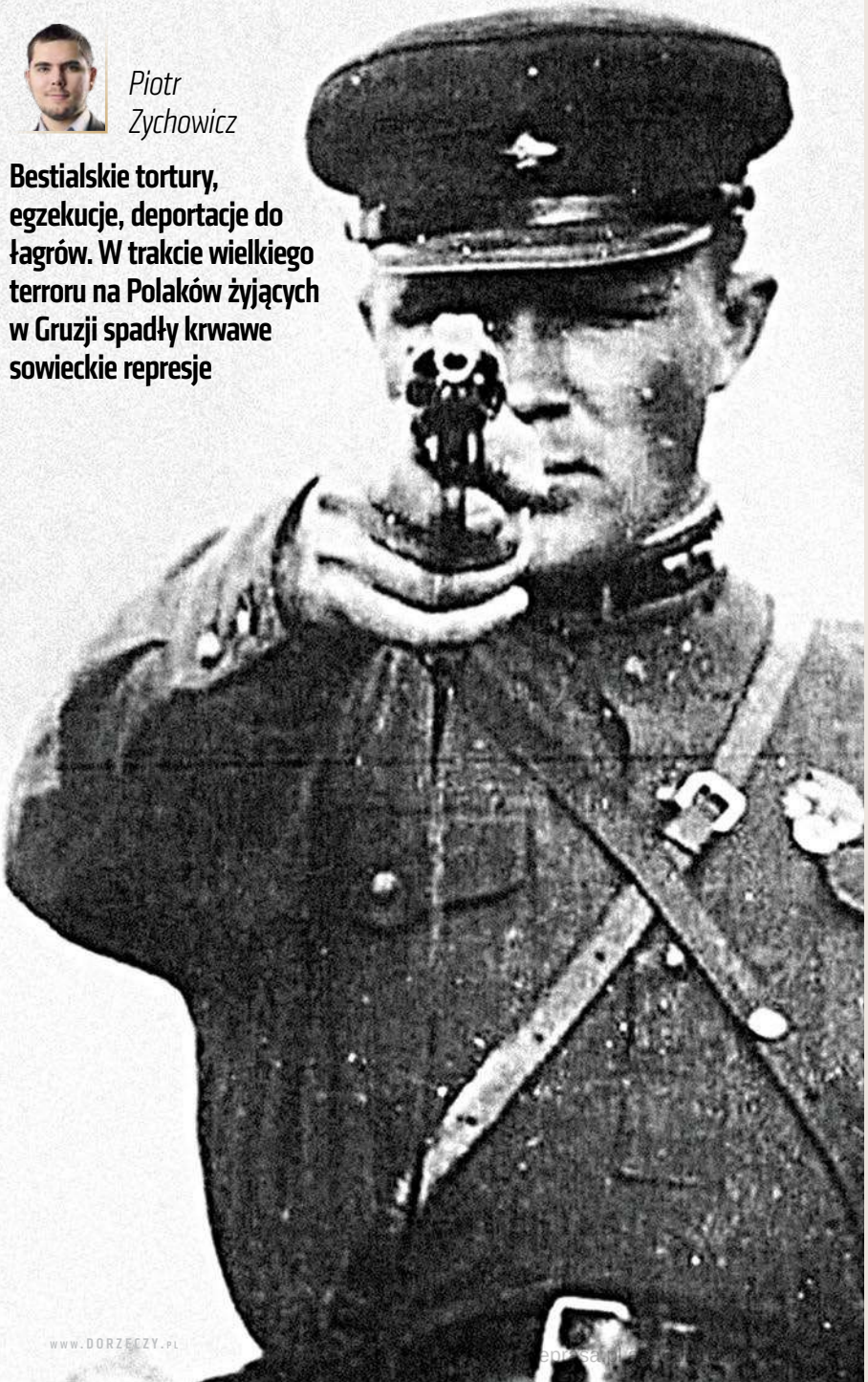

Józef Papis pracował jako szofer w państwowym kartelu Tbiltrikotaż w Tbilisi. Był powszechnie lubiany, koledzy z pracy nazywali go pieszczotliwie Józik. Do partii nie należał, polityką się nie interesował. Podobnie jak dziesiątki milionów innych ludzi, którym przyszło żyć w „raju robotników i chłopów", starał się jakoś przetrwać w ponurej sowieckiej rzeczywistości. W kraju powszechnego donosicielstwa, strachu i terroru. Niestety, sztuka ta mu się nie udała.

Latem 1937 r. w środku nocy do jego drzwi zapukali funkcjonariusze NKWD. Został aresztowany i poddany śledztwu. Gdy od oficera NKWD usłyszał, o co jest oskarżony, nie mógł uwierzyć własnym uszom. Otóż Józef Papis – zwykły kierowca z małej, peryferyjnej Gruzji – jako członek „kontrrewolucyjnej terrorystycznej, szkodniczo-dywersyjnej organizacji" miał planować zamordowanie towarzysza Woroszyłowa, towarzysza Berii i samego ojca narodów – Józefa Stalina.

Cóż za potworny, zbrodniczy plan! Cóż za straszny człowiek! Na nic zdały się wyjaśnienia, zaprzeczenia, zapewnienia o niewinności. Jeszcze w dodatku kłamie! Nie chce się ukorzyć przed władzą sowiecką! Nie chce się przyznać do winy! Trudno więc się dziwić, że członkowie Trójki NKWD Gruzińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej podjęli jedyną możliwą w takiej sytuacji decyzję. Kontrrewolucjonista Józef Papis 15 sierpnia 1937 r. został skazany na śmierć.

Oczywiście Papis nigdy nie planował zamachu na Józefa Stalina. A kontrrewolucyjno-terrorystyczna organizacja, do której miał należeć, nigdy nie istniała. Wszystko to było wytworem wyobraźni czekistów. Jedyną prawdziwą rzeczą w sprawie Józefa Papisa była jego śmierć. Dlaczego więc bolszewicy go zabili? Dlatego, że był Polakiem. Protokół z posiedzenia Trójki, która skazała go na śmierć, został opublikowany w wydanym przez IPN zbiorze dokumentów „Wielki terror w sowieckiej Gruzji 1937–1938. Represje wobec Polaków". Książka ta jest wynikiem współpracy Instytutu Pamięci Narodowej i Archiwum MSW w Tbilisi. Polscy i gruzińscy badacze przedstawili w nim 147 wstrząsających dokumentów dotyczących gehenny naszych rodaków na terenie kaukaskiej republiki.

SZPIEDZY II RP

Kiedy Józef Stalin i Nikołaj Jeżow w 1937 r. rozpętali ludobójczą operację polską NKWD, gorączkowe polowanie na

Polaków rozpoczęło się na terenie całego Związku Sowieckiego. Nie tylko na Białorusi i Ukrainie, które niegdyś wchodziły w skład I Rzeczypospolitej, lecz także w Moskwie, Leningradzie, Kazachstanie, na Syberii czy Kaukazie. Wszędzie tam, gdzie mieszkali Polacy. Antypolski amok nie ominął Gruzji, w której w latach 30. mieszkało ok. 3 tys. naszych rodaków.

Autorom książki udało się odnaleźć akta 214 polskich ofiar. Co ciekawe, zaledwie 89 z nich było represjonowanych w ramach operacji polskiej. Resztę NKWD aresztowało w ramach prowadzonej równolegle operacji kułackiej (122 osoby) i innych akcji narodowościowych (trzy osoby). Nie jest to ostateczna liczba ofiar antypolskiej czystki na terenie kaukaskiej republiki. Jak ustalił dr Tomasz Sommer, polskich ofiar było tam znacznie więcej.

Większość Polaków z Gruzji, wciągniętych w tryby wielkiego terroru, została uśmiercona strzałem w potylicę. Resztę wysłano do łagrów, a więc straszliwych obozów koncentracyjnych, z których na ogół nie było powrotu. Kiedy przegląda się protokoły Trójek, które skazywały tych ludzi, przede wszystkim uderza absurdalność wysuwanych wobec nich oskarżeń.

Głównym zarzutem była oczywiście działalność szpiegowska na rzecz II RP. Jeżeliby wierzyć dokumentom NKWD, to polski wywiad był wszechpotężną instytucją, jakąś supersłużbą, która oplotła swoimi mackami całą Gruzję. Zinfiltrowała i dezorganizowała wszystkie instytucje republiki. Polscy szpiedzy i sabotażyści mieli być wszędzie. Na przykład w Samochodowym Zakładzie Remontowym, gdzie Polak – Dymitr Głowa – na polecenie „wrogich służb" miał wykraść teczkę z instrukcjami mobilizacyjnymi.

Jeszcze bardziej irracjonalne zarzuty postawiono Józefowi Korolczykowi, polskiemu pracownikowi rozlewni słynnej wody Borjomi. Otóż miał on systematycznie psuć filtry i produkować wodę złej jakości. W sumie wyprodukował 400 tys. butelek wadliwej wody, które następnie zostały wycofane ze sprzedaży i przyniosły rozlewni poważne straty finansowe. Jaka mogła być kara za takie wredne szkodnictwo? Oczywiście rozstrzelanie.

Z kolei Piotr Peszek w swoim zakładzie pracy miał prowadzić antysowiecki sabotaż, szkodząc produkcji i źle wykonując remonty agregatów. Stanisław Kozłowski, z zawodu dmuchacz szkła, miał wrzucać do pieca wannowo-zmianowego odłamki żelaza i niszczyć narzędzia pracy.

Jeszcze bardziej ambitne zadanie wyznaczył sobie Anatol Minicz. Ten urzędnik kołchozowy zamierzał „obalić władzę sowiecką i restaurować kapitalizm drogą stosowania terroru wobec przywódców partii i rządu sowieckiego". Znacznie skromniejsze zarzuty postawiono tokarzowi Fiedorowi Lipińskiemu. On z kolei – na polecenie obcych służb wywiadowczych – miał puścić z dymem tartak. Pracownik fabryki marmolady Ignacy Samojedny dosypywał do słoików rozbite szkło i piasek.

Wśród Polaków oskarżonych o sabotaż znalazł się również członek sowieckiej kadry kierowniczej. Był nim naczelnik tbiliskiego pasażerskiego dworca autobusowego – Ignacy Rossik. Tutaj oficerowie śledczy nie popisali się specjalną finezją (może nie mieli czasu na wymyślanie zbyt skomplikowanej historii?) i oskarżyli go po prostu o „działania szkodnicze zmierzające do zniszczenia transportu samochodowego gruzińskiego Awtotriestu". To wystarczyło, aby zgładzić człowieka.

Cytować można by tak jeszcze długo. Oczywiście żaden z polskich szpiegów i sabotażystów nie był ani szpiegiem, ani

REKLAMA

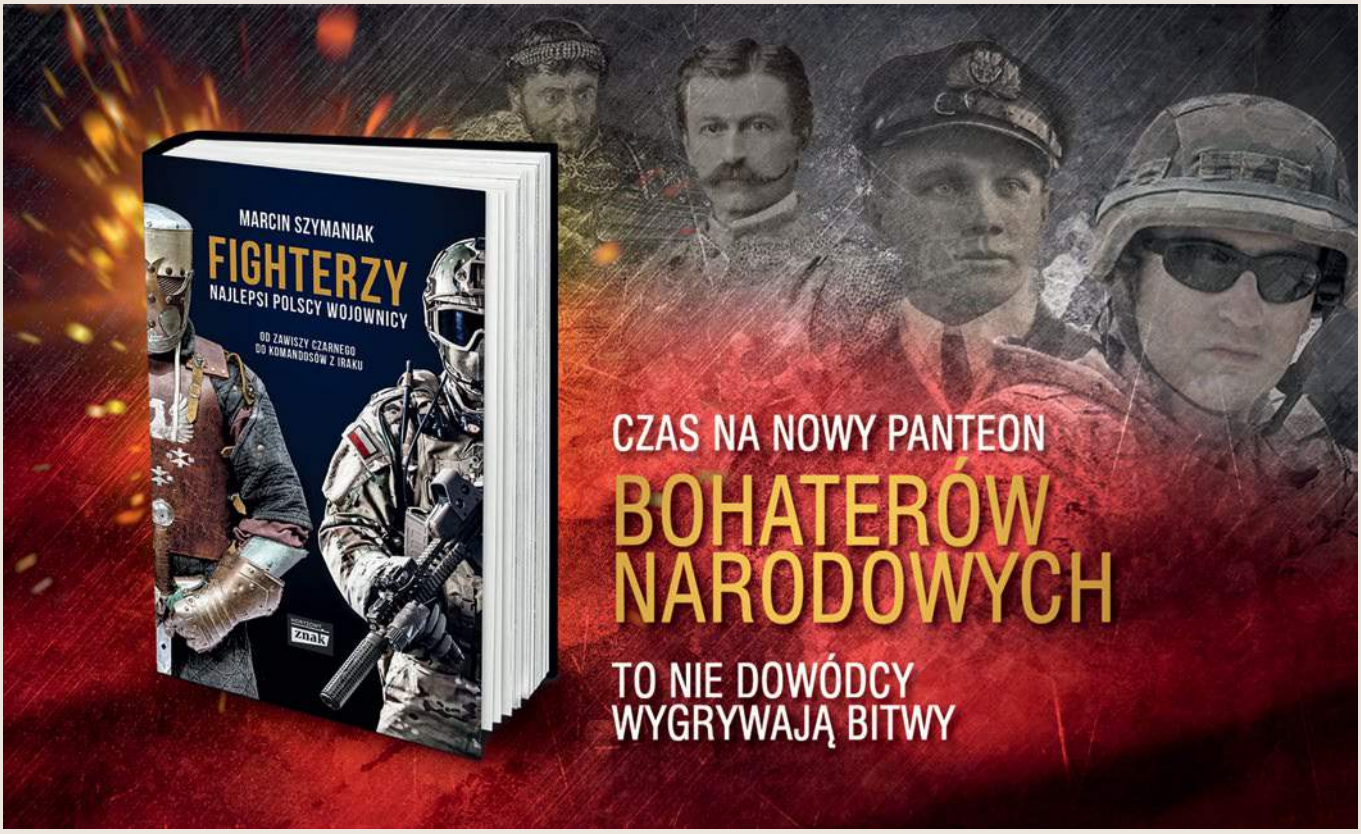

eprasa.pl a156d6168f

sabotażystą. Nie oznacza to jednak, że fabryka wody Borjomi nie wypuszczała na rynek wadliwego napoju, gruzińska huta szkła nie produkowała fatalnych produktów, a wytwórnia marmolady – paskudnych dżemów. Wszystko to zapewne było prawdą. Tak jak to, że sowieckie silniki nie nadawały się do użytku, a budowa portów natrafiała na ustawiczne trudności.

Tyle że Polacy nie mieli z tym wszystkim nic wspólnego. Było to skutkiem absurdalnej, niewydolnej gospodarki centralnie planowanej. Obłędnego socjalistycznego systemu, w którym nic nie funkcjonowało prawidłowo. Dla bolszewików stwierdzenie tego oczywistego faktu było jednak najgorszą „myślozbrodnią". Znacznie łatwiejsze było zrzucenie winy na szkodników, szpiegów i sabotażystów. Między innymi „perfidnych Polaków".

KARA ŚMIERCI ZA DOWCIPY

Spora część Polaków zamordowanych w Gruzji została skazana za „antysowiecką agitację". Czyli krytyczne uwagi na temat władzy i systemu komunistycznego. Czasami miało to wymiar surrealistyczny, tak jak w przypadku stolarza Bronisława Kirkli. Polak ten został aresztowany przez NKWD za to, że... rozsiewał plotki o niesprawiedliwych aresztowaniach dokonywanych przez NKWD. Inny stolarz, Józef Szpakow, podczas rozmowy w hotelu robotniczym miał dyskredytować kołchozy i gloryfikować gen. Franco.

Michał Karalczuk miał „lżyć władzę sowiecką", twierdząc, że bolszewicy „prowadzą ludzi do zagłodzenia".

Ignacy Polański miał rozpowszechniać antysowieckie, faszystowskie nastroje wśród swoich bliskich znajomych.

Stanisław Łuczyński krytykował kolektywizację i przeklinał partię oraz rząd, „używając wulgarnych słów".

Stefan Pietrzakowski opowiadał złośliwe anegdoty o budownictwie kołchozowym.

Hipolit Żmigrodzki zrobił prowokatorski napis w fabryce silników Diesla, w której pracował jako palacz.

Iwan Pietrzak ośmielił się zaś powiedzieć głośno, że w Związku Sowieckim „jakoby nie ma chleba".

Iwan Sadowski – o zgrozo! – wychwalał życie w faszystowskiej Polsce.

Sam pomysł, żeby za podobne „przestępstwa" mordować ludzi, pokazuje, jak przerażającym tworem był Związek Sowiecki. Wydaje się jednak bardzo mało prawdopodobne, żeby Polacy rzeczywiście wypowiadali podobne opinie. Ludzie sowieccy, żyjący w warunkach totalnego terroru i powszechnego donosicielstwa, nauczyli się głęboko skrywać swoje poglądy i nie mówić głośno tego, co myślą. Najprawdopodobniej więc w większości przypadków owe „antysowieckie wypowiedzi" również były wymyślane przez czekistów.

Innym niedorzecznym oskarżeniem wysuwanym przeciwko Polakom były związki z wewnątrzpartyjną opozycją. I tak w październiku 1937 r. gruzińskie NKWD zdemaskowało groźną organizację trockistowską złożoną z trzech Polek: gospodyni domowej Ewy Szot i jej dwóch córek – kasjerski Heleny Szot i pracownicy sowchozu Aleksandry Szot. Dwie panie zostały posłane do łagrów, a jedna stracona.

Do prawdziwych osobliwości należy również przypadek zdemaskowania przez NKWD polskiego technika budowlanego Borysa Kwicyńskiego. Otóż okazał się on byłym carskim generałem! Warto dodać, że Kwicyński w momencie upadku caratu miał niewiele ponad 30 lat. Ważnym białogwardzistą z armii gen. Denikina okazał się również kasjer ogrodu botanicznego w Tbilisi Władysław Markowski.

Kolejną „zbrodnią", jakiej dopuszczali się Polacy, były kontakty z II RP. Wizyty w polskim konsulacie lub pisanie listów do krewnych żyjących w Polsce. Dla NKWD wszystko to było niezbitym dowodem na powiązania z polskim wywiadem. Za pisanie listów za granicę zamordowane zostały m.in. panie Maria Mielczarska i Stefania Fontan. Ta ostatnia pisała jednak nie do Polski, lecz do... Iranu, gdzie mieszkał jej pierwszy mąż – z pochodzenia Włoch. Zapewne również polski szpieg.

„Zbrodnie" te były jednak niczym w porównaniu z występkiem pracownika sanatorium Stanisława Czernobajewa. Ten „wróg ludu" posunął się do tego, że próbował załatwić sobie wyjazd ze Związku Sowieckiego! Czyż może być poważniejsze przestępstwo niż chęć ucieczki z raju? Aby pokazać mu uroki ojczyzny światowego proletariatu, Trójka NKWD postanowiła wysłać go na „wycieczkę". Trafił do straszliwego łagru za kołem podbiegunowym. W obozie koncentracyjnym została zamknięta również Rosalia Bojnowska, która „mieszkając w mieście Moskwie, żarliwie odwiedzała polski kościół".

ZBRODNIA ZAPOMNIANA

Za każdą z opisanych wyżej historii stoi wielka ludzka tragedia. Cierpienie, śmierć, rozbita, zniszczona rodzina. Z suchych protokołów Trójek NKWD nie dowiadujemy się tego, co się działo z każdym z tych ludzi. A wszyscy przeszeli przez piekło. Na początku było aresztowanie. Na ogół przed świtem, ok. godz. 4–5 rano, kiedy wyrwany ze snu człowiek jest najbardziej bezbronny i zdezorientowany.

A potem bicie. Ciężkie, bestialskie, zwierzęce. Ciągnące się bezustannie nocne przesłuchania, w których oskarżeni byli lżeni i upokarzani przez oficerów śledczych. Kopanie, tłuczenie kolbą naganta, przypalanie papierosami, sadzanie na odwróconym stołku, miażdżenie jąder w szufladzie biurka, łamanie palców, obijanie nerek, wybijanie oczu. Konwejer. Wszystko po to, aby zamienić człowieka w ludzki wrak, zmusić go do kapitulacji i przyznania się do winy.

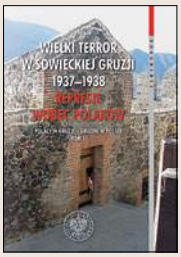

PRACA ZBIOROWA
„WIELKI TERROR W SOWIECKIEJ GRUZJI 1937–1938. REPRESJE WOBEC POLAKÓW"
IPN, WARSZAWA – TBILISI 2016

Zgodnie z sowieckim systemem karnym człowiekowi nie trzeba było bowiem niczego udowodnić. Do skazania go wystarczyło, aby przyznał się do popełnienia przestępstwa. Czekiści byli zaś najlepszymi specjalistami w tej dziennie. Po ich „obróbce" człowiek gotowy był podpisać wszystko. Po zakończeniu śledztwa wspomniana Trójka NKWD wydawała wyrok i mordęga oskarżonego kończyła się w masowej, bezimiennej mogile.

Dzięki dokumentom opublikowanym w książce „Wielki terror w sowieckiej Gruzji" możemy zobaczyć niewielki wycinek koszmarnego ludobójstwa, jakim była operacja polska NKWD. Masowa akcja eksterminacyjna, która w latach 1937–1938 pochłonęła życie 200 tys. naszych rodaków. Niestety, ta straszliwa zbrodnia została niemal całkowicie zapomniana, znalazła się poza pamięcią historyczną narodu polskiego.

W tym roku przypada 80. rocznica rozpoczęcia operacji polskiej NKWD. To najwyższa pora, aby państwo polskie podjęło działania zmierzające do godnego upamiętnienia Polaków zamordowanych w Związku Sowieckim. Książka wydana przez IPN jest krokiem w dobrym kierunku.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a156d6168f

Herosi Rzeczypospolitej

„Bitwa pod Somosierrą". Fragment panoramy Wojciecha Kossaka FOT. WIKIPEDIA

Marcin Szymaniak

Komandos z XVII w., Ślązak we własnym pojeździe pancernym, pływak dywersant na froncie II wojny światowej – w historii mieliśmy wielu niezwykłych wojowników, lecz o niewielu z nich pamiętamy

Mur runął na długości niemal 20 m, gdy 3 czerwca 1611 r. twierdzą smoleńską wstrząsnęła eksplozja. W kierunku wyrwy ruszyła z wrzaskiem polska piechota, wymachując szablami, berdyszami i czekanami. Do miasta wpadł jako jeden z pierwszych Bartłomiej Nowodworski, brodacz w czarnym odzieniu z krzyżem maltańskim na piersi. Wywijając rapierem, atakował jak szalony wycofujących się w panice rosyjskich obrońców.

Basowe dźwięki trąb i dudnienie bębnów obwieszczały zwycięstwo. Ze wzniesienia obok polskiego obozu rozpromieniony król Zygmunt III Waza obserwował zdobycie miasta. Kilka tygodni wcześniej stracił już wszelką nadzieję na sukces i chciał wycofać się spod Smoleńska. Powstrzymał go właśnie Nowodworski. „Proszę o ośmiodniową zwłokę i 100 cetnarów prochu" – błagał monarchę. Zygmunt zgodził się niechętnie, nie bardzo wierząc w powodzenie akcji.

Nowodworski był komandosem epoki szabel i muszkietów, specem od zdobywania fortec. Ze swym oddziałkiem podkradał się pod wrogie twierdze i zakładał miny lub tzw. petardy. Po eksplozji wdzierał się przez wyłom, by jak najszybciej sparaliżować zaskoczonych obrońców.

eprasa.pl a156d6168f

Walczył w wojnach religijnych we Francji, z Turkami na Morzu Śródziemnym, z Rosjanami w czasie polskich interwencji w początkach XVII w. Po zdobyciu potężnej rosyjskiej fortecy zachwycony Zygmunt III obsypał go zaszczytami.

W 1618 r. Nowodworski dotarł z wojskiem Rzeczypospolitej pod Moskwę, przepojony ambicją zdobycia rosyjskiej stolicy.

EAÓW

Komandos spod Smoleńska i Moskwy to jeden z najlepszych w naszej historii fighterów – mistrzów oręża. O większości z nich mało kto jednak dziś pamięta.

Żeby stać się superbohaterem, potrzebne były nie tylko szczególne umiejętności w posługiwaniu się bronią, lecz także predyspozycje psychiczne.

Psychologowie wojny dawno już spostrzegli, że żołnierze dzielą się na wiele typów w zależności od postawy na polu walki. Podczas II wojny światowej brytyjski szkoleniowiec mjr Lionel Wigram podzielił walczących na trzy kategorie: wilki, owce i zające. Zając chce przede wszystkim przetrwać i podczas bitwy robi wszystko, by jak najmniej się narażać. Owca też stroni od zagrożeń, ale dobry dowódca potrafi skłonić ją do skutecznej walki. Wilk z kolei walczy bez zachęt, nie boi się ryzyka, jego głównym celem jest wykonanie zadania. Według Wigrama do tej ostatniej kategorii zaliczało się ok. 25 proc. żołnierzy.

Od czasów II wojny badania tego typu się rozwinęły i dziś specjaliści prezentują o wiele bardziej skomplikowany obraz psychologii walczących. Nie zmieniło się jednak jedno: piramidę, którą jest cała armia, wieńczy szczyt składający się z ludzi szczególnie predysponowanych – psychicznie i fizycznie – do walki. Gdy wybucha wojna, duża część z nich szybko ginie; cechuje ich przecież skłonność do nadmiernego wystawiania się na ryzyko. Niektórzy mają jednak szczęście, dając popis odwagi i kunsztu we władaniu bronią. Ich postacie mogą przejść do legendy. O ile sławy nie sprzątną im sprzed nosa... dowódcy.

SZWOLEŻER I KOSYNIERKA

Jeśli słynna szarża w wąwozie Somosierra kojarzy się dziś jeszcze z jakimś nazwiskiem, to będzie to zapewne nazwisko dowódcy – Jana Leona Hipolita Kozietulskiego. 30 listopada 1808 r. na rozkaz Napoleona Kozietulski poprowadził szwadron szwoleżerów do ataku w krętym wąwozie, zablokowanym przez cztery baterie hiszpańskich armat. Jednak po kilkudziesięciu metrach jazdy koń dowódcy runął na ziemię trafiony kulą, zrzucając jeźdźca. Po otrząśnięciu się z szoku Kozietulski ruszył z powrotem w stronę pozycji francuskich. Nie wiedział nawet, że szwoleżerowie kontynuują straceńczy atak.

Edmund Orlik (z prawej) podczas II wojny światowej w małej tankietce niszczył większe i lepsze pojazdy najeźdźców FOT. OKRUCHYHISTORII.BLOGSPOT.COM

Jeśli więc kogokolwiek możemy nazwać „zdobywcą Somosierry", to był nim szwoleżer Andrzej Niegolewski. Podczas szalonej galopady przesadził trzy hiszpańskie baterie i gdy dotarł do czwartej, zorientował się, że jest już... sam jeden. Ogarnięty bitewnym szałem zaatakował ostatnią przeszkodę, wycinając szablą hiszpańskich kanonierów.

Życie Niegolewskiego mogłoby posłużyć za kanwę pasjonującego dramatu historycznego. Bohaterski udział w epopei napoleońskiej, pobyt w budzącym grozę szpitalu-rzeźni dr. Larreya, zawiedziona miłość, rozpaczliwa walka o uznanie zasług z Somosierry.

Równie dramatyczne, może nawet bardziej, były losy Marii Piotrowicz, uczestniczki powstania styczniowego 1863 r. W jej czasach udział kobiet w walce zbrojnej był czymś niezwykłym. Jeden ze służących we dworze rodziców Marii nauczył ją strzelania z pistoletu i walki szablą oraz kosą. Piotrowicz okazała się niezwykle uzdolniona i gdy wybuchło powstanie, ruszyła do leśnego oddziału. W bitwie pod Dobrą odznaczyła się jak żaden z mężczyzn. Podczas gdy wielu powstańców uciekło z pola walki, nie wytrzymując huraganowego ognia Rosjan, Maria wytrwała na pozycji, walcząc kosą i rewolwerem z ogromną zaciekłością. Tragiczne dzieje wojowniczki, o której dziś głucho, wywoływały w okresie powstania ogromne emocje. Z jej powodu podziemne władze powstańcze zostały nawet zmuszone do wydania specjalnego zarządzenia o zasadach udziału kobiet w walkach zbrojnych.

ASY BRONI PANCERNEJ

Niegolewskiemu i Piotrowicz nie udało się osiągnąć celu, o który walczyli – niepodległości Rzeczypospolitej. Więcej szczęścia miał żyjący w pierwszej połowie XX w., pochodzący ze Śląska Robert Oszek. Marynarz, który zdobywał pierwsze szlify we flocie cesarskich Niemiec, w 1920 r. zabłysnął podczas wojny polsko-bolszewickiej. Uczestniczył w podchodach i zażartych bojach kanonierek na wielkich rzekach Ukrainy. Potem wziął udział w trzecim powstaniu śląskim – w skonstruowanym przez siebie pojeździe pancernym. Monstrualny wehikuł z wymalowanymi po bokach korsarskimi emblematami budził postrach wśród niemieckich oddziałów. Pojawiał się w miejscach najgorętszych walk, miotając granaty i ziejąc ogniem z pięciu ciężkich karabinów maszynowych.

We wrześniu 1939 r. w historii oręża zapisał się inny pancerniak. Edmund Orlik, walczący w niewielkiej tankietce, dzięki taktyce potrafił niszczyć o wiele większe i lepiej uzbrojone pojazdy wroga. Kampanię zaczął w Wielkopolsce, potem cofał się wraz z armią w stronę Warszawy, staczając bezustanne walki z hitlerowskimi czołgami i wozami pancernymi. Został

eprasa.pl a156d6168f

polskim asem pancernym numer jeden, nawet o tym nie wiedząc.

Orlika zna tymczasem tylko wąskie grono fascynatów broni pancernej. Chociaż ostatnio dowiadują się o nim coraz częściej nawet obcokrajowcy – jego postać znalazła się w bardzo popularnej grze internetowej „World of Tanks". Za zniszczenie wirtualną tankietką trzech większych maszyn wroga dostaje się w niej Medal Orlika. Polski pancerniak numer jeden dokonał tego w prawdziwym boju pod Pociechą, stoczonym 18 września 1939 r.

NASZY DYWERANT?

Czasami na wojnie przydawały się nietypowe, specyficzne uzdolnienia. W latach 30. XX w. Jerzy Iwanow-Szajnowicz, Polak mieszkający z rodziną w Grecji, robił międzynarodową sportową karierę pływacką. Po zajęciu kraju przez wojska niemieckie i włoskie dołączył do ruchu oporu. Wykorzystywał swój talent, podpływając do wrogich okrętów i mocując miny do ich kadłubów. Podczas morderczych wielogodzinnych akcji pokonywał często w wodzie wielkie odległości. Zatopił w ten sposób lub uszkodził kilka jednostek handlowych i prawdopodobnie jednego U-Boota. Wciąż tropiony przez gestapo i kolaborancką policję grecką bezustannie wymykał się pościgowi, zadając jednocześnie wrogowi nowe ciosy. Jego pomysłowość w tej dziedzinie nie miała granic. Greccy historycy określają często Iwanowa-Szajnowicza mianem najlepszego dywersanta całej II wojny światowej. Może trochę na wyrost, niemniej straty, jakie zadał Niemcom, są naprawdę imponujące.

ZAPŁATA DLA HEROSA

W okresie swej potęgi Polska sowicie nagradzała swoich najlepszych wojów. Między innymi dzięki hojności króla Jagiełły Zawisza Czarny z drobnego rycerzyka wyrósł na prawdziwego możnowładcę, właściciela murowanego zamku i 20 wsi. Herosi, tacy jak Zawisza, Jakub z Kobylan i Bartłomiej Nowodworski, brylowali na królewskich dworach, otrzymując za swe zasługi kolejne nadania ziemskie, pieniądze i drogocenne dary. Jakub z Kobylan romansował nawet na wawelskim dworze z żoną króla – Anną Cylejską. Jagiełło potraktował go wyjątkowo łagodnie jak na owe czasy i nie posłał pod katowski topór. Bardziej zależało monarsze na zachowaniu w armii znakomitego wojownika niż na jego własnym męskim i królewskim honorze!

W miarę nasilania się kryzysu państwa władcy stawali się coraz mniej skorzy do hojnych dowodów wdzięczności. Za przedarcie się z oblężonego Zbaraża w 1649 r. Mikołaj Skrzetuski (ten prawdziwy, nie Sienkiewiczowski) dostał 100 dukatów, konia i obietnicę otrzymania w zarząd niewielkiej królewskiej posiadłości. Z tego ostatniego nic jednak nie wyszło. Skrzetuski często nie mógł się doczekać nawet należnego żołdu, w związku z czym chętnie rabował mieszczan i chłopów.

A gdy pod koniec XVIII w. Rzeczpospolita upadła pod ciosami zaborców, sytuacja uległa pogorszeniu. Jeden z pierwszych kawalerów Virtuti Militari Józef Sułkowski, zwany „polskim Leonidasem", pod rządami targowicy musiał ukrywać swe imponujące zasługi z czasu wojny o utrzymanie konstytucji trzeciomajowej. Nie zniósł tego i uciekł do Francji, zaciągając się pod trójkolorowe sztandary. W czasie walk pod Mantuą zachwycił się nim sam Napoleon Bonaparte. Wódz obserwował przez lunetę, jak Sułkowski prowadzi atak na baterię austriacką, która wydawała się nie do zdobycia, jak wskakuje z szablą na okop i ściera się z gromadą wrogów, kładąc trupem jednego po drugim. Polak dostąpił najwyższego uznania, otrzymując nominację na osobistego adiutanta Napoleona. Potem jeszcze nieraz dawał popisy militarnego kunsztu u jego boku.

Skrzetuski, Kmicic, Wołodyjowski – wszyscy bohaterowie dzieł Sienkiewicza mieli swoje pierwowzory wśród autentycznych postaci historycznych, bardzo się różniących od postaci wykreowanych przez pisarza. Dzieje tych prawdziwych ludzi wcale nie są mniej ciekawe od powieściowej fikcji. Dla tych, którzy szczególnie cenią sobie historyczny autentyzm, mogą być nawet atrakcyjniejsze. Podobnie jest również z innymi polskimi superbohaterami z krwi i kości. Ich dramatyczne losy – pełne niesamowitych wojennych przygód, błyskotliwych zwycięstw i porażających klęsk, zażartych rywalizacji i zdrad, romansów i miłości spełnionych oraz niespełnionych – żadnego miłośnika polskiej historii nie powinny pozostawić obojętnym.

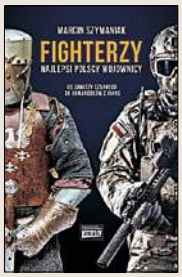

MARCIN SZYMANIAK
„FIGHTERZY. NAJLEPSI POLSCY WOJOWNICY"
ZNAK 2017

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 9 kwietnia 2017 r.

1.

~~39,90 zł~~ 29,90 zł

2.

~~49,00 zł~~ 32,50 zł

3.

~~39,90 zł~~ 31,90 zł

4.

~~59,00 zł~~ 39,50 zł

5.

~~39,90 zł~~ 26,50 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl a156d6168f

Już 10 kwietnia w **DO RZECZY** dodatek

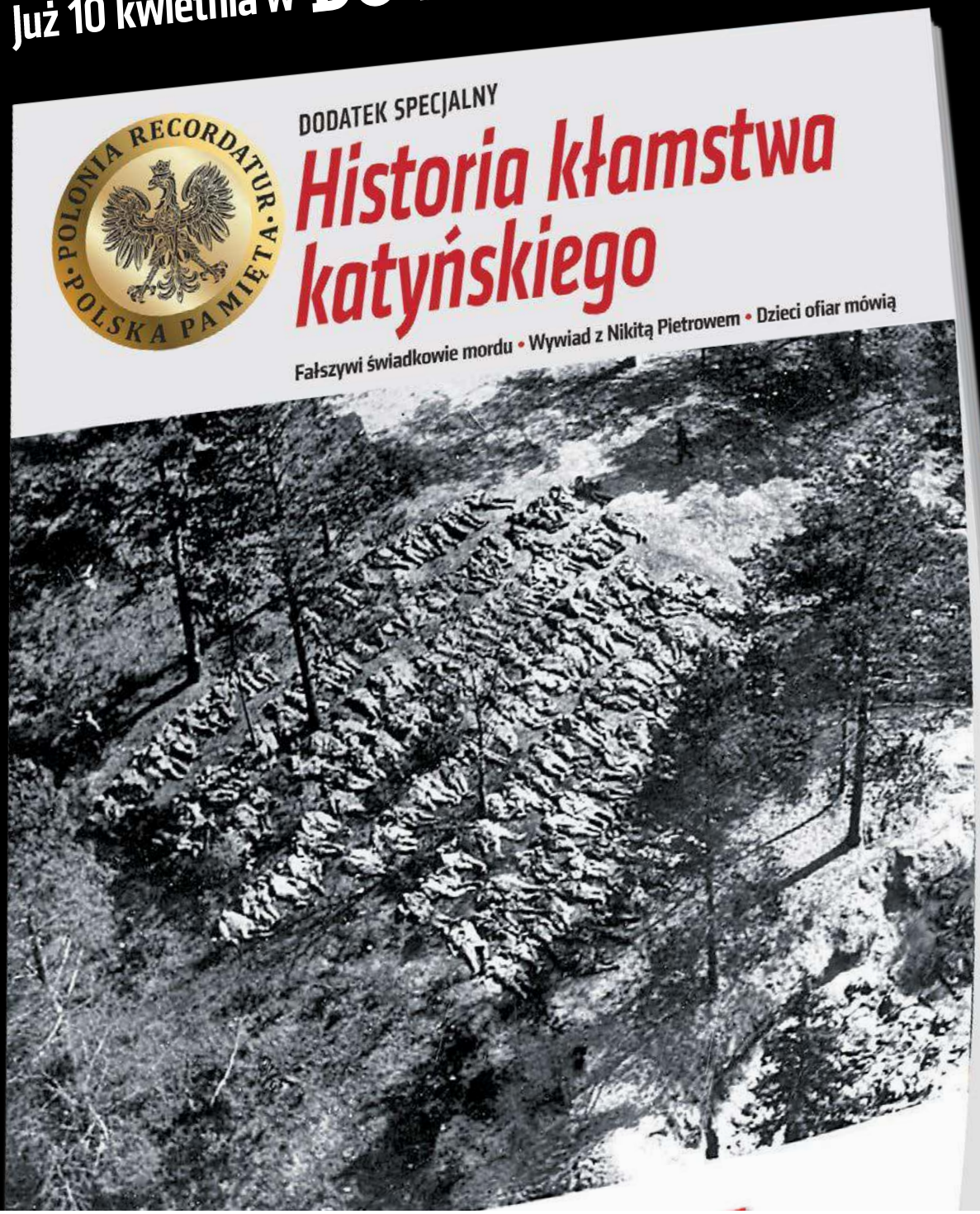

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

REDUTA PWPW
FUNDACJA NA RZECZ OBRONY PAMIĘCI HISTORII POLSKI

eprasa.pl a156d6168f

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA
PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

Nasz Narodowy Wytwórca

pamiętamy

7. rocznica tragedii smoleńskiej

10 kwietnia 2010 r.

„Pamięci 96 Polaków,
na czele z Prezydentem RP Lechem Kaczyńskim,
którzy 10 kwietnia 2010 r. zginęli
w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem
w drodze na uroczystości upamiętnienia
70. rocznicy sowieckiej zbrodni ludobójstwa
w lesie katyńskim, dokonanej na jeńcach wojennych –
oficerach Wojska Polskiego w 1940 r."

(treść inskrypcji na usuniętej przez Rosjan granitowej tablicy, umieszczonej przez Stowarzyszenie Rodzin Katyń 2010 w miejscu katastrofy)

Źródło: commons.wikimedia.org, https://creativecommons.org/licenses/by-sa/2.5/deed.pl

Katastrofa smoleńska była największą tragedią w historii Polski po II wojnie światowej. W jednej chwili zginęli Prezydent RP z małżonką, ostatni Prezydent RP na uchodźstwie, parlamentarzyści, dowódcy poszczególnych rodzajów sił zbrojnych RP, wysocy urzędnicy państwowi, przedstawiciele elit politycznych, społecznych i intelektualnych. Skala i charakter tragedii sprawiły, że data 10 kwietnia 2010 r. na zawsze wpisała się na listę najważniejszych wydarzeń w dziejach Polski.

REDUTA PWPW
FUNDACJA NA RZECZ
OBRONY PAMIĘCI
HISTORII POLSKI

eprasa.pl a156d6168f

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Studnicki u Andersa

Konrad Studnicki-Gizbert jest synem Władysława Studnickiego. Jednego z ojców polskiej niepodległości, czołowego germanofila II RP. Człowieka, którego uczniami byli tacy znakomici konserwatywni publicyści jak Stanisław Cat-Mackiewicz czy Adolf Bocheński. Władysław Studnicki jest również moim mistrzem ideowym. Mam nadzieję, że wkrótce uda mi się ukończyć jego biografię.

Trudno więc się dziwić, że z wielkim zainteresowaniem sięgnąłem po wspomnienia Konrada Studnickiego, którego miałem zaszczyt poznać osobiście. Swego czasu udzielił mi olbrzymiej pomocy w badaniu losów jego ojca. „Moje wspomnienia" okazały się fascynujące. Jest to bowiem historia życia Polaka, który po II wojnie znalazł się na emigracji i osiągnął tam sukces. Rzecz rzadko spotykana.

Konrad Studnicki opuścił Polskę wraz z ojcem w 1944 r., uciekając przed nadciągającymi bolszewikami. Gdyby Władysław Studnicki wpadł w ręce czerwonych, to jego los – jako znanego przeciwnika bolszewizmu – byłby przypieczętowany. Całe szczęście rodzinie udało się przedostać na Zachód. Tam 18-letni Konrad zaciągnął się do 2. Korpusu gen. Andersa.

Ta część wspomnień należy do najciekawszych. Konrad trafił bowiem do wojska wielonarodowego. Do jego najbliższych kolegów należał Rosjanin żydowskiego pochodzenia, który wcześniej był... żołnierzem Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Innym jego kolegą był Ślązak wcześniej służący w Wehrmachcie. Ten z kolei był dumny ze swego Krzyża Żelaznego i uzyskanego w niemieckim wojsku stopnia kaprala. Poza tym, jak to u Andersa: Polacy z Wileńszczyzny, Białorusini, Ukraińcy. Tygiel.

„Pozostało mi do dziś wiele wspomnień z pierwszej kompanii, czternastego batalionu – pisze Studnicki. – Spotkałem różnych ludzi, o bardzo odmiennym pochodzeniu, wykształceniu i przeszłości, dzięki czemu zacząłem rozumieć, jak wiele różnic istniało w Polsce i jak bezsensownym jest myślenie o ludziach jako istotach do siebie podobnych, o tych samych ambicjach, pragnieniach i motywach postępowania. Nie ma »typowych ludzi« na świecie, dlatego świat jest tak ciekawy i nie prosty do zrozumienia".

Studnicki po wojnie ukończył prestiżową London School of Economics, a następnie wyemigrował do Kanady, gdzie zrobił zawrotną karierę. Za oceanem mieszka do dziś. Szkoda, że jego fascynująca książka ukazała się w tak niewielkim nakładzie. ©℗

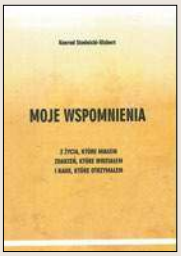

★★★★★★

KONRAD STUDNICKI-GIZBERT „MOJE WSPOMNIENIA" NAKŁADEM WŁASNYM AUTORA

SŁAWOMIR KOPER

HITORIA WIECZNIEŻYWA

Polacy z wyboru

Nie bez powodu Lwów uważano za „najbardziej polskie z miast". Nad Pełtwią wielu potomków innych nacji stawało się Polakami z wyboru. Ojciec poety Wincentego Pola nazywał się Franz Xaver Pohl, natomiast wybitny historyk, Karol Szajnocha, był synem Vencla Scheinohy von Wtelenskego. Polonizacja rodzin austriackich urzędników przybrała takie rozmiary, że zaniepokojenie wyrażał cesarz Franciszek I: „Że Polacy galicyjscy idą do powstania, to mnie nie dziwi [...]. Ale nie mogę pojąć, czego tam szukają synowie moich urzędników? Wszakże u Pana Boga za piecem nie będzie im lepiej jak u mnie?!".

Franciszek Smolka związał się z polskim ruchem niepodległościowym

Faktycznie, we Lwowie nawet ludzie, którzy nie znali słowa po polsku, ulegali dziwnej metamorfozie. Profesor Mauss wykładający historię na miejscowym uniwersytecie głośno krytykował studentów, którzy jeszcze nie wyjechali do Kongresówki, by walczyć z Rosjanami. Nie musiał długo czekać, do powstania przyłączyli się synowie: konsyliarza rządowego van Roya, sędziego Webera, starosty Ostermana, oficerów policji Rosenberga i Wittmana. Radca gubernialny Reitzenheim zarządził surowe sankcje wobec rodziców ochotników, aby w dniu ogłoszenia rozporządzenia dowiedzieć się, że jego rodzony syn, Józef, prosto z jakiegoś balu uciekł do Kongresówki. Po upadku powstania działał w środowiskach emigracyjnych we Francji i przyjaźnił się z Juliuszem Słowackim.

Polakiem z wyboru był też Franciszek Smolka – syn Niemca i Węgierki. Jeszcze podczas lwowskich studiów związał się z polskim ruchem niepodległościowym, za co skazano go na karę śmierci. Został jednak ułaskawiony, a z polityką związał się ponownie w czasie Wiosny Ludów. Objął wówczas stanowisko prezydenta parlamentu wiedeńskiego, a po rewolucji powrócił nad Pełtew, gdzie przez kilkanaście lat znajdował się pod policyjnym nadzorem.

Demokratyzacja życia politycznego nad Dunajem spowodowała, że znów zajął się polityką. 5 kwietnia 1861 r. został wybrany na posła do parlamentu, a 20 lat później został jego przewodniczącym. To właśnie on rzucił hasło usypania we Lwowie kopca z okazji 300-lecia unii lubelskiej. Gdy budowa ruszyła, Smolka w wolnych chwilach osobiście woził taczki z ziemią, wprowadzając w osłupienie austriackich oficerów, którzy nie chcieli uwierzyć, że jest przewodniczącym parlamentu wiedeńskiego.

Dzisiaj, stojąc na tarasie widokowym Wysokiego Zamku, warto wspomnieć tych Polaków z wyboru, którzy na zawsze zapisali się w dziejach Lwowa oraz polskiej historii i kultury. ©℗

eprasa.pl a156d6168f

Kto służy w izraelskiej armii

SZEWACH WEISS

Służba w armii izraelskiej jest obowiązkowa nie tylko dla mężczyzn (prawie trzy lata służby), lecz także dla kobiet (dwa lata). W armii nie muszą służyć zamężne kobiety, zwolnienie z tego obowiązku mogą też uzyskać z powodów religijnych. Jednym z pierwszych praw wprowadzonych po powstaniu Państwa Izrael było zwolnienie ze służby wojskowej części religijnych ortodoksów, młodych mężczyzn uczących się w jesziwach (wyższych szkołach religijnych). Powodem tego było to, że podczas II wojny światowej zamordowano wielu rabinów i religijnych Żydów oraz zburzono jesziwy. W tworzącym się państwie potrzeba było kilkuset studentów w jesziwach, żeby odnowić, podnieść i rozszerzać życie religijne. Minister obrony ma prawo zmobilizować do służby wszystkich obywateli Państwa Izrael, ale nie musi tego robić. Z oczywistych powodów większość Arabów, którzy mają obywatelstwo, pracują i mieszkają w Izraelu oraz biorą udział w wyborach (w Knesecie ponad 10 proc. posłów należy do zjednoczonego klubu partii arabskich), nie służy w armii. Jednak w izraelskim wojsku są też arabscy ochotnicy, Beduini i Gruzini. W wojsku są więc również żołnierze, oficerowie i nawet jeden generał, którzy nie są Żydami.

Przed izraelską armią od początku stały wyzwania związane z tworzeniem nowoczesnego społeczeństwa, z integracją etniczną, narodową. Wojsko zajmowało się np. edukacją, gdyż większość młodych Żydów emigrujących z całego świata nie znała języka hebrajskiego czy historii Izraela. Zawodowa służba w Izraelu trwa 25 lat, a więc bardzo wielu czterdziestokilkuletnich oficerów przechodząc na emeryturę, robi drugą karierę – na uczelniach, w polityce, biznesie, samorządach itp. Już David Ben Gurion chciał, żeby żołnierze rozszerzali swoją wiedzę, więc ustalono warunki awansów. Major musiał mieć maturę, podpułkownik pierwszy etap uniwersytecki, a na pułkownika mogli awansować tylko żołnierze z wyższym pełnym wykształceniem. Wojsko umożliwiło też kształcenie się na jego koszt na kierunkach potrzebnych w armii i społeczeństwie, np. medycynie, fizyce, matematyce.

Wróćmy do sprawy służby religijnych ortodoksów w armii. W Izraelu żyje ok. 6,5 mln Żydów, z czego prawie 15 proc. to ortodoksi. Nie wiemy dokładnie, ilu Żydów żyje zgodnie z religijną tradycją, ale w soboty do synagogi chodzi ok. 30–40 proc., w święta mniej więcej 50 proc., a w najważniejsze żydowskie święto – Jom Kippur – prawie 70 proc., a są lata, że więcej. Innym wskaźnikiem jest koszerne jedzenie. Według statystyk kupuje je prawie połowa Żydów. Kolejnym wskaźnikiem może być tradycyjny żydowski pogrzeb, który ma 95 proc. Żydów. Trzeba podkreślić, że nie istnieje system, który pozwoliłby rozdzielić religię od narodowości żydowskiej. Nawet z formalnego punktu widzenia.

Ostatnio w Jerozolimie odbywają się wielkie demonstracje, w których uczestniczą dziesiątki tysięcy, a czasem ponad 100 tys. osób. Ludzie ci oskarżają rząd, że zmusza religijnych ortodoksów do służby w armii. Fakty jednak są inne. W koalicji Beniamina Netanjahu są trzy partie religijne (w tym dwie ortodoksyjne). Przez ostatnie cztery kadencje w Izraelu rządzą właśnie partie religijne. Co więcej, każdy ortodoksyjny Żyd może być zwolniony ze służby wojskowej. Musi się tylko pojawić w biurze bezpieczeństwa i przekonać o swojej religijności. A to jest proste. Na tym tle wywiązały się w Izraelu dyskusje, bo wielu Żydów uważa, że istnieje tu bardzo duża niesprawiedliwość. Armia broni Izraela, który od czasów powstania państwa (a nawet wcześniej) jest w ciągłym stanie napięć wojennych. Kilka lat temu na tle równości w stosunku do obligatoryjnej służby wojskowej powstała nawet partia antyklerykalna.

Tutaj trzeba coś powiedzieć o partiach ortodoksyjnych. One nie należą do ruchu syjonistycznego. Z punktu widzenia ideologicznego ortodoksów państwo żydowskie nie powinno powstać bez konkretnej pomocy Boga. Są więc z założenia antypaństwowi. Najwięksi ortodoksi żyją w Izraelu, wchodzą w skład rządów, ale w dalszym ciągu czekają na Mesjasza. Istnieje też partia religijna Żydowski Dom, która jednak uważa, że nie można dopuścić do ponownego podziału Izraela, nie zgadzają się na utworzenie państwa palestyńskiego po zachodniej stronie Jordanu i jakikolwiek podział Jerozolimy.

W historii narodu żydowskiego żyjącego przez 2 tys. lat w diasporze religia nie ograniczała się do sfery sacrum. Żydowskie gminy, kasy chorych, system pomocy socjalnej, wewnętrzne sądy powstawały i działały w ścisłym związku z synagogami oraz instytutami religijnymi. Te zwyczaje, kultura, filozofia religijna istnieją w dalszym ciągu. Prawdopodobnie tak będzie wyglądało życie polityczne i społeczne w Izraelu jeszcze przez wiele lat.

oprac. raw ©℗

eprasa.pl a156d6168f

Teresa Stylińska

Atatürk i Erdoğan rządzili twardą ręką. Jednak tylko to ich łączy. Autorytaryzm Kemala Atatürka utorował drogę demokracji, obecny prezydent chce tylko więcej władzy

Marzenie islamisty

Dziennikarze piszą o nim „sułtan", choć w jego żyłach nie płynie ani jedna kropla osmańskiej krwi, a pochodzenie ma bardzo skromne. Inni nazywają go „autokratą", gdy on sam uważa się za demokratę. Ci, którzy wolą dostrzegać cechy pozytywne, widzą w nim reformatora. Nie bez racji, bo niewątpliwie zmienił w swoim kraju wiele, a chciałby jeszcze więcej. Jedno nie budzi wątpliwości: jest islamistą – dla jednych powód do uznania, dla innych kamień obrazy.

Recep Tayyip Erdoğan: prezydent Turcji od prawie trzech lat, premier przez ponad 11 lat od 2003 do 2014 r. Twórca Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), islamskiego ugrupowania, które w laickiej – ciągle jeszcze – Turcji zdołało utrzymać się u władzy przez ponad 14 lat. A także pierwszy islamski burmistrz Stambułu, od 1994 do 1997 r. Skazany na 10 miesięcy więzienia za naruszenie zasady świeckości państwa (odsiedział cztery) za wyrecytowanie na wiecu fragmentu starego poematu, głoszącego, że „minarety są naszymi bagnetami".

PRZEŁAMAĆ ZŁĄ PASSĘ

Erdoğan nie byłby tak skuteczny, gdyby nie wyciągnął trafnych wniosków z losów wszystkich poprzednich partii islamskich, delegalizowanych za działania sprzeczne ze świeckim charakterem republiki. Dopiero Erdoğan zdołał przełamać tę fatalną passę, działając dwutorowo: z jednej strony zawsze prezentował AKP jako partię konserwatywną, odżegnując się od groźnego słowa „islamska", z drugiej – spacyfikował procesami jej najgroźniejszych wrogów, przede wszystkim armię stojącą na straży świeckości państwa.

Erdoğan jak ognia wystrzegał się więc nazywania swej partii islamską, choć z jego wypowiedzi i reakcji na wydarzenia wyłania się obraz człowieka, któremu drogie jest wszystko, co wiąże się z islamem. Symbolem marzeń Erdoğana stała się uwaga, którą rzucił niegdyś mimochodem: pragnienie, by w Turcji „wyrosło pokolenie ludzi pobożnych".

Islamską proweniencję ma też wiele idei, które Erdoğan rzucał, czasem jako balon próbny, ale czasem jako propozycje rozwiązań prawnych: rozdzielenia mężczyzn i kobiet na basenach, w środkach komunikacji, w akademikach; oddania kobiet jako istot słabszych pod opiekę mężczyzn czy wprowadzenia do kodeksu karnego kary za cudzołóstwo. Żaden z tych pomysłów nie został wcielony w życie. Przeszły za to ustawa antyalkoholowa, zrównanie średnich szkół religijnych z liceami świeckimi, a przede wszystkim ustawa zezwalająca kobietom na noszenie chust w szkołach i w instytucjach publicznych.

BEZ KRYTYKI

Na konto Erdoğana należy też jednak zapisać zwiększenie praw Kurdów, którzy zyskali prawo do używania własnego języka, oraz zwiększenie rozwoju gospodarczego, jakiego Turcja nie doświadczyła od lat. To w dużej mierze zapewniło Erdoğanowi popularność i skuteczne przejście z urzędu premiera na stanowisko szefa państwa – pierwszego, który został wybrany w wyborach powszechnych.

Chociaż przy każdej okazji Erdoğan powołuje się na zasady demokracji,

eprasa.pl a156d6168f

Recep Erdoğan przeforsował m.in. ustawę zezwalającą kobietom na noszenie chust w szkołach i instytucjach publicznych FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

jest autokratą w każdym calu. Nie znosi sprzeciwu ani najlżejszej krytyki. Uważa, że skoro został wybrany przez naród, ma prawo robić, co chce. Innym nie szczędzi ostrych słów czy nawet obelg. Dziennikarze muszą uważać, jakie pytania zadają, a aktorzy na żarty rzucane na scenie – wyrzucenie z pracy stało się normą.

Po ubiegłorocznym nieudanym zamachu stanu Erdoğan rozpętał istne polowanie na czarownice. Wielu Turków milczy, bo każda uwaga może skończyć się posądzeniem o wspieranie Fethullaha Gülena, islamskiego duchownego, który – zdaniem prezydenta – zorganizował nieudany przewrót.

Po przeszło 30 latach kariery politycznej Erdoğan znalazł się w punkcie zwrotnym. Na własne życzenie – bo to on, dla własnych ambicji, zainicjował przeprowadzenie referendum, które odbędzie się 16 kwietnia i w którym Turcy zdecydują, czy ich kraj przyjmie ustrój prezydencki. Jeżeli tak, to Erdoğan przejdzie do historii jako drugi człowiek, który będzie kształtować Republikę Turcji wedle własnych wyobrażeń.

Wprowadzenie systemu prezydenckiego właściwie jednak tylko usankcjonuje to, co już ma miejsce: Erdoğan de facto rządzi, choć nie ma do tego prawa. Rządy, zgodnie z konstytucją, spoczywają w rękach premiera, przy ograniczonych uprawnieniach prezydenta. Jednak litera prawa sobie, a praktyka sobie. Planom Erdoğana zresztą nikt się w partii nie sprzeciwia. Nawet premier Binali Yildirim popiera je tak, jak gdyby o niczym nie marzył bardziej niż o oddaniu władzy. Poprzedni premier – Ahmet Davutoğlu – był bardziej niezależny, dlatego wytrwał na stanowisku tylko półtora roku.

Trudno wątpić, że Recep Erdoğan chciałby przejść do historii jako ten, który zburzył dzieło Mustafy Kemala Atatürka, twórcy republiki powstałej na gruzach imperium osmańskiego. W pierwszym okresie rządów AKP sama wzmianka o tym byłaby samobójstwem. Dzisiaj jest inaczej. Erdoğan zresztą z chwilą, gdy AKP zyskała pełnię władzy, przestał przejmować się „ojcem narodu". Lekceważy rocznicę powstania republiki, a wyrazy czci i szacunku dla Kemala zastępuje uszczypliwymi uwagami.

Faktem jest, że od czasów Atatürka nie pojawił się nikt, kto próbowałby oprzeć republikę na nowych zasadach ustrojowych. Recep Erdoğan jest pierwszy. Jednak to, obok charyzmy i umiejętności wprowadzania zamierzeń w życie, jedyna bodajże cecha, która łączy go z Atatürkiem. Poza tym wszystko ich różni: i głoszone idee, i styl działania.

Kemal był wizjonerem, który nie tylko zdołał sformułować wizję nowego państwa, lecz także umiał ją zrealizować w skrajnie trudnych warunkach, gdy wydawało się, że Turcji nic już nie jest w stanie ocalić. To prawda, że rządził w sposób autokratyczny (gdyby było inaczej, być może nie zdołałby przeprowadzić reform tak gruntownych), ale państwo ukształtował tak, by było w stanie funkcjonować w nowym świecie, gwałtownie zmieniającym się po I wojnie światowej. Jego autokratyzm torował drogę przyszłej demokracji. W wypadku Erdoğana natomiast i same zmiany, i sposób ich wprowadzania służą głównie zaspokojeniu jego żądzy władzy.

Przy tym Atatürka, choć miał wielką władzę i ogromny autorytet, cechowała skromność. Nie miał majątku. W Ankarze mieszkał w małym domku, otrzymanym w prezencie od przyjaciół, gdy zaś przebywał w Stambule, zadowalał się dwoma skromnymi pokojami w dawnym sułtańskim pałacu Dolmabahçe. A Erdoğan? Z prezydenckiego pałacu Çankaya, gdzie od lat mieszkali szefowie państwa, przeprowadził się do Białego Pałacu, ogromnej nowej rezydencji o kubaturze porównywalnej z osławionym kompleksem wybudowanym w Bukareszcie przez Nicolae Ceauşescu.

TURC

Trudno przewidzieć, jaki rezultat przyniesie referendum. Z badań opinii publicznej wynika, że siły zwolenników i przeciwników wprowadzenia systemu prezydenckiego są bardzo wyrównane. Dlatego Erdoğan i jego obóz tak bardzo zabiegają o głosy Turków mieszkających za granicą.

Jeszcze trudniej przewidywać, jaka może być nowa Turcja, gdyby Erdoğan zwyciężył (a trzeba pamiętać, że ma on w polityce, poza wymiernymi sukcesami także dużo szczęścia). Wiadomo, że formalnie prezydent zyska ogromne uprawnienia, jakich nie ma nawet prezydent USA – choćby prawo rozwiązywania parlamentu. Będzie mógł dowolnie powoływać i odwoływać ministrów oraz wydawać dekrety z mocą ustawy. Będzie mógł wszystko. I raczej bez jakiejkolwiek kontroli.

Co z tego wynikłoby dla Turcji? Jak Erdoğan wykorzystałby swoje wielkie uprawnienia? Czy nakazałby kobietom okrywanie głów? Czy zainicjowałby masową budowę meczetów? Czy fakt, że zapowiada kolejne referendum, tym razem w sprawie kontynuowania starań o członkostwo w Unii Europejskiej, oznacza, że mógłby zwrócić Turcję ku światu islamu? Może stolica wróciłaby do Stambułu, czego podobno Erdoğan skrycie pragnie, a dzień świąteczny znowu byłby w piątek? W jedno trudno wątpić: że z urzędów, banknotów, ulic i placów prędzej czy później zniknęłyby portrety oraz pomniki Atatürka. Czyje wizerunki zajęłyby ich miejsce, łatwo się domyślić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a156d6168f

FOT. DREW ANGERER/GETTY IMAGES

PITRWŁOCZYK: Jak się pan czuje jako jeden z czołowych amerykańskich islamofobów? Właśnie w ten sposób określa pana muzułmańska Rada ds. Stosunków Amerykańsko-Islamskich.

DR BILL WARNER: Najpierw odpowiedzmy sobie na pytanie: Co właściwie oznacza pojęcie „islamofob"? Z „fobią" sprawa jest jasna – to zaburzenie nerwicowe. Czym jednak jest islam? Czy na pewno wiemy, o czym mówimy? Kiedy ja patrzę na islam, widzę, że Mahomet skazywał swoich intelektualnych adwersarzy na śmierć, widzę też przyzwolenie na gwałcenie kobiet. Jak wiadomo, ludzie tacy jak ja – nazywani wrogami Allaha – mogą zostać zabici. Czy to wystarczy, abym się bał islamu? Oczywiście, że groźby odcięcia niewiernym głów i palców budzą strach u normalnego człowieka. Tak, boję się islamskiej doktryny, która jest bezlitosna dla niewiernych. Nie jestem jednak szaleńcem, ponieważ ta obawa jest racjonalna. Ludzie powinni dostrzegać tę różnicę.

Muzułmanie z oczywistych względów czują do pana niechęć, ale nie tylko oni widzą w panu islamofoba. Wpływowa amerykańska organizacja specjalizująca się w obronie praw człowieka, Southern Poverty Law Center (SPLC), piętnuje pana za pańskie opinie na temat islamu. Oni też nie wiedzą, co mówią?

Chciałbym podkreślić jedną rzecz – nie jestem wrogiem muzułmanów ani ich religii jako takiej. Jestem natomiast wrogiem niebezpiecznej politycznej ideologii, która stoi za islamem.

To zrozumiałe, że SPLC napiętnuje takich ludzi jak ja. SPLC to przecież lewicowa organizacja, a w Ameryce lewica i islam idą ze sobą pod rękę.

Brzmi to co najmniej niedorzecznie.

A jednak. Podam przykład: ostro sprzeciwiam się biciu żon, co nie powinno budzić żadnych kontrowersji. Jednak na amerykańskiej lewicy w imię multikulturalizmu praktycznie nie mówi się o tym, że prawo islamskie daje na to przyzwolenie. Cała ta sfera jest zablokowana w debacie publicznej. Nazywają mnie rasistą, ekstremistą, islamofobem, a przedstawiciele lewicy sami nie chcą rozmawiać o tym, jak traktowane są tam kobiety. Amerykańskim feministkom najwyraźniej nie do końca zależy na prawach wszystkich kobiet...

eprasa.pl a156d6168f

Z dr. Billem Warnerem, założycielem Centrum Studiów nad Politycznym Islamem
rozmawia Piotr Włoczyk

Zdążyć przed szariatem

W USA istnieją kultury, ideologie, grupy ludzi, które w mainstreamie mają absolutny immunitet. Pod żadnym pozorem nie wolno ich krytykować, inaczej człowiek naraża się na piętno fanatyka. Przepraszam najmocniej, zapomniałem o jednej grupie ludzi, których można krytykować do woli – są to oczywiście chrześcijanie. Tutaj nie ma żadnych limitów. W poniewieraniu chrześcijaństwa można używać najbrudniejszego języka. Islam jednak jest pod ochroną – nie wolno na ten temat wypowiedzieć słowa krytyki.

Nie zamierzam przekonywać nikogo na siłę o zagrożeniach związanych z polityczną ideologią stojącą za islamem. Zależy mi jedynie na dyskutowaniu z ludźmi, którzy myślą inaczej. W Ameryce jest to jednak bardzo trudne. Jestem tam traktowany jak człowiek intelektualnie trędowaty.

Czytałem, że pod wpływem protestów szkoły odwołują spotkania z panem.

Czasem jednak uda mi się porozmawiać na takim forum. Kiedyś zostałem zaproszony przez pewną konserwatywną grupę polityczną na dyskusję na terenie Uniwersytetu Vanderbilta w Nashville w Tennessee. Przedstawiłem wówczas statystyczną analizę najważniejszych tekstów islamu – jak często mówi się w nich nie o religii, lecz o traktowaniu niewiernych. Nikogo nie wyzywałem ani nie obrażałem. Na koniec pewien uczestnik dyskusji wstał i zaczął na mnie krzyczeć, że nigdy nie powinno się mnie wpuścić na teren uniwersytecki. Nazwał mnie standardowo islamofobem, rasistą i ekstremistą. Wie pan, kim był ten człowiek? Kierownikiem departamentu bliskowschodniego na tej uczelni. W ten sposób ruguje się krytyczne myślenie

REKLAMA

eprasa.pl a156d6168f

z uniwersytetów. Zamiast tego na uczelniach uczy się ideologii.

Czym właściwie jest ten „polityczny islam", przed którym pan ostrzega?

Islam to doktryna, która w pełni zawiera się w trylogii: Koranie, Sirze i Hadisach. Okazuje się jednak, że większość – 51 proc. – tej trylogii nie odnosi się do tego, jak być lepszym muzułmaninem, ale mówi o tym, jak należy traktować niewiernych. Tę część islamu nazywam politycznym islamem. W ten sposób ponad połowa islamu jest dla mnie, jako dla niewiernego, zagrożeniem. Jeszcze raz – nie interesuje mnie religijna strona islamu. Chodzi mi jedynie o żądania, które islam rozciąga na innych ludzi, ograniczając ich prawa, poczynając choćby od wskazywania, jakie jedzenie można spożywać na stołówkach szkolnych...

... pamiętajmy jednak, że wieprzowinę skreślają nie tylko muzułmanie.

Faktycznie, żydowska halacha zabrania wyznawcom tej religii jedzenia wieprzowiny. Szariat idzie jednak dalej – nikt nie je wieprzowiny. Nikt! Nieważne, czy jest to muzułmanin czy chrześcijanin. Kolejna różnica, z której nie wszyscy sobie zdają sprawę – według islamu wszyscy żyjemy pod szariatem. Gwoli ścisłości dodam tylko, że halacha nie obejmuje nieżydów. To jest ta fundamentalna różnica.

Opowiadam się za równością ludzi wobec prawa, dlatego sprzeciwiam się szariatowi, który dla kafirów – niewiernych – przewiduje potworny los. Jestem członkiem cywilizacji, w której jedna etyka rozciągnięta jest na wszystkich: traktuj innych – wszystkich, bez wyjątku – tak, jak sam chciałbyś być traktowany. Tymczasem w islamie nie ma czegoś takiego jak ludzkość. Świat dzieli się na wierzących i na kafirów.

Na pewno przyzna pan jednak, że wielu muzułmanów naprawdę widzi w islamie religię pokoju i nikomu nie zagraża.

To prawda. Akurat ci muzułmanie podążają za Mahometem z okresu nauczania w Mekce. Tutaj nie ma mowy o dżihadzie, ale już 24 proc. Koranu napisanego w Medynie jest poświęcone dżihadowi. Mahomet z Medyny przestał być misjonarzem. Stał się politykiem oraz wojownikiem z krwi i kości.

Islam ma dwie natury, które są sprzeczne, ale ta religia zbudowana jest na sprzecznościach. Islam jest jak tęcza. Ci, którzy twierdzą, że jest to religia pokoju, oraz ci, którzy podążają za Mahometem z Medyny, są jak ludzie, którzy kłócą się o to, czy tęcza jest zielona czy czerwona. Islam jest równocześnie pokojowy oraz pełen przemocy. Nie da się usunąć tego dualizmu z islamu. Trzeba poznać jego doktrynę, żeby wiedzieć, z czym mamy do czynienia, żeby przywódcy państw zachodnich rządzili na podstawie informacji, a nie ideologii multikulturalizmu. Czy to wszystko, co mówię, brzmi na tyle radykalnie, by wykluczać mnie z dyskusji?

Po co założył pan swoją organizację?

Chcę, żeby każdy poznał nauczanie Mahometa. Myślę tu o zrozumieniu tekstów źródłowych islamu, a nie o ich późniejsze interpretacje. Po zamachach z 11 września 2001 r. postanowiłem przybliżyć te teksty ludziom Zachodu.

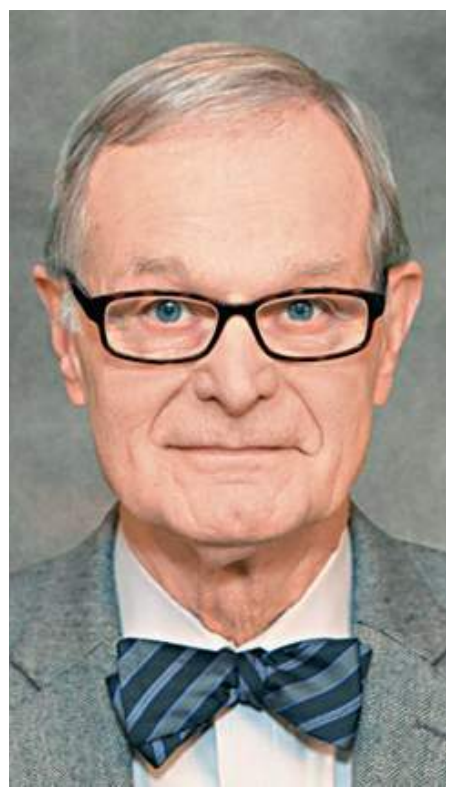

dr Bill Warner – (właśc. Bill French) kieruje Centrum Studiów nad Politycznym Islamem (Center for the Study of Political Islam). Jest autorem m.in. „Szariat dla niemuzułmanów", „Hadisy. Sunna Mahometa", „Sira. Życie Mahometa".

Mamy przed sobą prosty wybór: albo obronimy naszą własną cywilizację, albo zostaniemy zmieceni z powierzchni ziemi. Pamiętajmy, że istnienie Kościołów chrześcijańskich uważane jest przez islam za obrazę dla Allaha, natomiast islamska trylogia wymaga od wiernych, by prowadzili dżihad. Trzeba sobie zdawać z tego sprawę. Właśnie przed tym zagrożeniem, jakie niesie ze sobą ekspansja politycznego islamu, próbuję ostrzegać ludzi.

Jak brzmi pańska diagnoza, jeżeli chodzi o stosunek Zachodu do islamu?

Jesteśmy bardzo słabi, a stawianie na multikulturalizm niszczy nasze zdolności obronne. Lewicowe elity chcą nas przekonać, że islam jest właściwie taki sam jak każda inna religia. Tymczasem islamizacja naszej cywilizacji już się zaczęła. Potrzeba do tego oczywiście dużo czasu, ale historia pokazuje, że muzułmanie są bardzo cierpliwi. My odmierzamy czas, patrząc na zegarek, oni odliczają go pokoleniami. Dzisiejszą sytuację Zachodu porównałbym do pacjenta, który dowiadując się, że zaczyna się u niego pierwsze stadium raka, macha ręką, mówiąc, że w sumie nic złego się nie dzieje.

Porównuje pan islam do raka?

Proszę tego nie brać dosłownie. Chcę tylko uświadomić ludziom, jak poważnie zagrożona jest nasza cywilizacja. Ten system polityczny – ponieważ do tego sprowadza się islam – rozrasta się coraz bardziej. W Europie dużo szybciej niż w USA, ale u nas również polityczny islam staje się coraz silniejszy. Jak już wspomniałem, ułatwia mu to nasza multikulturalna tolerancja. Niedawno zresztą przekonałem się, jak daleko posunięta jest ta tolerancja w Niemczech. Chciałem zorganizować tam spotkanie, ale nikt nie zamierzał mi wynająć sali na rozmowę o politycznym islamie...

Angela Merkel jest niestety tolerancyjna dla systemu, który nie może być tolerowany, jeżeli chcemy, żeby nasza cywilizacja przetrwała. Dlaczego ona – kobieta – nie wyraziła oburzenia po atakach w Kolonii? Zamiast tego ucisza krytyków islamskiej doktryny politycznej, wykluczając rozmowę na ten temat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a156d6168f

FOT. VINCENT KESSLER/REUTERS/FORUM

GUY KUSI BRYTYJCZYKÓW

Brexit jest faktem, Brytyjczycy przestaną być w Unii Europejskiej. Chyba że... ich państwo wyjdzie, ale oni zostaną. Bo do tego mniej więcej można sprowadzić pomysł podsuwany ostatnio przez unijnych negocjatorów. Tak bardzo chcą zatrzymać ludzi we wspólnocie, że zamierzają zaproponować wyspiarzom możliwość indywidualnego pozostania w UE. Główny negocjator Parlamentu Europejskiego w sprawach Brexitu potwierdził, że taki pomysł się pojawił, choć decyzje w tej sprawie jeszcze nie zapadły. Guy Verhofstadt zaznaczył, że ta „bardzo ważna" propozycja daje „nadzieję" Brytyjczykom. Warto chyba dodać, że nie jest to oryginalny pomysł byłego premiera Belgii. Możliwość „indywidualnego obywatelstwa UE" wcześniej już proponował europoseł z Luksemburga – Charles Goerens.

B ZAOZWÓD

W czasie, gdy na świecie trwa konserwatywna kontrrewolucja, szwedzki biznes hotelarski ogłasza pomysł idący pod prąd – jedna z sieci hoteli postawiła na nietypową promocję. Ogłosiła, że małżeństwom, które zatrzymają się u nich we wspólnym pokoju, zwróci pieniądze za pobyt, jeśli w ciągu roku od wizyty się rozwiodą. Właściciele sieci twierdzą, że w ten sposób chcą wskazać na wartości, jakie niosą związki między ludźmi...

PRAWDA CZASU, PRAWDA EKRANU

Górzysty teren, środek najrzadziej zaludnionego regionu w Europie – szkockie Highlands. Pustka. Właśnie tam zgodziły się przez rok przebywać 23 osoby, które zgłosiły się do reality show produkowanego przez brytyjską telewizję The Channel 4. Wybrańcy mieli na tym odludziu, odcięci od reszty świata, stworzyć od podstaw własne społeczeństwo. Eksperyment trwał przez 12 miesięcy ubiegłego roku. Łatwo nie było – niedostatek jedzenia, konflikty w grupie, napięcia miłosne. Dlatego do końca dotrwało jedynie 10 uczestników. Jednak dopiero na końcu czekało ich największe rozczarowanie. Okazało się bowiem, że choć nagrania trwały cały czas, to program nie oglądał się najlepiej w telewizji i już po emisji czwartego odcinka (gdy oglądalność spadła z początkowych 1,7 mln do 800 tys.) zaprzestano jego pokazywania. Jak ujawnił „The Sun", nikt nie poinformował o tym uczestników show.

ZAKAZANE TABLICE

Poprawność polityczna w Kanadzie jest daleko posunięta. Może nawet ciut za daleko. Świadczy o tym historia Lorna Grabhera. Ten Kanadyjczyk z nazwiskiem pochodzenia niemieckiego od lat miał w swoim samochodzie spersonalizowane tablice rejestracyjne. Widniało na nich po prostu jego nazwisko: „GRABHER". Kiedy próbował je niedawno odnowić, urzędnicy mu tego odmówili – uznali bowiem, że taki napis może być odczytywany jako symbol „przemocy wobec kobiet" (po angielsku „grab her" – oznacza: złap ją). Pan Grabher uważa, że urzędnicy przesadzają i że padł ofiarą wulgarnego języka prezydenta USA (Donald Trump w słynnej ujawnionej w kampanii podsłuchanej rozmowie chwalił się, że z kobietami postępuje tak, że „łapie je" za intymne miejsca).

UKRADLI MILION DOLARÓW

Z berlińskiego Muzeum im. Bodego zniknął cenny eksponat – „Big Maple Leaf", czyli największa na świecie moneta, którą Niemcy wypożyczyli na wystawę. Wyemitowany przez kanadyjską mennicę pieniądz wykonany był w całości ze złota i ważył 100 kg. Moneta ma nominał 1 mln dol., w rzeczywistości jej wartość szacuje się na 3,8 mln euro. W pobliżu muzeum znaleziono drabinę. Policja przypuszcza, że kilku złodziei mogło wynieść nocą cenny przedmiot przez okno. W śledztwie sprawdzane jest m.in. to, czy okno miało system alarmowy i czy feralnej nocy był on włączony. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **ŁUKASZ ZBORALSKI**

eprasa.pl a156d6168f

Islam bierze wszystko

Tomasz P. Terlikowski

Wieszczony przez analityków koniec historii, jak wiadomo, nie nastąpił. I nie nastąpi koniec religii – wiek powszechnej laicyzacji. Jeśli czegoś trzeba się spodziewać, to raczej wieku islamu

Od kilkudziesięciu lat pokolenia socjologów religii, a za nimi także teologów głosiły koniec epoki zinstytucjonalizowanych religii i etap powszechnej laicyzacji, która zmiecie wielkie religie z powierzchni ziemi. Tyle że – jak to zwykle bywa z przewidywaniami futurologów – okazało się, że są one niewiele warte. Ponoć w połowie XIX w. przewidywano, że największym problemem wielkich miast w wieku XXI będzie nadmiar końskich odchodów. I co? I mniej więcej tyle, co z przewidywaniami powszechnej laicyzacji, czyli nic. Końskich odchodów w XXI w. w większości europejskich miast nie uświadczysz, a teza o powszechnej laicyzacji i śmierci religii (a przynajmniej jej przekształceniu się w „religie prywatne") właśnie się falsyfikuje. I to w niezwykle mocny sposób.

SZWECJA JAK AFGANISTAN

Okazuje się bowiem, że powszechna laicyzacja, która miała powoli ogarniać kolejne kraje, przekształcając je wszystkie w Holandię, Szwecję, Paragwaj czy Czechy, nie nastąpiła. A coraz bardziej prawdopodobna staje się sytuacja, w której – i to w ciągu kilkudziesięciu najbliższych lat – Holandia czy Szwecja stracą swój laicki charakter i przekształcą się w… kraje na wzór Afganistanu czy Pakistanu. A wiele wskazuje na to, że podobny los czeka jeszcze wiele innych państw.

Przesada? Nic bardziej błędnego. Jak wykazują badania prestiżowego amerykańskiego ośrodka badawczego Pew Research Centre, już w roku 2050 – jeśli trendy demograficzne się nie zmienią – liczba chrześcijan i muzułmanów na świecie się niemal zrówna. Muzułmanów będzie wówczas 2,8 mld (stanowić będą 30 proc. populacji świata), a chrześcijan 2,9 mld (31 proc.). W roku 2070 muzułmanów ma być już więcej niż wszystkich chrześcijan (łącznie z najszybciej rozwijającymi się obecnie chrześcijanami pentekostalnymi) razem wziętych. Błyskawicznie rozwijać się będą także hinduiści, których obecnie jest miliard, a w roku 2050 szacuje się, że będzie ich 1,4 mld. Te liczby, choć już same w sobie robią wrażenie, nie wyczerpują jednak obrazu dynamizmu religijnego. O wiele istotniejsze jest wskazanie na tempo, w jakim rozwijać się będą poszczególne wspólnoty. I tak muzułmanów do roku 2050 przybędzie ponad 70 proc., a chrześcijan i hinduistów – ok. 35 proc.

Jedyną religią, która nie może liczyć na wzrost, są… buddyści, których wprawdzie nie ubędzie, ale też nie będzie ich więcej (co oznacza, że procentowo będzie ich mniej niż obecnie). Wyraźnie ubędzie natomiast… ateistów i agnostyków, ponieważ choć w roku 2050 ma być ich 1,2 mld (a obecnie jest ich 1,1 mld), to statystycznie będzie ich wyraźnie mniej. Obecnie stanowią oni 16,4 proc. populacji, w 2050 r. ma być ich zaś 13,2 proc., a w 2070 r. – jak wskazują badania – będzie ich jeszcze mniej.

STARCIE CYWILIZACJI

Skąd biorą się te różnice w tempie rozwoju? Odpowiedzią wcale nie jest dynamizm misyjny – ponieważ akurat ten łączy zarówno islam, jak i chrześcijaństwo, w nieco mniejszym stopniu buddyzm, a ostatnio w niektórych nurtach także hinduizm – ale… demografia. To ona jest odpowiedzialna za niezwykle dynamiczne zmiany w układzie religijnym świata. Obecnie statystyczny muzułmanin ma 23 lata, a statystyczny wyznawca innej religii 30, i już tylko to generuje demograficzną przewagę islamu. Jakby tego było mało, młodzi muzułmanie wchodzą obecnie w wiek rozrodczy, a obecne dane nie pozostawiają wątpliwości, że mają oni – w porównaniu z wyznawcami innych religii – najwięcej dzieci. Statystycznie na jedną muzułmańską kobietę przypada 3,1 urodzonego dziecka (zastępowalność pokoleń to 2,1 dziecka na jedną kobietę). U chrześcijan, którzy znajdują się na drugim miejscu na tej liście, statystyczna kobieta rodzi 2,7 dziecka, hinduistki rodzą statystycznie 2,4 dziecka, a buddystki… 1,6. I właśnie te dane pokazują zupełnie jednoznacznie, skąd bierze się potęga islamu.

Warto mieć jednak świadomość, że siłą chrześcijaństwa wcale nie są Europejki czy Amerykanki (także Latynoski), ale Afrykanki, i to bardzo konkretne – z subsaharyjskiego regionu Afryki.

eprasa.pl a156d6168f

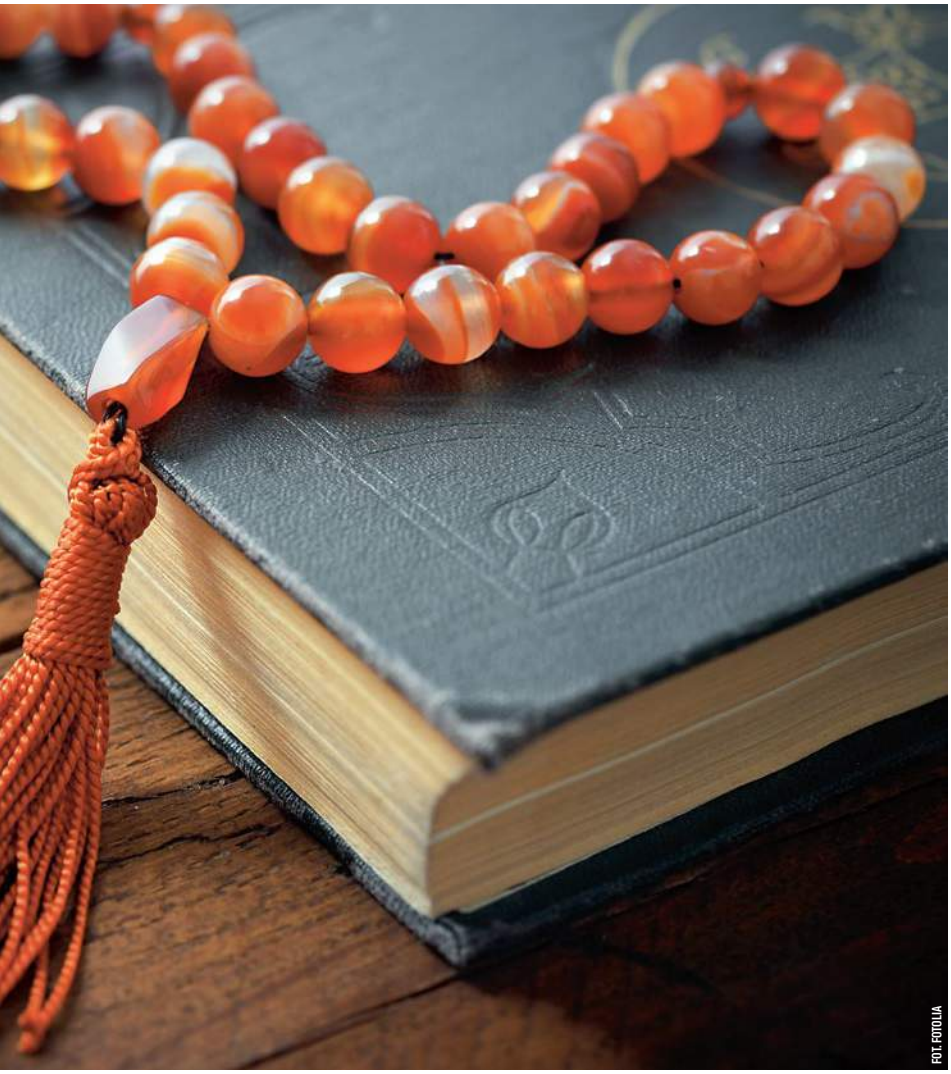
FOT. FOTOLIA

Obecnie chrześcijan z tego regionu jest 517 mln, ale w roku 2050 będzie ich już 1,1 mld, a statystycznie rzecz ujmując – obecnie chrześcijanie subsaharyjscy stanowią 24 proc. wszystkich chrześcijan, w roku 2050 będą stanowić 38 proc. wszystkich chrześcijan. Błyskawicznie przybywać będzie w tym regionie także muzułmanów, co rodzi potężne niebezpieczeństwo nieustannego konfliktu w tym regionie świata.

Istotne zmiany dotkną także Europę. Tutaj w roku 2050 będzie już mieszkać ponad 10 proc. muzułmanów (obecnie jest ich 5 proc.). Chrześcijanie nadal będą stanowić największą grupę wyznaniową, ale ich – w odróżnieniu od muzułmanów – zdecydowanie ubędzie. Obecnie jest ich 553 mln, ale w roku 2050 ma być ich 454 mln, co oznacza, że wyznawcy Jezusa Chrystusa będą już stanowić zaledwie dwie trzecie wszystkich Europejczyków. Lekko spadnie natomiast (choć, zdaniem badaczy, nadal będzie to znacząca grupa) liczba ateistów i agnostyków (czy szerzej: ludzi niedeklarujących konkretnego wyznania), których ma być wówczas 23 proc. Warto sobie jednak uświadomić, że dane i przewidywania, o jakich mowa, nie uwzględniają ani gigantycznej dynamiki imigracyjnej, która mocno zmienia obraz Europy, ani działań misyjnych, które – szczególnie w przypadku wspólnot neopentekostalnych i muzułmańskich – mogą przyczynić się do szybkiej zmiany sytuacji. Jedno się jednak nie zmieni. Wszystko wskazuje na to, że w połowie XXI w. (o siódmej dekadzie nawet nie wspominając) świat będzie zdecydowanie bardziej religijny niż obecnie, a islam będzie przeżywał rozwój porównywalny jedynie z pierwszymi wiekami jego istnienia. To wtedy plemiona arabskie błyskawicznie opanowały nie tylko cały w zasadzie Bliski Wschód, lecz także Afrykę Północną. Zwycięstwa te traktowane były zresztą jako dowód na prawdziwość islamu, bowiem Allah miał wspierać – także w wymiarze doczesnym – swoich prawdziwych wyznawców. I nie inaczej traktują muzułmanie swoje obecne błyskawiczne zwycięstwa demograficzne.

SPIESZMY SIĘ KOCHAĆ ATEISTÓW...

Badania Pew Research Center nie są jednak jedynymi, które pokazują, że ateizm i agnostycyzm nie mają przyszłości. Do identycznych wniosków doszli Lee Ellis, Anthony W. Hoskin, Edward Dutton, Helmuth Nyborg, czyli autorzy tekstu „Przyszłość sekularyzmu" opublikowanego na łamach „Evolutionary Psychological Science". Ich zdaniem nie ma najmniejszych wątpliwości, że ateizm i agnostycyzm odchodzą w przeszłość. Odsetek ludzi, którzy deklarują się jako nieuznający istnienia Boga, systematycznie spada i będzie spadał – wykazują uczeni – przeprowadzili oni badania na 4 tys. studentów w Malezji i Stanach Zjednoczonych. Wyniki wskazują całkowicie jednoznacznie, że im bardziej ktoś religijny, tym więcej ma dzieci, a im mniej – tym mniej. I właśnie to jest główny powód, dla którego liczba ateistów i agnostyków systematycznie spada.

Dlaczego tak się dzieje? Psychologowie ewolucjoniści nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości. Powodem są nawyki życiowe ludzi niewierzących, a także brak powodów do tego, by podejmować decyzje, które mogą być niewygodne czy wymagające poświęceń. A taką właśnie decyzją jest posiadanie dzieci. Ludzie wierzący, niezależnie od tego, jaką religię wyznają, zdecydowanie częściej mają dzieci niż ci, którzy nie wierzą. Nie ma też najmniejszych wątpliwości, że niewierzący zdecydowanie częściej stosują środki antykoncepcyjne i zabezpieczają się przed potomstwem, a także dokonują aborcji. A to w dłuższej perspektywie oznacza, że skazują się na wymarcie. „Ironią losu jest to, że efektywne metody kontroli urodzeń zostały wymyślone i rozpropagowane przez ateistów, i to te metody prowadzą do powolnego, ale systematycznego spadku liczby sekularystów w kolejnych pokoleniach" – podkreślają autorzy artykułu. Ujmując rzecz publicystycznie, można więc powiedzieć, że za pomocą prezerwatyw i pigułek sekularyści popełniają powolne, zbiorowe samobójstwo. Spieszmy się ich zatem kochać, bo tak szybko odchodzą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a156d6168f

Dobry biznes

Łukasz Zboralski

W Polsce rośnie liczba firm, które nie tylko chcą zarabiać pieniądze, lecz także działać na rzecz społeczeństwa. Jednak konsumentów nad Wisłą wciąż mało to obchodzi. Czy to się zmieni?

Biznes to zysk. Od dawna jednak ludzie przedsiębiorczy godzili się część swoich pieniędzy przeznaczać na cele publiczne. To oni byli mecenasami artystów, angażowali się w rzeczy ważne dla lokalnych społeczności, Kościoła. Nierzadko przychodził też moment, w którym zarabianie pieniędzy przestawało być celem samym w sobie, a środki zaczęły służyć temu, by życiu nadać głębszy sens.

Świat się zmieniał i firmy ewoluowały w gigantyczne korporacje. Stawały się one prawdziwymi maszynami do pozyskiwania pieniędzy. Czasem bezdusznymi – zarówno dla ludzi, którzy w nich pracowali, jak i dla otoczenia. Eksploatowały bowiem przyrodę i nie liczyły się z otoczeniem. Naprawdę rządzili w nich nie szef czy rada nadzorcza, ale kalkulator.

W połowie XIX w. nadszedł jednak moment, w którym zyski – czyli to, o co koncerny dbały najbardziej – stawały się zagrożone przez coraz lepiej rozwiniętą świadomość społeczną. Ludzie zaczęli się domagać, by firmy oprócz kupowania od nich usług pracy, zaczęły też dbać o środowisko i otoczenie. Silne wówczas stały się ruchy ekologiczne i konsumenckie. A gigantyczne przedsiębiorstwa niczego nie obawiały się bardziej niż utraty dochodów spowodowanej złym wizerunkiem marki wśród potencjalnych klientów. To tak zaczęła się korporacyjna odpowiedzialność społeczna (CSR), która z dbania o zachowanie zysków przez lata przekształciła się w prawdziwą dobroczynność.

NISKA PRESJA W POLSCE

W Polsce firmy prowadzą działania prospołeczne, ale starać się nie muszą. Dlaczego? Nie odczuwają takiej presji społecznej jak w krajach Europy Zachodniej.

Dobrze pokazało to badanie „CSR w praktyce – barometr Francusko-Polskiej Izby Gospodarczej". Ankiety wypełniało 65 firm. I aż 71 proc. respondentów uznało, że konsumenci produktów nad Wisłą nie biorą pod uwagę tego, czy firma jest odpowiedzialna społecznie. Co więcej, zdaniem 63 proc. przedstawicieli badanych przedsiębiorstw polscy konsumenci w ogóle nie wiedzą, czym jest CSR.

Znajduje to odzwierciedlenie w tym, jakie działania społeczne prowadzi biznes w Polsce. W tym samym badaniu respondenci wskazywali, że najczęściej jest to transparentność, dbałość o podawanie informacji dotyczących produktu lub usługi (80 proc.). Trudno nie zauważyć, że brzmi to jak strojenie obowiązku w szaty dobrych gestów. Na kolejnym miejscu znalazło się „komunikowanie z klientami poprzez różne kanały: Internet, social media, spotkania, eventy" (68 proc.). A w tej sprawie trudno odróżnić przecież działania prospołeczne od po prostu specyficznego marketingu. Wśród działań skierowanych do pracowników wymieniano najczęściej dbałość o rozwój (82 proc.) i prowadzenie polityki różnorodności – czyli m.in. równouprawnienie ze względu na wiek, płeć czy narodowość (65 proc.).

Z innego badania – przeprowadzonego w ubiegłym roku przez Forum Odpowiedzialnego Biznesu – wynika, że wśród grup docelowych, do których firmy kierują swoje działania społeczne, priorytetowym tematem w Polsce była i jest równość płci (95 proc.).

Sporo do myślenia mogą dawać też wyniki Barometru CSR (CSR Consulting i Maison & Partners). 30 proc. badanych uznaje, że tego typu działalność to sposób komunikacji i budowania wizerunku firm, a 16 proc. widzi w tym hipokryzję.

Niewygórowane wymagania konsumentów i brak społecznej presji z pewnością przekładają się na jakość działań. Skoro firma robić tego nie musi, to i efekty bywają różne. Dobrym przykładem są firmy ubezpieczeniowe, które sporą część komunikacji poświęcają bezpieczeństwu na drogach, ale w praktyce społeczne działania sprowadzają się często do nakręcenia kilku średniej jakości spotów na YouTube z udziałem znanego rajdowca lub dziennikarza motoryzacyjnego (na tym tle zdecydowanie wyróżnia się tylko PZU, które przygotowało i przeprowadziło jedną z lepszych kampanii społecznych z tej dziedziny

eprasa.pl a156d6168f

Kompania Piwowarska podczas letnich festiwali uruchamia „Trzeźwobus" i promuje odpowiedzialne spożywanie alkoholu FOT. KOMPANIA PIWOWARSKA

– „Kochasz? Powiedz STOP wariatom drogowym").

Chociaż trzeba też zauważyć, że są w Polsce koncerny, które mają w takich dziedzinach osiągnięcia najlepsze w Europie.

ŚWIATOWY POZIOM

Oddział Unilever Polska został w 2014 r. wyróżniony w konkursie Europejskiej Rady Bezpieczeństwa Transportu. W firmie, która zatrudnia ponad 3,5 tys. pracowników, w tym 650 kierowców, przez rok nie odnotowano żadnego wypadku drogowego. Jak to wygląda w praktyce? Każde spotkanie biznesowe z udziałem pracowników Unilever Polska zaczyna się od tzw. safety moments, czyli od dzielenia się aktualnymi informacjami dotyczącymi bezpieczeństwa na drodze. Kierowcy, którzy mają najwięcej problemów z przestrzeganiem zasad bezpieczeństwa na drodze, uczestniczą w specjalnie dla nich organizowanych warsztatach z policjantami. A kierowców, którzy mają problem z bezpieczeństwem, wyłapuje się dzięki monitoringowi. Systemy GPS zamontowane w samochodach używanych w firmie pozwalają przełożonym wytropić przypadki przekraczania dozwolonej prędkości. Kierownicy zobowiązani są do przygotowywania sprawozdań z takich monitoringów co trzy miesiące.

Oprócz pozytywnego wpływu na całe społeczeństwo specjalny program przyniósł też firmie Unilever Polska wymierne korzyści. Dzięki poprawie bezpieczeństwa na drogach przez trzy lata firma zredukowała zużycie paliwa we flocie o 10 proc.

W Polsce działania biznesu na rzecz społeczeństwa ostatnio najbardziej widać chyba we wspieraniu inicjatyw patriotycznych. Celują w tym głównie wielcy państwowi giganci, ale nie tylko oni. Firmy bardzo angażują się w akcje promujące wiedzę historyczną i pamięć o żołnierzach wyklętych. Objęły wsparciem i partnerstwem np. Bieg Tropem Wilczym poświęcony pamięci żołnierzy niepodległościowego podziemia (m.in. Orlen, PGNiG, Energa), pomagają przy wydawaniu publikacji historycznych, finansują programy edukacyjne.

Dobrych przykładów jest na szczęście coraz więcej. Te odnotowuje corocznie raport „Odpowiedzialny biznes w Polsce" przygotowywany przez Forum Odpowiedzialnego Biznesu. W opublikowanej właśnie tegorocznej edycji zestawienia znalazło się rekordowo dużo firm – swoje dobre praktyki w dziedzinie CSR zgłosiło aż 25 proc. przedsiębiorstw więcej. W podsumowaniu zaprezentowano działania 180 firm przeprowadzone w ubiegłym roku (rok wcześniej było to 137 firm).

eprasa.pl a156d6168f

Energa od lat prowadzi kompleksowy program związany z ochroną bocianów FOT. ENERGA

Rekordowa okazała się wśród nich reprezentacja małych i średnich przedsiębiorstw – 48 (w roku ubiegłym – 35; w raporcie za rok 2013 – 47), a także liczba zakwalifikowanych praktyk do raportu – 880 (w roku ubiegłym – 811), stanowiących sumę praktyk nowych i długoletnich. 461 to inicjatywy zgłoszone do raportu po raz pierwszy (w roku ubiegłym – 454), 419 to praktyki zgłoszone po raz kolejny, ale realizowane w 2016 r. (w roku ubiegłym – 359).

– To świetna wiadomość dla wszystkich osób, które od lat namawiają do odpowiedzialnego zarządzania. Udowadnia, że koncepcja CSR rozwija się i coraz więcej firm chce patrzeć na swój biznes w kategoriach wartości, a nie tylko w kategoriach zysku finansowego – mówi Mirella Panek-Owsiańska, prezeska Forum Odpowiedzialnego Biznesu. – To efekt wielu lat pracy menedżerów, menedżerek, organizacji pozarządowych, instytucji i środowisk akademickich, które pokazują, że da się współpracować i działać wspólnie na rzecz zrównoważonego rozwoju.

NASZE PRAKTYKI WŚRÓD FIRM

W raporcie Forum Odpowiedzialnego Biznesu najlepsze działania firm przedstawiono w siedmiu obszarach, takich jak: ład organizacyjny, prawa człowieka, praktyki z zakresu pracy, środowisko, uczciwe praktyki operacyjne, zagadnienia konsumenckie, zaangażowanie społeczne i rozwój społeczności lokalnej.

Już po samej liczbie zgłoszeń widać, że korporacje najchętniej angażują się w sprawy lokalnych społeczności (190 praktyk), dużo rzadziej działają w obszarze „prawa człowieka" (11 praktyk). Część ekspertów uważa, że filantropia nie wystarczy i kompleksowe zaangażowanie powinno odzwierciedlać większy udział w innych obszarach. Być może jednak biznes odpowiada na konkretne zapotrzebowanie – bo czy w Polsce jest duży problem z przestrzeganiem praw człowieka?

Działania CSR w obszarze ładu korporacyjnego to m.in. prowadzenie polityki dotyczącej przyjmowania prezentów od dostawców lub klientów. Taki program prowadzi T-Mobile Polska. Takie zagadnienia obejmuje też program Gra „Fair Play" prowadzony przez DB Schenker.

O prawa człowieka firmy dbają, wdrażając politykę antymobbingową. Spółka Dozamel przeszkoliła wszystkich pracowników – dowiedzieli się, czym jest mobbing i jakie mają prawa i obowiązki.

W Volkswagen Polska polityka antydyskryminacyjna i antymobbingowa została wprowadzona jako porozumienie między pracodawcą a związkiem zawodowym.

Wielu myśli też o bezpieczeństwie pracowników. W Tauron Polska Energia projekt „Dzień dobry BHP" zakłada codzienne przypominanie zatrudnionym o prawidłowym zachowaniu podczas wykonywania obowiązków służbowych. Kompania Piwowarska oprócz szkoleń z bezpieczeństwa jazdy, które obejmują nie tylko kierowców, lecz także wszystkich innych zatrudnionych, dla chętnych prowadzi też szkolenia z niesienia pierwszej pomocy. Browary wyposażono w defibrylatory.

W Grupie Lotos organizowany jest Dzień Bezpieczeństwa i Ochrony Zdrowia w Pracy, podczas którego pracownicy m.in. mogą się zbadać i skorzystać z konsultacji lekarskich.

COŚ DLA KONSUMENTÓW I DLA PRZYRODY

Koncerny starają się dbać o środowisko naturalne. Na dachu biurowca ERGO Hestii stworzono pasiekę dla ok. 60 tys. pszczół, a w parku posadzono ponad 20 gatunków miododajnych roślin. Docelowo pasieka ma być dziesięciokrotnie większa.

Ule na dachach instaluje też Carrefour Polska. Z kolei PKN Orlen wybrał wspieranie rehabilitacji i leczenia orłów, uczestniczy też w projekcie odbudowy populacji sokoła wędrownego. Enea instaluje na słupach platformy, by zwiększyć siedliska rybołowów, a Tauron wynosi na specjalne platformy bocianie gniazda.

W ramach pomocy konsumentom koncerny zwracają uwagę na grupy zagrożone wykluczeniem. MBank umożliwia swoim klientom połączenie z pracownikiem banku, który posługuje się językiem migowym. Kurs obsługi klientów w języku migowym przeszli pracownicy 14 największych biur obsługi klienta PGE Polskiej Grupy Energetycznej.

Wiele inicjatyw CSR w obszarze wspierania lokalnych społeczności ukierunkowanych jest na sport. Renault Polska prowadzi program stypendialny dla niepełnosprawnych sportowców. BASF Polska organizuje turniej piłkarski, w który włącza też pracowników sąsiednich firm.

Pracownicy korporacji pomagają też w hospicjach, domach dziecka i prowadzą zajęcia dla dzieci w szkołach i na festynach.

Czy to, co robią koncerny, zacznie być ważne dla Polaków, którzy biorą do ręki produkty w sklepach lub zastanawiają się nad wyborem dostawcy usług?

Korzystałem z raportu „Odpowiedzialny biznes w Polsce. 2016" Forum Odpowiedzialnego Biznesu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a156d6168f

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Zadziobią nas „gołębie”?

Odwrotnie niż w przyrodzie w finansach – zwłaszcza w tych prywatnych, małych finansach, finansach rodzinnych – znacznie groźniejsze od jastrzębi są gołębie. A tak się składa, że to właśnie one – gołębie, a właściwie „gołębie” – zaczęły ostatnio nadawać ton w czuwającej nad siłą polskiego złotego, a więc i nad poziomem inflacji, Radzie Polityki Pieniężnej.

Inflacja powróciła do Polski po trzech latach nieobecności – w grudniu 2016 r. Ceny wzrosły wówczas – mierząc rok do roku – o 0,8 proc. W styczniu 2017 r. było to już 1,7 proc., a w lutym – 2,2 proc. Jednak to nie wszystko, bo Instytut Ekonomiczny NBP, który do niedawna szacował poziom inflacji w tym roku na 1,3 proc., a w przyszłym na 1,5 proc., ostatnio podniósł te prognozy do aż – odpowiednio – 2,1 i 1,9 proc. Tymczasem Adam Glapiński, prezes zarządu NBP i zarazem przewodniczący RPP, właśnie zadeklarował, w imieniu całej Rady Polityki Pieniężnej, że „gdyby utrzymały się obecne tendencje w gospodarce, nie byłoby potrzeby podwyższania stóp procentowych nie tylko w tym roku, lecz także nawet w 2018 r.”.

To zdanie brzmi na tyle groźnie, że warto je zapamiętać i próbować wyciągnąć dla siebie wnioski na przyszłość. Jeśli bowiem zapowiedzi RPP okażą się faktem, to – obawiam się – wyraz „inflacja”, który na trzy lata wyparował z polskich gazet i portali internetowych, zagości w nich znowu na dobre, a raczej na złe. Na złe dla siły nabywczej naszych dochodów, która będzie słabła z każdym miesiącem – w sytuacji, gdy wywalczenie sobie podwyżki nigdy nie przychodzi łatwo, a czasami, biorąc pod uwagę finansową kondycję wielu firm na mocno konkurencyjnym rynku, jest po prostu niemożliwe. To zaś oznacza, że zarabiając nominalnie tyle samo, realnie będziemy mieli w portfelach i portmonetkach coraz mniej.

Inflacja, tak nielubiana przez przeciętnych obywateli, zwłaszcza tych żyjących z pensji, które muszą zdobyć na wolnym rynku, jest ciepło przyjmowana – przynajmniej do pewnego stopnia – przez rządzących, dla których stosunkowo szybki wzrost cen oznacza rosnące wpływy do kasy państwa, a więc także ułatwione zadanie przy finansowaniu przeróżnych wydatków budżetowych, w tym prezentów robionych za publiczne pieniądze własnym wyborcom.

Z tego powodu tak wielu prosocjalnie nastawionych rządzących tak chętnie widzi w Radzie Polityki Pieniężnej ekonomistów o „gołębich” poglądach (a ci z nich, którzy mają taką możliwość, czyli prezydent oraz większość w Sejmie i Senacie, także tak ochoczo delegują „gołębie” do RPP). A potem gospodarczy liberałowie muszą bez końca „sprzątać” po ich niefrasobliwej polityce, bo rozhuśtać inflację ponad miarę jest łatwo, da się tego dokonać w kilka miesięcy, a sprowadzenie jej do rozsądnych granic zajmuje potem często długie lata. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Wielki Brat

Informacja to pieniądz. To wiemy od dekad, ale dopiero w XXI w. zaczęto stosować technologie, które czynią z danych kopalnię złota. Te metody noszą nazwę Big Data lub szerzej Data Science. Są stosowane zarówno przez sektor prywatny, jak i rządy zaawansowanych technologicznie krajów.

Na przykład metody Data Science pozwalają z dużą precyzją automatycznie wykrywać oszustwa podatkowe lub wyłaniać osoby, które mogą być terrorystami. Oczywiście Data Science może też być stosowane na granicy prawa lub poza prawem, już wkrótce przekonamy się, czy taka analiza była nielegalnie prowadzona przez administrację Obamy, żeby zwiększyć szansę Hillary Clinton na wygraną w wyborach prezydenckich. Automatyczne rozpoznawanie głosu za pomocą sieci neuronowych pozwoliło wyeliminować groźnych terrorystów, ale pozwala też szpiegować rządy innych krajów.

Nowoczesne telewizory podsłuchują nas w domu

Najwięcej jednak dzieje się w tym obszarze w sektorze prywatnym. Grupa naukowców pokazała, że zmiana sentymentu w blogosferze pozwala z dwudniowym wyprzedzeniem prognozować zmiany na giełdach. Firmy, które mają dostęp do wielkich zbiorów danych o setkach milionów ludzi (takie jak Google, Facebook i Amazon), mogą dokonywać takiej analizy, żeby zarabiać na spekulacjach bez ponoszenia ryzyka. Oczywiście nie wiemy, czy te firmy stosują techniki Data Science do przewidywania sytuacji na giełdzie, ale większość wielkich międzynarodowych banków to robi.

Im więcej wiemy o naszych klientach, tym lepiej możemy ich obsługiwać. Czasami prowadzi to do dwuznacznych moralnie sytuacji. Firma Target analizowała strukturę zakupów klientów i wysłała do domu nastolatki promocyjne materiały dla przyszłej mamy, zanim ta zdążyła poinformować o nieplanowanej ciąży swoich rodziców.

Oczywiście Data Science może także prowadzić na manowce. Jeden z profesorów pokazał silną korelację między produkcją masła w Bangladeszu a zmianami na giełdzie w USA. To oczywiście nie ma sensu, ale ciekawych zależności w danych, których ludzkie oko nie wypatrzy, a komputer już tak, jest bardzo wiele.

Nowoczesne telewizory podsłuchują nas w domu, a smartfony raportują i przesyłają dane o nas do serwerów producenta i służb specjalnych w USA bez naszej wiedzy. Jak potem te dane są wykorzystywane, nie wiadomo. Jedno jest pewne, na współczesnych uczelniach, na wszystkich kierunkach, powinien być przynajmniej jeden kurs z Data Science. Dlatego uruchomiliśmy taką specjalność w Narxozie. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl a156d6168f

ODPOWIEDZIALNA GRA

eprasa.pl a156d6168f

Totalizator Sportowy gra odpowiedzialnie

Spółka łączy cele biznesowe i społeczne z zapewnieniem bezpieczeństwa graczom. W tym zakresie spełnia europejskie i światowe standardy

Odpowiedzialna gra jest jednym z filarów działań Totalizatora Sportowego. W pierwszym rzędzie spółce zależy na budowaniu długofalowej relacji z graczami, a warunkiem tego jest właśnie bezpieczeństwo. Na każdym etapie działań biznesowych – od opracowania koncepcji gry do jej komunikacji – ten aspekt ma kluczowe znacznie

Takie podejście do biznesu pozwala na budowanie świadomości graczy, że produkty LOTTO są przeznaczone tylko dla osób pełnoletnich. Dotyczy to również edukowania partnerów biznesowych w zakresie odpowiedzialności i respektowania firmowych standardów ustanowionych przez Totalizator Sportowy.

ODPOWIEDZIALNA GRA

Od ponad 60 lat Totalizator Sportowy zapewnia milionom Polaków dobrą zabawę i pomaga realizować marzenia. Przez cały okres działania firmy cechuje ją odpowiedzialność i troska o bezpieczeństwo graczy.

Wprowadzenie każdego nowego produktu jest poprzedzone badaniami.

Analizowane są nie tylko oczekiwania konsumentów, lecz także wpływ społeczny gry na zachowania klientów. Jednocześnie gry i loterie oferowane przez TS mają przejrzyste i łatwo dostępne regulaminy. Kompleksowa i rzetelna informacja o nich, w tym regulaminy, zasady oraz tabele wygranych, są dostępne na stronie produktowej: www.lotto.pl oraz w kolekturach.

Odpowiedzialność spółki polega także na analizie ryzyka, jakie niosą gry liczbowe. Efektem tego jest m.in. prowadzenie działań promocyjnych i reklamowych, uwzględniających nie tylko ograniczenia prawne, lecz także firmowe autoregulacje. Przekazy reklamowe wszystkich marek Totalizatora Sportowego kierowane są wyłącznie do osób pełnoletnich. Nie odwołują się do słabości graczy.

Od ponad 60 lat Totalizator Sportowy zapewnia milionom Polaków dobrą zabawę i pomaga realizować marzenia

Kolejnym elementem odpowiedzialności jest edukacja sprzedawców oraz klientów. W tym zakresie Totalizator spełnia europejskie oraz światowe standardy i wymagania stawiane firmom loteryjnym.

GRACZE 18+

Jak już wspomniano, gry liczbowe i loterie pieniężne są bardzo atrakcyjną formą rozrywki. Nie jest ona jednak dostępna dla wszystkich. Produkty LOTTO nie są przeznaczone dla osób niepełnoletnich. Informuje o tym naklejka „18+", umieszczona w widocznym miejscu w punkcie sprzedaży. Konsekwentnie chroniona przed grą jest młodzież. Jeśli wiek gracza budzi wątpliwości, to prośba o okazanie dowodu tożsamości jest obowiązkiem prowadzącego kolekturę. Żelazną zasadą jest też zakaz angażowania w grę dzieci.

ODPOWIEDZIALNY SPRZEDAWCA TO BEZPIECZNY GRACZ

Od sprzedawców produktów LOTTO oczekuje się dużej wiedzy branżowej. Prowadzący kolektury znają zewnętrzne przepisy, w tym Ustawę o grach hazardowych. Obowiązują ich wewnętrzne regulacje, procedury i regulaminy.

Wszystkie gry i loterie znajdujące się w portfolio spółki są weryfikowane przy użyciu profesjonalnych narzędzi pod kątem ich wpływu społecznego. Produkty sprawdzane są m.in. metodą ASTERiG (narzędzie oceny i pomiaru potencjalnego ryzyka produktów hazardowych). Nowe gry i loterie przed ich wdrożeniem są badane, a te już obecne w ofercie – kontrolowane w momencie wprowadzania zmian. Działania te mają na celu jak najlepszą ochronę graczy. W efekcie ryzyko gracza-klienta pozostaje na odpowiednim poziomie.

GRAMY DLA SPORTU, KULTURY I ZDROWIA

Totalizator Sportowy pełni także niezwykle ważną rolę w rozwoju gospodarczym i społecznym kraju. Spółka zasila budżet państwa zarówno poprzez płacone podatki, jak i przez przekazywanie dopłaty z gier LOTTO.

Społeczna rola polega na zaangażowaniu się w wiele projektów sportowych oraz kulturalnych. Tylko w latach 1994–2016 TS przekazał na Fundusz Rozwoju Kultury Fizycznej 10,6 mld zł, a 1,9 mld zł na Fundusz Promocji Kultury. Ponad 160 mln zł trafiło na Fundusz Rozwiązywania Problemów Hazardowych.

eprasa.pl a156d6168f

Książkowa urawniłowka

Stefan Sękowski

Na regulacji cen książek mają skorzystać klienci, a czytelnictwo wzrosnąć. Czy na pewno o to chodzi w tym projekcie?

Niezależny Fundusz Wydawniczy żąda podawania na książce ceny maksymalnej. Uznaliśmy, że możemy ugiąć się przed tym absurdalnym wymogiem… Ustalamy cenę tej książki na 57 tys. zł" – taki komunikat na okładce „Wszystko inaczej" Stefana Kisielewskiego umieściła w 1986 r. podziemna Officyna Liberałów prowadzona przez Janusza Korwin-Mikkego (przeciętna pensja wynosiła wówczas ok. 24 tys. zł). Dopisała jednocześnie hasło: „Udzielamy OGROMNYCH rabatów".

Gdyby dziś wszystko poszło po myśli Polskiej Izby Książki, nie mogłaby tego zrobić. Izba chce bowiem ustawowo uregulować, ile mają kosztować nowe wydawnictwa. W tym celu napisała ustawę o jednolitej cenie książki, za którą lobuje właśnie w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

CIOS W RABATY

Gdyby plan Polskiej Izby Książki się udał, wydawca musiałby ustalić cenę publikowanej przez siebie pozycji, a księgarnia przez rok mogłaby obniżyć cenę książki najwyżej o 5 proc. (poza wyjątkowymi sytuacjami, takimi jak targi czy sprzedaż stowarzyszeniom rodziców uczniów z danej szkoły). Wydawca mógłby zmienić cenę po sześciu miesiącach, ale tylko wtedy, jeśli ściągnąłby cały dotychczasowy nakład z rynku.

Oficjalnie nowe regulacje mają na celu dobro klienta. Z czytelnictwem jest w Polsce dramatycznie: według danych Biblioteki Narodowej w 2015 r. 63 proc. Polaków nie przeczytało ani jednej książki. Z kolei 14 proc. znajduje się „poza kulturą czytelnictwa" – nie czyta nie tylko książek, lecz nawet gazet czy wiadomości w Internecie. W latach 2010–2015 wartość rynku książki zmalała z 3 mld zł do 2,3 mld zł. Od lat 90. średni nakład książki spadł z 10 tys. do 3 tys., w tym samym czasie liczba księgarń w Polsce zmalała z 3 tys. do 1,8 tys. PIK twierdzi, że z promocjami organizowanymi przez duże sieci księgarskie (i księgarnie internetowe) małe księgarnie stacjonarne nie mogą konkurować. W efekcie te

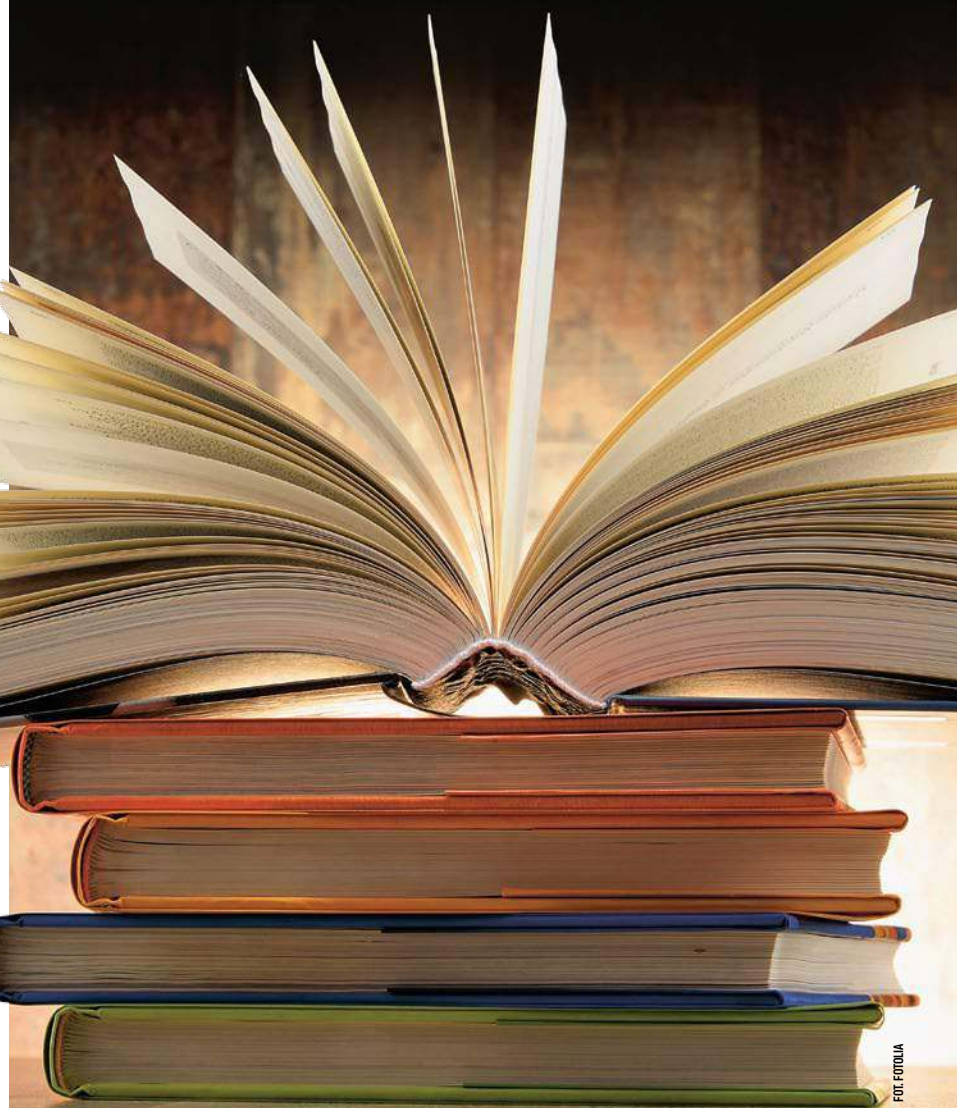

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl a156d6168f

mniejsze upadają – co ma utrudniać dostęp do książki, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach. Dodatkowo możliwość stosowania rabatów ma ograniczać różnorodność na rynku. Książki często przecenia się natychmiast po ich publikacji, co ma wpływać negatywnie na sprzedaż starszych tytułów. „Nieregulowany rynek wymusza traktowanie książki na równi z produktami spoza sfery kultury, w związku z czym cykl życia książki skrócił się obecnie do kilku miesięcy" – czytamy w uzasadnieniu proponowanych regulacji.

SAMISOBIE WINNI

Polska Izba Książki półgębkiem wspomina o tym, że „ostatnia fala redukcji rynku księgarskiego spowodowana została rozwojem sprzedaży książek za pośrednictwem sieci Internet oraz wyprowadzeniem części sprzedaży podręczników z księgarń (program rządowy)". Szkoda, bo to piękny przykład na to, jak księgarze winą za własne grzechy obarczają innych. Przy okazji wprowadzania w 2014 r. „darmowego podręcznika" dla klas pierwszych wielu rozdzierało szaty nad losem wydawców i księgarni, które stracą dochód. Jednak obowiązek szkolny sam w sobie powoduje konieczność posiadania przez dziecko podręcznika: gdy kupowało się większość z nich jeszcze na własną rękę, księgarze mieli we wrześniu i w październiku prawdziwe eldorado – wręcz zapewniony przychód po kilkaset złotych od „łebka". To ich rozleniwiało. Kilkanaście lat temu to nie oni zakładali pierwsze księgarnie internetowe, które nie zwiększałyby znacząco kosztów ich działalności, a poszerzały możliwość dotarcia do nowych klientów. Gdy rząd Donalda Tuska przebił podręcznikowy balonik – zaczęły się płacze i połajanki wobec złych czytelników oraz prężniej działającej konkurencji, rzekomo prowadzącej do „jakościowego pogorszenia się dostępności książek, szczególnie w małych ośrodkach".

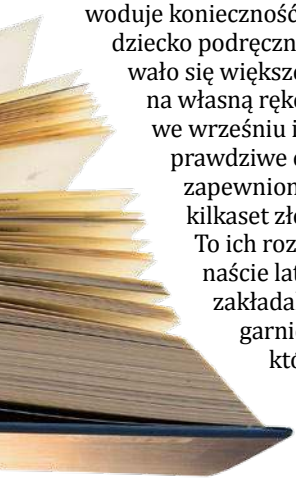

Bzdura! Sklep sieciowy nie będzie konkurencją dla małej księgarenki w większości miast powiatowych, gdyż tam go po prostu nie ma. Zostaje Internet, który ze swej istoty umożliwia dostęp do wszystkich księgarni internetowych – a przez to zwiększa dostępność do książek. Zwolennicy ustawy rysują idylliczny obraz księgarni jako centrum kulturalnego, które animuje lokalną społeczność. Nawet gdyby tak było, to gdy ceny książek z powodu ich ujednolicenia wzrosną, zapraszanie na wieczorki autorskie mniej lub bardziej znanych pisarzy i poetów nie wygra z brakami w portfelu.

PIK uważa jednak, że ceny nie wzrosną. Część cen nowości książkowych jest zawyżana, gdyż wydawcy ustalają je, antycypując przyszłe rabaty w księgarniach. To niecała prawda. Proponowana ustawa co prawda zakazuje wyższych promocji niż pięcioprocentowe, ale z drugiej strony wcale nie uderza w prawdziwy koszmar wydawców, czyli rabaty wymuszane na nich przez księgarzy, o nadmiernie wydłużonych terminach płatności nie wspominając. Jednolita cena książki zmniejszy więc konkurencję cenową między sprzedawcami, ale wcale nie spowoduje, że wydawcy będą za swoje (i swoich autorów) dzieła otrzymywali więcej niż do tej pory.

POLAK POTRAFI

Izba chętnie posługuje się przykładami z zagranicy, zwłaszcza niemieckim i francuskim, gdzie także istnieje regulacja cen nowości książkowych i gdzie po ich wprowadzeniu ceny lektur nie wzrosły. Całkiem przypadkowo są to tylko przykłady potwierdzające tezy PIK. Tymczasem spośród 20 państw o największych rynkach księgarskich w dziewięciu istnieją różne formy jednolitej ceny książki (niekoniecznie ustawowej), w 11 ich nie ma. Nie jest to więc jakiś światowy trend. W Izraelu w ubiegłym roku, po trzech latach obowiązywania, zlikwidowano przepisy dotyczące jednolitej ceny książkowych nowości, gdyż ich efektem był spadek czytelnictwa. Pod pewnymi względami – np. siły nabywczej pieniądza – Niemcy i Francja to w porównaniu z Polską nadal inny świat. PIK chętnie przytacza, że czytelnictwo w Czechach jest wielokrotnie wyższe niż u nas, a wartość rynku zbliżona (mimo że Czechów jest prawie cztery razy mniej niż Polaków), ale już nie wspomina, iż u naszych południowych sąsiadów akurat jednolitej ceny książki nie ma. Źródła wtórnego analfabetyzmu Polaków należy szukać więc gdzie indziej, nie w zbyt niskich cenach nowości.

Polska Izba Książki, która – wedle wypowiedzi dyrektor generalnej Grażyny Szarszewskiej-Kühl dla Radia Lublin – wydała ponad 220 tys. zł na lobbing na rzecz tej ustawy (powiązany z promocją czytelnictwa), promuje projekt będący w interesie przede wszystkim dużych sieci księgarń stacjonarnych. Wydawców stara się przekonać argumentem, że dzięki zakończeniu wojny cenowej między księgarniami zmniejszy parcie na rabaty od wydawców, umniejszające ich zyski, a także obietnicą, że każda księgarnia będzie zobowiązana do sprowadzenia na życzenie klienta każdej pozycji, jaką ten sobie zażyczy – z możliwością obarczenia klienta kosztami jej dostarczenia (ciekawe, komu będzie się chciało w takiej sytuacji zamawiać taką książkę w księgarni, zamiast sprzed monitora we własnym domu). Jednocześnie pozostawia ona pole do licznych nadużyć. I tak jednolitej ceny nie dotyczą książki „wydanej w różnych standardach edytorskich, w szczególności wydanej w twardej lub miękkiej oprawie". Łatwo można sobie wyobrazić sytuację, w której duże sieci będą zamawiać u wydawców specjalne edycje, które będą sprzedawać po odpowiednio niższej cenie. Także możliwość tańszej sprzedaży książki „wybrakowanej, wadliwej lub uszkodzonej" ułatwia zrobienie sobie z handlu książkami np. z obciętymi rogami okładek „innowacyjnego" modelu biznesowego.

Chociaż MKiDN pochyliło się nad ustawą i przeprowadza konsultacje, to oficjalnie jej nie forsuje. Minister oświadczył, że „nie została podjęta żadna decyzja" w sprawie jednolitej ceny książki. Także na obu spotkaniach konsultacyjnych Piotr Gliński zaprzeczał, jakoby miał wykrystalizowane zdanie na ten temat. Nie jest więc powiedziane, że i tym razem – tak jak w 2015 r., kiedy to PIK próbował forsować ustawę za pośrednictwem PSL – projekt nie zostanie pogrzebany.

Nie mam jednak wątpliwości, że wyrzucony drzwiami na pewno wróci oknem. Jak każdy, który służy interesowi jakiejś grupy. Dlatego warto mu się przeciwstawić, by korzystnych dla klienta rabatów nie trzeba było udzielać, omijając obowiązujące prawo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji".

eprasa.pl a156d6168f

TEST „DO RZECZY": PANASONIC LUMIX DMC-FZ2000

Szybki autofocus, dobry system stabilizacji obrazu, a także świetna jakość zdjęć i nagrań wideo – to największe zalety najnowszego aparatu typu bridge.

Aparat wyposażony jest w jasny obiektyw (f/2.8–f/4.5) Leica DC VARIO-ELMARIT z aż 20-krotnym zoomem optycznym i zakresem ogniskowych od 24 do 480 mm. Robienie ostrych zdjęć umożliwia duża, jednocalowa matryca MOS o rozdzielczości 20,1 megapikseli. Maksymalna wielkość zapisywanego zdjęcia wynosi 5472 x 3648 pikseli. Maksymalna rozdzielczość filmu to zaś 4K. Niezłe są również parametry dotyczące szybkości. Fotografować możemy z maksymalną prędkością 12 kl./s (AFS) lub 7 kl./s (tryb AFC). Materiały wideo w Full HD można zaś nagrywać z maksymalną prędkością 60 kl./s (w przypadku 4K 3840 x 2160 maksymalna prędkość to 30 kl./s). Model FZ2000 umożliwia także „wycięcie" pojedynczych klatek z filmu 4K.

Na pochwałę zasługują również szybki autofocus oraz dobrze działający system stabilizacji obrazu. Aparat Panasonica oferuje również m.in. takie funkcje jak Post Focus (umożliwia wybranie miejsca ustawienia ostrości już po zrobieniu fotografii), tryb HDR i tryb filmu poklatkowego.

Po stronie plusów trzeba też zapisać ergonomiczny korpus, a zwłaszcza sporą rękojeść, dzięki której aparat dobrze leży w dłoni. Nie brakuje również programowalnych przycisków.

Wizjer OLED Live View Finder o rozdzielczości 2,36 mln pkt i wysokim kontraście (10000:1) umożliwia szybkie kadrowanie nawet w silnym słońcu. Podczas fotografowania, a zwłaszcza podczas filmowania w bardzo słoneczny dzień przydatny jest też wbudowany filtr szary (ND), którego moc można kontrolować za pomocą przełącznika na obiektywie (można go też po prostu wyłączyć lub ustawić przełącznik na tryb „auto").

W sytuacjach, gdy korzystanie z wizjera byłoby zbyt uciążliwe, można też skorzystać z uchylnego dotykowego wyświetlacza LCD o rozdzielczości ok. 1 mln pkt. W ostrym słońcu powłoka antyrefleksyjna nie zawsze daje radę i czasem pojawiają się odbicia otoczenia.

Wadami modelu FZ2000 są stosunkowo duży rozmiar, przypominający raczej lustrzankę niż kompakt (137,6 x 101,9 x 134,7 mm) oraz waga, która przy dłuższym użytkowaniu jest już odczuwalna (ok. 920 g). Brakuje również uszczelnień w konstrukcji korpusu – szkoda, bo zwłaszcza w naszym klimacie możliwość wykorzystania aparatu nawet przy bardzo złej pogodzie często się przydaje. Filmowcom przeszkadzać może z kolei minimalny hałas, który pojawia się podczas zoomowania.

Panasonic Lumix FZ2000 nie jest może idealny. To jednak znakomity aparat dla bardziej zamożnych amatorów i średnio zaawansowanych miłośników fotografii, a także miłośników nagrywania filmików (np. blogerów i vlogerów), którzy szukają sprzętu z wieloma funkcjami, a nie chce im się taszczyć ciężkiego aparatu ani wymiennej optyki.

Dla wielu amatorów poważnym minusem będzie jednak jego wysoka cena (ok. 5,4 tys. zł), niemal dwa razy wyższa niż w przypadku poprzednika testowanego modelu, czyli aparatu DMC-FZ1000. ©℗

Jacek Przybylski

PRAWIE W POWIETRZU

Jeśli spadać, to z wysokiego konia. Spektakularnie i widowiskowo, bo przecież pierwsze wrażenie to podstawa. Kawasaki KX-SB 6.5 to gadżet drogi, ale wrażenie rzeczywiście robi olbrzymie. Przynajmniej na tych, którzy oglądali, i to nieraz, „Powrót do przyszłości". Niestety, nie jest to jeszcze unosząca się w powietrzu deskolotka, nad którą pracuje kilka światowych firm, ale i tak cacko grzechu warte. Kawasaki KX-SB 6.5 to bowiem elektryczna deskorolka typu surfboard z jednym kołem (właściwie dwoma, ale połączonymi w jedno) umieszczonym na samym środku deski. Wygląda to całkiem estetycznie i jest w miarę bezpieczne – koło przystosowane jest do pokonywania wzniesień, a o stabilność i równowagę dba zespół sensorów i żyroskopów. Zapomnijcie też o machaniu nogą i odbijaniu się od powierzchni.

Deska dzięki elektrycznemu silnikowi potrafi jechać z szybkością nawet 18 km/godz. Minus? Po trzygodzinnym ładowaniu silnika maksymalna odległość, jaką jesteśmy w stanie na niej przejechać, to 20 km. Jest jeszcze jeden minus – cena. W polskich sklepach (Kawasaki KX- SB 6.5 właśnie do nich trafił) to ok. 2,5 tys. zł. Wystarczy nieco dołożyć i można pomyśleć o elektrycznym rowerze, choć muszę przyznać, że gadżet wizualnie prezentuje się ciekawie.

PILNUJ PORTFELA

Jeśli ktoś jest genetycznym poznaniakiem albo, co gorsza, krakusem i nie lubi wydawać pieniędzy na zbytkowne gadżety, za to pilnie pilnuje portfela, to być może ucieszy go, że na rynek wchodzi właśnie KiwiCard. Niewielkie urządzenie przypominające kartę kredytową i mające jej rozmiary, które włożone do portfela daje spore szanse, że go nie zgubimy. KiwiCard uzbrojone w elektroniczne gadżety i czujniki, sparowane z telefoniczną aplikacją, alarmuje (dźwiękowo i wibracyjnie), gdy zbytnio oddalimy się od portfela i umieszczonej w nim karty. Jeśli zignorujemy alarm – co może zdarzyć się np. po długotrwałym pobycie w knajpie – to na ekranie smartfona wyświetlą się współrzędne GPS wskazujące, gdzie znajdują się KiwiCard i portfel (a także jego prawdopodobny nowy właściciel). Notabene alarm działa też w drugą stronę – uderzenie dłonią w portfel uruchomi sygnał dźwiękowy w zawieruszonym telefonie. Minus? Działającej od roku do trzech lat baterii nie można wymienić. Cena – ok. 80 zł. KiwiCard można zamawiać na Kickstarterze, na razie będzie rozsyłane wyłącznie na terenie USA. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a156d6168f

NASZ TEST: KIA OPTIMA GT

Czy tradycyjne rodzinne kombi, służące do przewozu choinek, nart lub kilku walizek wielodzietnej rodziny, a zazwyczaj dużej ilości powietrza, może dobrze wyglądać? Może. Nawet zwykła Optima ma już ciekawą stylistykę. Wersja GT jest zaś wyposażona w LED-owe reflektory, chromowane wykończenie charakterystycznego „tygrysiego" nosa, zmienione zderzaki z przodu i z tyłu, 18-calowe felgi i polakierowane na czerwono zaciski na hamulcach. Z tyłu, jak na auto ze sportowymi aspiracjami przystało, znalazły się zaś dwie chromowane końcówki układu wydechowego. Najważniejsza różnica w porównaniu ze zwykłymi wersjami kryje się jednak pod maską. Benzynowy dwulitrowy turbodoładowany silnik, który generuje aż 245 KM, sprawia, że Optima GT to najmocniejsza „kijanka" na europejskim rynku.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W KABINIE

Od zwykłych wersji Optimy flagowy model Grand Touring odróżniają skórzane fotele z funkcją ogrzewania lub wentylowania. Mają wyższe oparcie i są dużo mocniej wyprofilowane, dzięki czemu świetnie podpierają ciało podczas szybkiej jazdy na zakrętach. Koreańczycy nie zapomnieli też o charakterystycznych dla usportowionych wersji czerwonych przeszyciach. Pedały mają aluminiowe nakładki. Aluminium zdobi również konsolę centralną. Deska rozdzielcza jest klasyczna i wykończona materiałami wysokiej jakości. Na pochwałę zasługuje także spłaszczona u dołu, mięsista kierownica, która bardzo wygodnie leży w dłoniach. Poza sportowym duchem wnętrze jest też praktyczne: w środku jest dużo miejsca (również dla pasażerów podróżujących na tylnej kanapie), a kufer ma aż 552 l pojemności.

JAZDA

Powiedzmy to wprost: Kia Optima GT to nie jest typowy hot hatch dla bardzo niegrzecznych chłopców. To raczej kombi z wyraźnym sportowym pazurem dla głowy dużej rodziny, która lubi poczuć się nie tylko panem domu, lecz także – chociaż od czasu do czasu – panem lewego pasa. Od 0 do 100 km/godz. auto w tej wersji rozpędza się w 7,6 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 232 km/godz. Niby jak na kombi jest nieźle, ale po wciśnięciu pedału gazu brakuje uczucia porządnego wciśnięcia w fotel. Aby kierowca mógł poczuć więcej emocji, projektanci wyposażyli auto w elektroniczny generator dźwięku. Po przełączeniu sterowanego elektronicznie zawieszenia na tryb Sport we wnętrzu auta dużo silniej słychać więc warkot silnika. Szkoda jednak, że dźwięk ten mimo starań Koreańczyków brzmi nieco sztucznie.

Na pochwałę zasługuje za to dopracowane zawieszenie, które pozwala na dynamiczne pokonywanie zakrętów, a jednocześnie tłumi sporą część dziur i nierówności. Również sześciostopniowa przekładnia automatyczna, zwłaszcza w trybie Sport, dobrze daje sobie radę. W razie potrzeby jeszcze bardziej dynamicznych przełożeń biegi można też przełączać ręcznie za pomocą łopatek przy kierownicy. Auto jak na swoją moc nie ma też nadmiernego apetytu na paliwo. Podczas naszego testu Optima GT kombi spalała średnio 9,7 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Kia Optima otrzymała komplet pięciu gwiazdek. Auto ostrzega również kierowcę przed samochodami znajdującymi się w martwym polu lusterek. Komputer potrafi utrzymać samochód w pasie ruchu, a także w razie potrzeby samodzielnie wyhamować auto. Optimę można doposażyć w aktywny tempomat oraz w system, który w razie wypadku samodzielnie wezwie pomoc. W parkowaniu pomagają czujniki oraz kamera cofania – niestety, jakość obrazu nie jest w tym przypadku zbyt wysoka.

CENA

Najtańsza Kia Optima kombi z silnikiem o mocy 163 KM i manualną sześciobiegową skrzynią biegów kosztuje 93,9 tys. zł. Za wersję GT z automatem i dużo mocniejszym silnikiem trzeba już zapłacić co najmniej 153,9 tys. zł. Po dołożeniu kilku opcji, takich jak aktywny tempomat, sterowany elektronicznie panoramiczny szklany dach i system ratunkowy, łatwo zbliżyć się do granicy 175 tys. zł.

KONKURENCI

Audi S3, BMW M140i, Ford Focus RS, Honda Civic Type R, Mercedes AMG A45, Opel Astra OPC, Peugeot 308 GTI, Volkswagen Golf R, Volvo V40 T5. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl a156d6168f

Joanna Bojańczyk

To był ubogi krewny w rodzinie obuwniczej, bez prawa przekraczania granic sypialni. Nawet kapcie jednak ewoluują...

Kapeć

Napędzana przez modę namiętność do kolekcjonowania obuwia nie uwzględnia jednego ich gatunku – kapci. Ten plebejusz wciśnięty w kąt przedpokoju, niewychylający nosa z domowych czterech ścian zasługuje najwyżej na uwagę sprzedawców z góralskimi pamiątkami na Krupówkach. Zainteresowanie wzbudza głównie przed Bożym Narodzeniem, gdy najsłuszniejszym prezentem dla babć wydaje się para bamboszy, w których będą grzały nogi w pobliżu kaloryfera.

Reszta populacji, nie mówiąc o zaawansowanych wyznawcach mody, zdaje się domowych pantofli nie dostrzegać. Chociaż przecież każdy człowiek z ulgą wsuwa w nie stopy, zdejmując po pracy służbowe umundurowanie.

KAPEĆ CZY CO?

W historii mody zdarza się, że ten i ów gatunek ubrania przechodzi gwałtowną i nieoczekiwaną metamorfozę, po której z pobocza przeskakuje do głównego nurtu.

Oto skórzane klapki Gucci, model Princetown, wyściełane futrem kangura – hybryda klasycznych mokasynów Gucci ze sprzączką z przodu (bestsellerowy model od 50 lat) z domowym bamboszem ocieplonym futrem. To kapcie, klapki, buty? Trudno powiedzieć, ale i tak sukces tego modelu był nieuchronny po tym, jak kilka osobistości z kręgu fashion zaszczyciło nimi swoje stopy. Wprawdzie jak na buty letnie Princetown wydają się zbyt ciepłe, a zimą goła, zaledwie muśnięta futrem pięta wystawiona jest na chłód. Nic to. Ani potencjalne mankamenty, ani cena (ponad 4 tys. zł) nie były w stanie przeszkodzić karierze tego mutanta.

W internetowym sklepie Gucci artykułu chwilowo brak. Nic dziwnego, bo przecież pojawiły się na nogach Katie Holmes czy Jennifer Aniston. Na warszawskich ulicach dumnie obnosili je Dawid Woliński i Monika Olejnik.

Kapeć niejedno ma imię. Przy łóżku francuskiego eleganta będą stały ręcznie robione ze skóry pantofle portugalskiej firmy Mila Jack. Kształt balerynek dla pań, mokasynów dla panów. W sypialni dbającego o prestiż Amerykanina znajdzie się para skórzanych wsuwek z renomowanej pracowni Stubbs & Wootton, firmy z 80-letnią historią.

Miejsce tych ostatnich, wytwornych welurowo-lnianych, ręcznie szytych i haftowanych papuci jest, zdawałoby się, tylko w okolicach sypialni. Trzeba więc zrozumieć zaskoczenie reporterów, gdy wytężając sokoli wzrok, dostrzegli je na nogach sekretarza handlowego Wilbura Rossa, w czasie obrad Kongresu, gdy wygłaszał przemówienie Donald Trump.

Okazało się, że Ross nie jest jedynym człowiekiem, który przy okazji publicznych wydarzeń ma na nogach kapcie. „The New York Times" dostrzegł je u innego miliardera, niejakiego Edwardsa, który wystąpił w nich na weselu swego przyjaciela. Czy to przypieczętowało sukces aksamitnych pantofli? Być może tajemnicą jest wyhaftowany z przodu symbol, który można sobie zamówić z dowolnym napisem lub obrazkiem. Personalizacja jest obecnie bardzo modna.

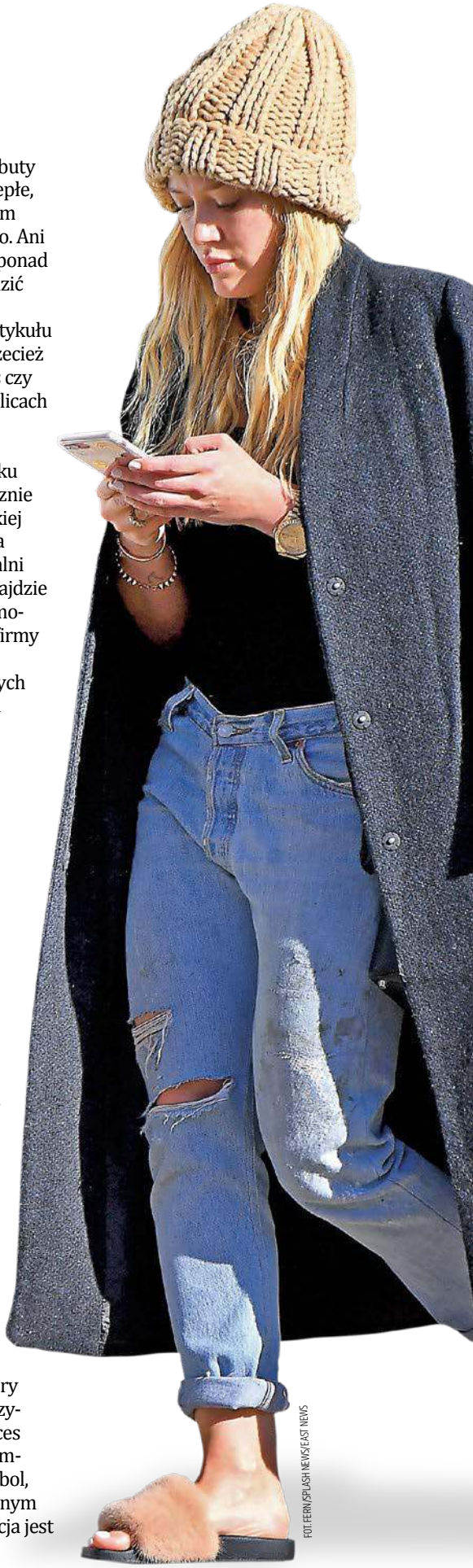

FOT. FERN/SPLASH NEWS/EAST NEWS

eprasa.pl a156d6168f

Tak czy inaczej, ponieważ zdjęcia nóg na Instagramie stały się popularne, razem z nimi moda na kapcie Stubbs & Wootton rozprzestrzeniła się na amerykańskich kampusach. Firma, która dotąd sprzedawała je w maleńkim sklepiku na Florydzie, teraz otwiera duży sklep na Manhattanie.

AXIS Z PUSZKIEM

Rozmaitość kapciowych gatunków nie kończy się na ekskluzywnych pantoflach za 600 dol.

Jedni stawiają na drewniane saboty, wpędzając w nerwicę sąsiadów piętro niżej, inni najlepiej czują się w basenowych klapkach z napisem „Sport". Damy aspirujące do nieśmiertelnego seksapilu Joan Collins z „Dynastii" (lata 80.) pozostały wierne atłasowym klapkom na obcasie, zwieńczonym z przodu okazałym puszkiem. Całość w kolorze różowym lub błękitnym.

story

Zimową porą większość populacji wybiera jednak ciepło i wygodę. Kapcie z szarego filcu z wyhaftowanym z przodu motywem szarotki na skórzanym spodzie doszytym charakterystyczną okrętką pozostają jednym z naszych czołowych artykułów eksportowych. Wersja na większy mróz – kapcie kożuchowe, również haftowane. Wyrób ręczny, trwały, naturalny, wyprodukowany lokalnie…

FUTRO W CIEPLE

Największym paradoksem w temacie kapci pozostają australijskie futrzaki Emu i Ugg. Buty obu marek wywodzą się z Australii, kraju, gdzie – zdawałoby się – japonki na gołą stopę całkiem wystarczą. A jednak emu i uggi służą tam jako kapcie.

W latach 90. australijscy surferzy nakładali je na zdrętwiałe z zimna kończyny po wyjściu z wody. Materiału na kożuchowe człapaki nie brakowało, bo owce to lokalna specjalność. Uggi nie wzbudzały zainteresowania do czasu, kiedy pokazała się w nich surfująca w Pacyfiku Cameron Diaz. Po niej włożyła je Kate Moss, za nią reszta fashionistek. Pokazywały się w nich w Kalifornii, gdzie klimat wskazywałby raczej na sandały. I buty chwyciły. Niezbyt ładne, ale nieskończenie wygodne i ciepłe, w krótkim czasie zawojowały świat, generując dziesiątki modeli i prowokując konkurencję do podróbek. Polskie ulice także są ich pełne. Sekret ich sukcesu zrozumie każdy, kto miał je na nogach. Można włożyć na gołą stopę, wyskakując z łóżka prosto na mróz. Swoją drogą zawsze się zastanawiałam, dlaczego nasi górale nie podjęli wyzwania. Mamy skóry baranie, a fason jest dziecinnie prosty.

Ci, którym w futrzakach byłoby za gorąco, wybiorą być może crocsy, uznawane za najbrzydsze buty świata. Zasługują w pełni na ten chwalebny tytuł, choć konkurencja jest duża. Kolorowe człapaki z dziurkami zdobyły miliony fanów na całym świecie. Zawojowały domowe pielesze, podbiły turystykę, Trzeci Świat i służbę zdrowia.

Fenomen ich popularności? Są tanie, wygodne, kolorowe, łatwe w utrzymaniu. Ważą tylko 170 g. Chociaż plastikowe, dzięki przepływowi powietrza przez dziurki nie kleją się do stopy, nie ślizgają i są elastyczne. Można je umyć i wydezynfekować, nie śmierdzą.

Firmę Crocks założyło w 2002 r. trzech Amerykanów: Scott Seamans, Georges Boedecker i Lyndon Hanson. Na wakacjach w Kanadzie zauważyli, że turyści noszą tam klapki firmy Foam Creations. Spodobało się im to, że można w nich chodzić po wodzie, po lesie, po piasku, są lekkie i natychmiast schną. Szybko kupili od Kanadyjczyków licencję. Dodali z tyłu pasek. Ponieważ buty przypominały paszczę krokodyla z profilu, nazwali je Crocks.

NIEMIECKI TURYSTA W EGIPCIE

W kategorii brzydkich butów klapki Birkenstock mogłyby ścigać się z crocsami, gdyby nie to, że tym niezbyt może ładnym, ale solidnym i zdrowym niemieckim sandałom, produkowanym od kilkudziesięciu lat, nie godzi się porównywać z plastikiem. Jako kapcie, turystyczne sandały, a nawet całoroczne obuwie birkenstocki nosi cały świat (z niżej podpisaną włącznie).

W ciągu ostatnich kilku lat przeszły nawet ewolucję od obuwia typu „niemiecki turysta na wakacjach w Egipcie" do artefaktu pokazów mody. Zmodyfikowane wersje wystąpiły na pokazach mody Celine i Giambattista Valli. Fenomenowi birkenstocków i ich globalnego sukcesu analityczny tekst poświęcił nawet amerykański „New Yorker".

Wreszcie gatunki zstępujące, żeby nie powiedzieć – ginące. Kapciami szkolnymi noszonymi w worku gnębiono pokolenia uczniów. Dobro pastowanych parkietów było nadrzędne dla władz oświatowych. Woźne były bezwzględne. W latach 70., żeby kapcie zmodernizować, zaprojektowano ich zamienniki – tzw. juniorki, które – uczniowie znienawidzili równie szybko jak kapcie. Dopiero niedawno wszechobecne buty sportowe i podłogi z PCV rozwiązały problem szkolnego obuwia.

Podobnymi uczuciami darzono kapcie muzealne, wojłokowe człapaki, zawsze przesiąknięte kurzem, które każdy zwiedzający musiał obowiązkowo nałożyć na buty, gdyż w muzeach również panował prymat podłogi. Ubogim krewnym i następcą muzealnych kapci w erze plastiku stały się niebieskie pokrowce, które musimy nakładać, odwiedzając chorych w szpitalu. Tak jak wiele rzeczy w Polsce, z jednorazowych stały się wielorazowe...

Oddając szacunek całej kapciowej licznej rodzinie, nie podajemy w wątpliwość użyteczności tego obuwia. Zwróćmy tylko uwagę, że ich zastosowanie powinno ograniczać się do sypialni i okolic. Gości, nawet niezbyt formalnych, przyjmujmy w butach. Trzeba być w butach nie tylko na weselu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a156d6168f

Walka o oddech

Katarzyna Pinkosz

Diagnoza jest jak wyrok, bo oznacza, że choremu zostały średnio trzy lata życia. Ze świadomością, że będzie miał coraz mniej powietrza. Nie ma leków, które mogą chorobę wyleczyć, ale są takie, które ją hamują

Lech Karpowicz kilka lat temu zaczął często chorować na zapalenie płuc. Przy którymś z kolei dociekliwy lekarz zwrócił uwagę, że są one nietypowe, bo zawsze bez gorączki. Zalecił badanie RTG klatki piersiowej, a gdy nie wykazało ostrych zmian w płucach – tomografię komputerową. Obraz z tomografii pokazał, że płuca nie przypominają już pianki składającej się z drobnych, delikatnych pęcherzyków płucnych wypełnionych powietrzem. Zamiast nich widać było zwłóknienia i blizny. Po wykluczeniu innych chorób lekarzowi udało się postawić diagnozę: idiopatyczne włóknienie płuc.

Przy tej chorobie pęcherzyki płucne zmieniają się w zbitą masę podobną do blizny np. po oparzeniu skóry. Powoduje to, że nie może przez nie odbywać się wymiana gazowa, a przez to do krwi dostaje się coraz mniej tlenu, co w konsekwencji prowadzi do niedotlenienia narządów: m.in. mózgu, serca, nerek. – Zwłókniała tkanka jest jak ściana, przez którą nie może przejść tlen – obrazowo tłumaczy dr Katarzyna Lewandowska, pulmonolog z Kliniki Chorób Płuc Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc w Warszawie.

Na idiopatyczne włóknienie płuc najbardziej narażone są osoby po 60. roku życia, mężczyźni, zwłaszcza palący papierosy. Zdarzają się jednak też zachorowania u osób młodszych i niepalących, gdyż przyczyna choroby nie jest znana. Stąd zresztą jej nazwa: idiopatyczne, czyli o nieznanej przyczynie. Choroba występuje rzadko. – Europejskie Towarzystwo Chorób Układu Oddechowego szacuje, że zapada na nią pięć osób na 100 tys., tak więc w Polsce mielibyśmy kilka tysięcy nowych zachorowań rocznie. Dokładna liczba chorych nie jest jednak znana – mówi prof. Jan Kuś, pulmonolog, kierownik I Kliniki Chorób Płuc w Instytucie Gruźlicy i Chorób Płuc.

PODSTĘPNE OBJAWY

Ponieważ choroba występuje rzadko, lekarz pierwszego kontaktu, do którego trafia chory, bardzo rzadko ją podejrzewa. Od pierwszych objawów do postawienia diagnozy mijają średnio dwa lata.

– Choroba zaczyna się bardzo podstępnie, zwykle pierwszy objaw to duszność: najpierw przy większym wysiłku fizycznym, np. po długim spacerze czy wejściu na trzecie piętro. Z czasem duszność narasta i problemem jest wejście na pierwsze piętro, potem już jakikolwiek wysiłek fizyczny. Jeszcze później duszność występuje nawet przy leżeniu. Drugi objaw to suchy kaszel. Lekarz, osłuchując słuchawką, słyszy trzeszczenia w płucach, takie same jak w niewydolności krążenia i zapaleniu płuc – tłumaczy prof. Kuś.

Pęcherzyki płucne zmieniają się w zbitą masę podobną do blizny np. po oparzeniu skóry. Do krwi dostaje się coraz mniej tlenu

Chorzy początkowo zadyszkę bagatelizują, uważają, że to wina wieku albo np. palenia papierosów. Lekarzowi pierwszego kontaktu zdarza się widzieć pacjenta z idiopatycznym włóknieniem płuc najwyżej raz na kilka lat. Dlatego jeśli chory ma duszność, to raczej podejrzewa u niego np. astmę. – Często trafiają do mnie chorzy z włóknieniem płuc, którym lekarz wcześniej zalecił inhalator z lekiem rozszerzającym oskrzela lub sterydem, by zlikwidować duszność. Takie leczenie nie przyniesie skutku, bo oskrzela nie są zwężone. To przecież płuca włóknieją – dodaje prof. Kuś.

Efektem bliznowacenia płuc jest to, że bardzo mocno spada ich pojemność. O ile u zdrowej osoby zmniejsza się ona rocznie o 30–50 ml (to fizjologia), o tyle w przypadku idiopatycznego włóknienia płuc chorzy tracą rocznie 200–400 ml pojemności życiowej płuc. Zwykle w momencie postawienia diagnozy choroba jest już tak mocno zaawansowana, że pacjent ma przed sobą średnio 3,5 roku życia. Z czasem tlenu zaczyna brakować tak, że chory po prostu się dusi. – Rokowanie jest gorsze niż w większości nowotworów złośliwych – podkreśla prof. Kuś.

Lech Karpowicz z diagnozą żyje już trzy lata. U niego włóknienie postępuje nieco wolniej. Dobry stan być może zawdzięcza temu, że zawsze prowadził aktywny tryb życia: jeszcze dwa lata temu z kolegami grał w siatkówkę. Dzisiaj na granie nie ma już szans, ale stara się być aktywny: chodzi na spacery, prowadzi samochód. – W czasie spaceru często muszę na chwilę przysiąść, ale potem idę dalej. Dwa lata temu zadyszka dopadała mnie, gdy wchodziłem na trzecie piętro, dziś już przy wchodzeniu na pierwsze. Widzę zmiany, ale nie jest ze mną jeszcze tak źle. Po trzech latach od diagnozy mój stan jest taki jak innych chorych po roku. Im często nawet trudno jest mówić, bo dostają zadyszki – opowiada.

Karpowicz jest szefem Towarzystwa Wspierania Chorych na Idiopatyczne Włóknienie Płuc IPF. W stowarzyszeniu zdarzają się chorzy, którzy żyją nawet osiem–dziewięć lat po diagnozie. To osoby, którym udało się zakwalifikować do badań klinicznych dwóch nowych leków – jedynych jak na razie, które wykazały skuteczność w leczeniu idiopatycznego włóknienia płuc.

Przez wiele lat nie było żadnych leków, które mogłyby przynajmniej zahamować włóknienie. Jedynym rozwiązaniem mogło być przeszczepienie płuc, jednak wykonuje się je bardzo rzadko. Po pierwsze, brakuje dawców. Po drugie, zabieg jest znacznie trudniejszy niż w przypadku przeszczepienia nerek czy wątroby. Po trzecie, starsi chorzy nie mają szans, by zakwalifikować się do przeszczepu. Gdy pojemność płuc jest już skrajnie niska, chorzy muszą korzy-

eprasa.pl a156d6168f

stać z tlenoterapii. Nie jest to łatwe, gdyż na wypożyczenie koncentratora w ramach NFZ często trzeba czekać. Tlenoterapia nie hamuje zresztą postępu choroby.

NADZIEAYCH

Nadzieją jest pojawienie się dwóch nowych leków, które hamują proces włóknienia: pirfenidonu i nitenadanibu. Pierwszy z nich został zarejestrowany w Europie już w 2011 r., drugi w 2015. Stosowanie obu jest obecnie rekomendowane przez towarzystwa naukowe. Nowe leki co prawda nie wyleczą choroby, są jednak w stanie ją zahamować. – Dla porównania: jeśli nieleczony chory traci rocznie ok. 200 ml pojemności płuc, to gdy dostanie leki przeciwwłóknieniowe, traci o połowę mniej: ok. 100 ml. Nie zatrzymuje to choroby, ale ją spowalnia, a więc wydłuża życie – tłumaczy prof. Kuś.

Obydwa leki są już stosowane w większości krajów UE. W Polsce były praktycznie niedostępne (miesięczny koszt terapii to ok. 8 tys. zł). Jeden z nich od stycznia jest już refundowany i wkrótce mają go dostać pierwsi chorzy.

– Bardzo się cieszymy, bo do tej pory nie mogliśmy im niczego zaoferować, choć wiedzieliśmy, że te leki są dostępne w innych krajach. Chcielibyśmy, by była też możliwość stosowania drugiego z leków. Jest możliwe, że chorzy, którzy nie zareagowali na pierwszy, zareagowaliby pozytywnie na drugi lek, gdyż mechanizm ich działania jest inny – dodaje dr Lewandowska.

Eksperci podkreślają, że obydwie terapie mają podobną skuteczność. Każda ma pewne skutki uboczne, może nie być dobrze tolerowana przez pacjenta lub może on na nią nie zareagować. Dlatego ważne jest to, żeby lekarze mieli możliwość wyboru. – Dwa leki to nie jest za dużo, chorzy, którzy np. nie tolerują jednego leku, powinni móc skorzystać z drugiego. Są choroby, w przypadku których jest do wyboru kilkanaście leków – mówi dr Kuś.

Nowe terapie są drogie, jednak dużo kosztują też wielokrotne pobyty chorych w szpitalu i tlenoterapia. Nowe leki mają potwierdzoną skuteczność. Jednak na pierwszy z nich chorzy w Polsce czekali aż sześć lat. Wielu nie doczekało, zmarli. Ile lat trzeba będzie czekać na drugi?

– Na ochronę zdrowia wydajemy bardzo mało w porównaniu z innymi krajami UE, dlatego dostępność innowacyjnych leków w Polsce jest niedostateczna. Odbywa się to kosztem chorych, trzeba o tym mówić. W Czechach czy na Węgrzech oba leki są dostępne. Dlaczego Czechy i Węgry stać na nowe leki, a Polskę nie? Czy to bogatsze kraje niż Polska? Nie sądzę – mówi prof. Kuś. Podkreśla, jak frustrująca jest dla lekarza sytuacja, gdy wie, że są skuteczne leki, a nie może ich podać choremu.

Lech Karpowicz marzy, że pojawi się lek, który nie tylko będzie hamować postęp choroby, lecz także ją wyleczy. Chciałby, by wszyscy chorzy mieli dostęp do nowoczesnych sprawdzonych terapii, przenośnych koncentratorów tlenu, programów rehabilitacyjnych. W medycynie dokonuje się w ostatnich latach ogromny postęp. Dobrze by było, by polscy chorzy mogli z niego korzystać, a nie tylko o nim czytać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

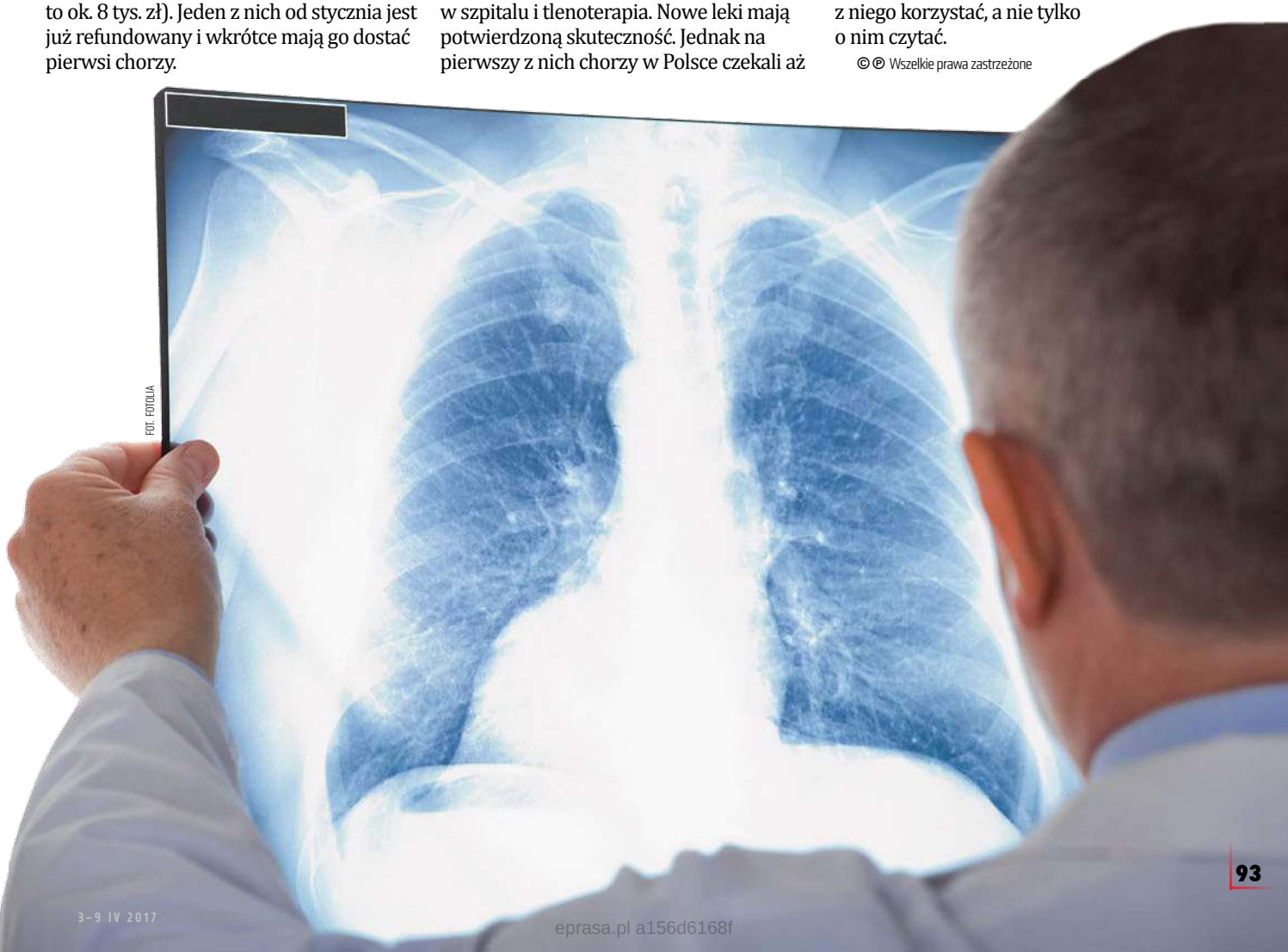

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl a156d6168f

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Słodki smak słowiańszczyzny

Archeologia – zarówno zwykła, jak i doświadczalna – pokazuje, że na słowiańskich stołach pojawiało się wiele słodkości. Nie tylko nieprzypominających dzisiejszych produktów Wedla ani Starbucks Coffee, lecz także przyrządzanych bez kakao i cukru. Dla dzisiejszego człowieka potrawy te mają niepowtarzalne smaki, w dodatku przygotowywane są z prostych składników. Większość z nich tysiąc lat temu pieczona była w prymitywnych piecach kloszowych, z gliny lub z kamieni, bez trudu jednak uwarzymy je na zwykłej kuchni.

Uwagę zwracają przede wszystkim obrzędowe kołacze, przygotowywane – jak podają Hanna i Paweł Lisowie – z mąki pszennej rozrabianej na zakwasie, z dodatkiem miodu oraz suszonych śliwek węgierek. Często też z dodatkiem mleka.

Ciekawy smak ma bryjka owsiana na słodko – z wody, mąki owsianej, śmietany, miodu i smażonych w miodzie owoców. Nieśmiertelna wydaje się kasza jaglana (czyli z prosa) z owocami – gotowana w wodzie, z dodatkiem mleka. Po podgotowaniu dodaje się do niej pokruszone orzechy laskowe lub włoskie, suszone śliwki węgierki, jabłka, doprawia żurawiną, gotuje, dolewając do smaku trochę miodu.

Inne rodzaje słodkości to oczywiście polewki, np. z jabłek na serwatce. Jabłka po pokrojeniu, obraniu i usunięciu pestek gotujemy, aż zrobią się miękkie. Później zaprawiamy je jeszcze śmietaną zmieszaną z kilkoma żółtkami i mąką. Bardzo prostą, choć nieco dziwną potrawą jest groch z miodem – najpierw moczony w wodzie, gotowany, na koniec doprawiany miętą i słodzony miodem. Nawet dziś jest to świetna przystawka do różnych mięs albo gulaszu.

Do zrobienia w każdym domu, jak podaje Małgorzata Krasna-Korycińska, jest słowiański twaróg na słodko przygotowywany z jabłek duszonych w niewielkiej ilości wody, a potem zaprawianych miodem. Kiedy się gotują, mieszamy ser ze śmietaną, przygotowując twaróg, następnie dodając do niego trochę miodu i cynamonu. Po zmieszaniu go z jabłkami można tę masę podawać na typowym słowiańskim podpłomyku pieczonym na blasze lub na kamieniu w ognisku.

Kolejna wręcz banalna potrawa to ogórki z miodem. Obieramy je ze skórki, przekrajamy wzdłuż, polewamy miodem. I... gotowe.

Ciekawym spostrzeżeniem archeologów eksperymentalnych jest to, że dawni Słowianie znali smażone i wędzone owoce, które byłyby przodkami późniejszych konfektów i cukrów z okresu baroku. Skomplikowanym deserem są np. czereśnie, które – po usunięciu pestek – bardzo powoli wysmażamy na małym ogniu. Kiedy zaczynają gęstnieć, dodajemy kwiaty czarnego bzu oraz miód, przy czym – jak podają Hanna i Paweł Lisowie – najlepiej zbierać kwiatki wprost do garnka z konfiturą, a w żadnym wypadku nie należy ich płukać.

Różne wariacje słowiańskich dań, ale wzbogacone o dodatki z późniejszych epok, przetrwały w książkach kucharskich z XVII w. Na przykład w „Modzie bardzo dobrej...", czyli kuchni radziwiłłowskiej, mamy kaszę jaglaną zapalaną i drugą – pieczoną, której przepis podaję poniżej. ©℗

FOT. FOTOLIA

Słodka pszenica

Pół kilograma łuskanych ziaren pszenicy moczymy przez cały dzień i całą noc w wodzie. Następnie wodę odlewamy, a ziarna gotujemy w mleku, aż będą miękkie. Dodajemy kilka garści suszonych śliwek węgierek, łyżkę maku, garść orzechów laskowych. Czekamy, aż ostygnie, i podajemy na zimno.

Kasza pieczona z miodem

Kilogram kaszy gryczanej gotujemy na mleku. Następnie dorzucamy parę jajek lub samych żółtek (księga nie mówi ile, ale prawdziwy Sarmata gardzi szczegółami) i trochę szafranu, kilka łyżek cukru oraz cynamonu. Nalewamy kieliszek różanej wódki, dorzucamy garść rodzynek. Dolewamy też młodego, dobrego miodu – im więcej, tym będzie słodsza, ale na początek wystarczy jedna szklanka lub dwie. Mieszamy, następnie w zakrytym garnku wstawiamy do piekarnika i trzymamy w temperaturze ok. 180 st. C przez godzinę. W staropolskim przepisie z XVII w. kaszę pieczono w garnku z pokrywką, wstawionym w palenisko i przysypanym z wierzchu żarem. Dzisiaj najlepszy byłby do tego piec chlebowy. Nie przejmujemy się stratami – za pierwszym razem kasza prawie zawsze się przypiecze.

eprasa.pl a156d6168f

PIOTR GALIŃSKI I PIERWSZE KROKI W TAŃCU Z GARAMI

Trzy razy podchodziłem do tego, żeby w ogóle zacząć gotować. Pierwszy raz w wieku przedszkolnym, gdy uprosiłem mamę gotującą obiad, by pozwoliła mi coś przyrządzić. Wrzuciłem kawałek mięsa do wody, ale szybko straciłem cierpliwość, odszedłem od garnka i rozstałem się z gotowaniem na 20 lat. Kolejne nieudane podejście zaliczyłem na studiach, gdy wprowadziłem się do domu moich znajomych. Okazało się, że żona mojego przyjaciela wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, a ja zostaję w roli babysittera siedmioletniego dziecka i głównego kucharza jej męża. Przyjaciółka przed wyjazdem pokazała mi tylko, jak się robi rosół. Kolega zajmował się firmą, a ja musiałem zająć się gotowaniem. Za pierwszym razem wyszła mi kartoflanka na rosole (gdzieś przeczytałem, że przesoloną zupę można odratować wrzuceniem kilku ziemniaków), którą jedliśmy trzy dni.

Trzecie podejście do gotowania odbyło się w moim domu w mazurskiej głuszy. Na kursie dla właścicieli gospodarstw agroturystycznych dowiedziałem się, że muszę serwować dania kuchni regionalnej. Chodziłem na kursy gotowania, zbierałem przepisy, a po latach efektem była wygrana w konkursie na najlepsze gospodarstwo agroturystyczne w Polsce. Od tego momentu moja przygoda z gotowaniem potoczyła się dużo szybciej, wydałem nawet książkę „Taniec z garami", która sprzedała się w całym nakładzie.

Wiosenna zupa z pokrzyw

Pokrzywa jest dziś niedoceniana. Kiedyś była jedną z najbardziej oczekiwanych na wsiach nowalijek, a gospodynie potrafiły wyczarowywać z niej różne cuda. Wszyscy czekali przede wszystkim na zupę z pokrzyw. Przygotowujemy ją na bazie bulionu (może być ugotowany na samych warzywach). Zrywamy wierzchołki pędów pokrzywy (na litr bulionu potrzebujemy ok. 2 dużych garści), płuczemy pod bieżącą wodą i sparzamy wrzątkiem, by nie kłuła w ręce przy krojeniu, a następnie siekamy. Z bulionu wyciągamy warzywa, marchew kroimy w kostkę i dodajemy do zupy. Pokrzywę przesmażamy na łyżce masła (ale tylko chwilę) i dodajemy do wywaru. Zupę zabielamy niskoprocentową śmietaną lub jogurtem. Podajemy z osobno ugotowanymi ziemniakami, zalanymi na talerzu zupą, i z gotowanym na twardo jajem. ©℗ ***oprac. raw***

Piotr Galiński jest tancerzem i choreografem, był jurorem „Tańca z gwiazdami", na Mazurach prowadzi gospodarstwo agroturystyczne.

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Konopie, wystąp!

Czym byłaby wiedza o żywieniu, gdyby co jakiś czas nie wykreowała nowego przeboju? Na ile to sprawka poważnej nauki, na ile mediów spragnionych kolejnego superfoodu, trudno powiedzieć.

Za sobą mamy jarmuż, bulgur, quinoę i topinambur. Teraz pora na coś, o czym dotąd słyszeliśmy w innym kontekście: konopie. Sznur lub worek konopny odłóżmy na bok, nie będziemy także rozwijać tematu kremów do twarzy. Okazuje się jednak, że niepozorne ziarenko konopi siewnych ma wiele do zaoferowania w sprawach jedzeniowych.

Jest tak bogate w białko, że w diecie wegetariańskiej lub wegańskiej z powodzeniem może zastąpić mięso lub ryby. Zawiera cały wachlarz minerałów: miedź, żelazo, magnez, potas, wapń, fosfor. To wszystko przyczynia się m.in. do wzmocnienia włosów, paznokci i skóry, a nawet działa na poprawienie humoru.

Jednak ziarna konopi stają się naprawdę interesujące dopiero tam, gdzie chodzi o równowagę między kwasami omega-3 i omega-6. Omega-3 są antyoksydantami, które walczą z wolnymi rodnikami (przyczyna starzenia) oraz regulują poziom cholesterolu. W odróżnieniu od rozmaitych rodzajów oleju i oliwy ziarenka konopi nie mają zbyt dużo omega-6, które w dużej ilości mogą wywołać stany zapalne. Taka równowaga jest rzadko spotykana w innych produktach spożywczych. W 100 g ziaren konopnych znajduje się aż

FOT. FOTOLIA

28 g błonnika, który poprawia funkcjonowanie układu pokarmowego. A na dodatek nie zawierają one glutenu.

Co zrobić z tym życiodajnym ziarnem? Jego subtelny, lekko ziołowy smak i miły zapach sprawiają, że sprawdza się zarówno z daniami, jak i deserami. Można je dodawać do koktajli owocowych (zwanych ostatnio smoothie) albo mlecznych, można posypać nimi sałatę, tartę lub lasagne. Mąkę z ziaren konopi polubią bezglutenowcy, mleko zainteresuje tych, którzy nie trawią laktozy.

Ziarna konopi, które można kupić w sklepach ze zdrową żywnością lub w Internecie, występują w trzech formach: ziaren łuskanych, niełuskanych oraz w formie mączki. Łuskane mają większą zawartość białka oraz kwasów tłuszczowych.

„Zawartość nienasyconych kwasów tłuszczowych w nasionach konopi siewnych jest wyższa niż w jakiejkolwiek innej roślinie na świecie. Zawierają one ich więcej niż siemię lniane czy orzechy!" – podaje blog Sante.

Nie pozostaje nic innego jak na najbliższy obiad zamiast pomidorowej i pieczeni zaserwować rodzinie quinoę z topinamburem i jarmużem, a do tego bulgur posypany ziarnami konopi. Smacznego!

PS Konopie siewne to nie to samo co marihuana. ©℗

eprasa.pl a156d6168f

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Obamacare jeszcze poczeka

MARCINOW Stało się. Obamacare – cierń w oku republikanów – kolejny raz przetrwała frontalny atak w Izbie Reprezentantów. Donald Trump podczas kampanii wyborczej twierdził, że zapewni Amerykanom alternatywny oraz „fantastyczny" system opieki zdrowotnej. I co?

MATTHEW TYRMAND: I nic, polityka. Myślę, że błędem było wyciąganie tego tematu tak szybko, jeszcze przed reformą podatkową. Biały Dom czuł presję właśnie ze względu na obietnice kampanijne, ale nie było praktycznie żadnych szans, żeby przeprowadzić gruntowne przemodelowanie świadczeń zdrowotnych przy obecnej arytmetyce w Izbie. Szczególnie że w ostatniej chwili przeciw zmianie Obamacare zagłosowała konserwatywna Grupa Wolnościowa (Freedom Caucus).

To chyba jeden z ciekawszych zwrotów w tej sprawie. Jak to możliwe, że komuś wewnątrz partii mogło zależeć na obronie systemu, który nazywano wprost „socjalistycznym"?

To nie takie proste, jakby się wydawało większości mediów, które sprzedają narrację w stylu: „Największa porażka Trumpa". Grupa Wolnościowa została założona na podstawie konserwatywnej i alt-prawicowej rewolucji TEA Party, gdy widać już było, do jakiego lewicowego lunaparku zmierza polityka Obamy. Obecnie ma kilkudziesięciu członków w Izbie Reprezentantów, których łączy antyestablishmentowy – sprzeczny z waszyngtońską logiką „business as usual" – punkt widzenia. Wielu republikanów twierdzi, że ideał wolnego rynku i ograniczonej roli państwa jest im bliski, ale ich głosowania sugerują inaczej. Ci ludzie nie uznają pod tym względem kompromisów i dlatego zagłosowali przeciw reformie, która nie znosiła Obamacare, de facto zastępując obecne rozwiązanie jego podobną mutacją. Na domiar złego pisaną za zamkniętymi drzwiami, bez udziału ludzi, których dotyczy. Dlatego prawdziwą twarzą tej porażki nie jest Donald Trump, ale Paul Ryan, który optował za półśrodkami. Paradoksalnie cieszę się, że wniosek elit republikańskich przepadł. Obamacare jest tak znienawidzona, że i tak niedługo dożyje swoich dni, a wtedy będzie można pomyśleć nad realną, a nie pozorną alternatywą.

Łatwo ci teraz mówić, że odium porażki spadnie na barki Ryana, ale to Donald Trump przedstawiał się przez cały okres kampanii wyborczej jako człowiek, który zawiera „najlepsze deale". Coś się w tej narracji sypie.

Na pewno jego prezydentura nie zaczyna się od miesiąca miodowego, ale mówimy przecież o pierwszych miesiącach. Zniesienie Obamacare – choć bardzo ważne – to jeden z wielu punktów wyborczej agendy, którą obecnie realizuje. Nie zapominaj również, że nie kto inny, ale właśnie spiker Paul Ryan był jednym z najzacieklejszych republikańskich przeciwników kandydatury Trumpa. Jego osłabienie nie musi wyjść na złe Białemu Domowi. To nie jest sojusznik populistycznego prezydenta i tylko stara się udawać, że gra w jednej drużynie. Rzeczą znacznie istotniejszą, i w dużej mierze przemilczaną za oceanem, jest proces nominacji nowego sędziego Sądu Najwyższego, o którą ubiega się konserwatysta z krwi i kości – Neil Gorsuch.

Republikanie od ponad roku walczą z demokratami o miejsce, które zwolniło się po śmierci Antonina Scalii.

Walczą i moim zdaniem wygraną mają w kieszeni. Gorsuch śpiewająco przeszedł kilkunastogodzinne odpytywania, a jego nominacja przy stosunkowo młodym wieku oznacza ok. 30-letnią kadencję w duchu zbliżonego do Scalii konstytucjonalizmu i federalizmu. Zresztą słuchanie samego przesłuchania było jak miód na uszy. Lewicowi aktywiści zarzucali mu: „Gorsuch nie troszczy się o robotnika, ale o samo prawo". A o co ma się troszczyć sędzia Sądu Najwyższego, jeśli nie o prawo? Pod tym względem, spoglądając na amerykańską politykę, mamy chwilową porażkę elit republikańskich i odroczenie realizacji jednej z obietnic Trumpa, ale na dłuższą metę to właśnie nominacja nowego sędziego okaże się ważniejsza. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

eprasa.pl a156d6168f

WYWIAD Z WYKLĘTYM!

ŻOŁNIERZ „ŁUPASZKI" O PIEKLE, JAKIE ZGOTOWAŁO MU UB

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA DO RZECZY

NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Nikołaj Iwanow – Operacja polska NKWD / **Piotr Zychowicz** – **Syberyjskie polowanie na Polaków** / Robert Gerwarth – Kulisy zamachu na Heydricha / **Sławomir Cenckiewicz** – **Kłamcy katyńscy z LWP** / Marian Zacharski – Zabójcze kobiety ochrany / **Arkadiusz Karbowiak** – **Pakt WiN-UPA** / Sławomir Koper – Tajemnice kobiety faraona

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl a156d6168f

OKIEM BLOGERKI

Korpusgate

KATARYNA

BOGDAN KLICH: *PiS wycofuje nas z Eurokorpusu. To tak, jak gdyby Polska zdecydowała się wystąpić z UE i chciała pozostać krajem stowarzyszonym.*

29 marca 2017 r. Dzień, w którym cała Polska dowiedziała się o istnieniu ciała o nazwie European Corps, czyli po polsku – Eurokorpus. Dowiedziała się tylko dlatego, że Polska zrezygnowała z ubiegania się o status państwa ramowego w Eurokorpusie. Nie będę tu udawać, że znam się na wojsku, ale wystarczy Internet, żeby dowiedzieć się trochę o ciele, z którego chce nas wyprowadzić Macierewicz, z jego oficjalnej – choć chyba zbyt rzadko aktualizowanej – strony. Obecnie członkami ramowymi – czyli takimi, jakimi mieliśmy wkrótce zostać – są Francja (34 proc. personelu), Niemcy (29 proc. personelu), Hiszpania (20 proc. personelu), Belgia (16 proc. personelu) i Luksemburg (dwóch żołnierzy w Kwaterze Głównej). Krajami stowarzyszonymi – czyli takimi, jakimi nadal pozostaniemy – Grecja (dwóch oficerów), Włochy (dwóch oficerów), Turcja (trzech oficerów) i Rumunia (dwóch oficerów). Polska oddelegowała 120 żołnierzy.

Wiadomo, że dla większości mediów każda decyzja Macierewicza będzie powodem do histerii

Wcześniej członkami stowarzyszonymi Eurokorpusu były Austria, Kanada i Finlandia, ale zrezygnowały. Czytelnik może więc sobie sam policzyć, ile państw członkowskich UE i NATO nie jest nawet stowarzyszonych z Eurokorpusem, w którym członkostwo jest rzekomo tak kluczowe dla naszego bezpieczeństwa i sojuszy. Kto jak kto, ale były minister obrony narodowej Bogdan Klich powinien to wiedzieć i nie wygłupiać się takimi komentarzami. Jednak dlaczego właściwie miałby zrezygnować, gdy wiadomo, że dla większości mediów każda decyzja Macierewicza będzie powodem do histerii – nawet gdy samo wyjaśnienie nie wydaje się nieracjonalne, rząd chce się skoncentrować na wschodniej flance NATO?

Jak wspomniałam, nie znam się na wojskowości, więc nie zamierzam decyzji Macierewicza ani bronić, ani jej krytykować i nawet nie czuję się z tym źle, bo przecież nie o jej merytoryczną ocenę chodzi w kolejnej aferze. Tyle że „gra się tak, jak przeciwnik pozwala", a przeciwnik pozwala Macierewiczowi na bardzo niewiele. I ta histeria była do przewidzenia, można się było do niej komunikacyjnie przygotować, zamiast dyskutować na Twitterze z oficjalnego konta MON z oficjalnym kontem Eurokorpusu na temat tego, iż „nie jest prawdą, że Polska wycofuje się z Eurokorpusu. Polska zrezygnowała z ubiegania się o status państwa ramowego w dowództwie Eurokorpusu oraz stopniowo zredukuje w perspektywie 3–4 lat swój udział".

Nie ma co się bawić w urągające inteligencji czytelnika eufemizmy, gdy się faktycznie stopniowo wycofujemy. Zakładam, że jest to uzasadnione i racje da się rzeczowo przedstawić. Jeśli decydent, zamiast bronić swojej decyzji, próbuje wmawiać, że wcale jej nie podjął, to nawet życzliwy obserwator może zacząć w zasadność tej decyzji wątpić. Tak się żadnej wojny na narracje nie wygra. ©℗

PODSŁUCHANE

Grzesiu, poczekaj

Grzesiu, masz chwilę?
Nie, Rysiu, nie mam, bardzo się spieszę.
Ale poczekaj, poczekaj, chciałem pogadać chwilkę...
Słuchaj, jutro, pojutrze może, za dwa tygodnie najlepiej, nie mam czasu teraz, na manikiur idę.
Nie wiedziałem, że robisz manikiur.
Nie robię. Pierwszy raz idę.
Aha. Bo wiesz, powoli się wybory samorządowe zbliżają i pomyślałem, że coś ustalimy.
A co ty chcesz ustalać?
No, bo ja wiem... Jaki podział miejsc na listach, naszych wspólnych, i takie tam...
A nie, podziałem miejsc to się w ogóle nie przejmuj.
Nie?
Nie, ja już podzieliłem. Sprawiedliwie.
Aha. No, a pokazałbyś...
Oczywiście, Rysiu, że ci pokażę, jakoś tak w przyszłym roku na wiosnę.
A wcześniej byś nie mógł?
Nie, wcześniej jestem zajęty.
Czym?
Mówiłem ci już, mam manikiur.
A przywództwo opozycji? Kto stanie na czele?... Grzesiu! Grzesiu! Poczekaj!...
Rysiu, puść tę nogawkę, bo mi spodnie porwiesz, a to drogie rzeczy są. Skontaktuj się z moim sekretariatem, oni cię umówią na audiencję.

©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Wielka Brytania dzisiaj tym listem, oczywiście wcześniej referendum, rozpoczęła proces wychodzenia ze strefy euro".

RYSZARD PETRU *na antenie Radia TOK FM*

eprasa.pl a156d6168f

fot. Jerzy Gumowski

A Big Gambler

Unijne przepychanki marcowe, kiedy to Bruksela *„olała”* kandydata PiS–u, Jacka Saryusz–Wolskiego, i właściwie *„przez aklamację”* wybrała Kaczora Donal… pardon: Kaszuba Donalda, pudla Angeli, żeby zrobić *„kuku”* naszemu słowiańskiemu *„Kaczorowi”* — zakończyły się nie wiadomo czyim triumfem. Premier Szydło, wróciwszy na ziemię ojczystą z tego pola bitwy *„za wolność naszą i waszą”*, ogłosiła *„zwycięstwo zasad”* przynależne regulaminowo Orłu Białemu, a więc moralną wiktorię, za co pogroził jej prezydent Francji: *„ — Wy macie zasady, my mamy fundusze strukturalne”*, a to znaczyło: my (oś Berlin–Paryż) rozdajemy karty w tych finansowych gierkach. Kredytowe karty, *„naturellement”*. Czyli: wal się, *„ma chère”*, bo *„kasą”* (*„l'argent”*) dysponują inni, *„równiejsi”*. Lecz ze strony PiS–u jakoś nie słyszano wtedy płaczu, pisowcy miny mieli w tej sprawie pogodne, co konsternowało obserwatorów, bo albo to było *„robienie dobrej miny do złej gry”*, albo satysfakcja prawdziwa, nieudawana. Stąd pojawiła się w eterze (i w druku takoż) ciekawa *„spiskowa teoria dziejów”*, i mamy obecnie dwie hipotezy na temat bitwy brukselskiej: prostolinijną (jakoby bliższą *„realu”*) tudzież par excellence makiaweliczną.

Według pierwszej wersji było tak jak się widziało na ekranie telewizora lub monitorze laptopa: *„Prezes”* nie potrafił dłużej tłumić publicznie swej animozji wobec *„Ryżego”*, tedy kazał swym pretorianom ogłosić, iż III Rzeczpospolita nie poprze swego rodaka paskudnika i szalbierza, bo wysuwa kandydaturę swego rodaka rycerza, pełnego cnót. Pisowcy wszczęli huczną kampanię proSaryuszową, bijąc w bębny i dmąc w trąby na cały kontynent, a także licząc *„szable”* (z rozdzielnika Grupa Wyszehradzka zorbanizowana, a innych się skaptuje dyplomacją talleyrandowską), jednak bez efektów, nawet Republika San Escobar nie oddała głosu za nami. Dla Platformy, .Nowoczesnej, Razem i PSL był to moment euforii, strzelały korki szampanów, rodziły się brawurowe plany *„konstruktywnego wotum nieufności”*, tryskały dowcipy o *„pogonieniu kota”* graczowi, który ma kota jako współtowarzysza życiowego jedynego, układano *„Prezesowi”* polityczny nekrolog.

Hipoteza alternatywna mówi, że w tym samym czasie ów gracz — wytrawny taktyk/strateg — zacierał ręce, bo jego misterna intryga się udała, odniósł więc kolejny polityczny triumf. Wiedział bowiem od miesięcy, że Tusk jako szef Rady Europejskiej jest w Brukseli *„cieniasem”*, ma niezbyt szerokie zaplecze polityczne, może więc być przez mocarzy zrzucony ze stołka. Szanse Tuska obliczano jak 51:49, swego rodzaju *„remis ze wskazaniem”*. Cóż zrobiłby Tusk, gdyby tam przegrał? Mógłby wrócić do kraju i jednoczyć cherlawą, poszatkowaną opozycję, stając na czele silnego kontrpisowskiego bloku, a wtedy *„koniec żartów, panowie!”* — gra sejmowa i uliczna to nie byłaby już śmieszna zadymowo–manifowa młócka, tylko masakra! Czyli ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje *„Kaczor”*. Cóż więc trzeba było zrobić? Należało zagwarantować Tuskowi kolejną brukselską kadencję. Jak? Rozwścieczając unijnych bonzów torpedowaniem jego kandydatury, doprowadzając ich do *„białej gorączki”* antywarszawskiej, detonując w nich chętkę przywalenia *„faszyście”* nadwiślańskiemu. Słowem: Bruksela zatańczyła tak, jak jej zagrał Makiawel z ulicy Nowogrodzkiej.

Ci, co obstają przy hipotezie spisku, sądzą, że mają na poparcie swych racji argumenty silne, bo logiczne i historyczne trudne do odparcia. Czyż Kaczyński nie udowodnił już kilka/kilkanaście razy jak przebiegłym jest graczem, wirtuozem politycznej taktyki i strategii, czempionem realizowania *„missions impossible”*? Gdy do wybo-

∞

Adam Mickiewicz:
„Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem…”

∞

rów prezydenckich desygnował nikomu nieznanego *„młodziaka”*, każąc mu pokonać urzędującą *„głowę państwa”*, której sondażowe poparcie wynosiło regularnie 65–75% — nawet ludzie z kręgów pisowskich uważali to za szaleństwo, za bezsensowny ruch. A jednak *„Gajowy”* został wydudany spod Żyrandola, bo był *„mocarzem na glinianych nogach”*, którą to słabość (a co za tym idzie: szansę) dostrzegł i perfekcyjnie rozegrał w kampanii wyborczej pisowski faraon. Beata Szydło była również kompletnym *„nonejmem”*, jej osadzenie na fotelu prezesa rady ministrów mogło się wydawać błędem obsadowym bliskim granicy nonsensu, tymczasem od samego początku urzędowania, od pierwszych minut, *„punktowała”* dla PiS kapitalnie, zyskując podziw i szacunek swą klasą. Dziś nawet Platforma i Bruksela nie mogą przeczyć, że pani premier to wielka dama polityki RP. A przecież dopiero co wyjął ją ze swego kapelusza za uszy mistrzowski magik antySalonu.

Ten sam szachista dał opozycji mata inicjatywą 500+. Kwękanie na nią jest cichawe, pokątne, wymuszone, argumenty krytyczne są kiepskie (*„obciążenie dla budżetu”*, *„tłumienie przedsiębiorczości i pracowitości”*, *„dawanie ryby, a nie wędki”*, etc.), zaś sondażowe zyski PiS–u trwałe, dobrze rokujące na przyszłe wybory. Również krzywa demograficzna drgnęła wzwyż dzięki 500+, i dałby Bóg, aby ta tendencja rosła, chroniąc państwo od katastrofy populacyjnej. Wiadomo, że nigdzie na świecie nie ma rządu, który by nie popełniał błędów jakichkolwiek, mylenie się jest wpisane w istotę oraz w mechanizm rządzenia, jednak PiS robi tych błędów niedużo i są niewielkie (bardziej wizerunkowe niż praktyczne), chyba że kupi się narrację Salonu o mordowaniu wolności, spowodowaną dyscyplinowaniem przez PiS rozpasanego środowiska sędziowskiego (mocno jeszcze zaesbeczonego postpeerelowsko) i skutecznym klinczowaniem Trybunału Konstytucyjnego (tego rzeplińskiego), który podług chytrych planów Salonu miał werdyktami blokującymi każdy ruch rządu uniemożliwiać nowej władzy kierowanie państwem, albo że wyznaje się tezę ortodoksyjnych wolnorynkowców, iż polityka ekonomiczna PiS–u to czysty socjalizm (Michał Szułdrzyński: *„Partia rządząca jest zlepkiem antykomunizmu, społecznej chadecji i silnych wątków socjaldemokratycznych okraszonych katolickim tradycjonalizmem”*, 2017). Jednak generalnie nie widać naprawdę dużych wpadek PiS–u podczas jego drugiej „kadencji” (pierwsza to lata 2005–2007, pełna dużych błędów). Ten trwający miesiącami bieg przez płotki wypadł dla władz nieomal celująco — *„Kaczor”* pokonał ów dystans jak Sokół, Orzeł lub Jastrząb, nie zaś jak człapiący kaczor.

Znajdą się może tacy, którzy po doczytaniu do tego miejsca zarzucą mi, iż piszę laurkę dla Jarosława Kaczyńskiego. Lecz moi stali Czytelnicy wiedzą, że nigdy nie byłem lizusem (również w PRL–u) i pamiętają rozliczne moje teksty z (kolejno) **„Najwyższego Czasu!”**, **„Tygodnika Solidarność”**, **„Gazety Polskiej”**, **„Uważam Rze”** i **„Do Rzeczy”**, które burzyły panu Kaczyńskiemu krew, bo nie oszczędzałem piórem ani jego formacji politycznych, ani jego samego. Nadto wciąż mnie wkurza językowe niechlujstwo *„Prezesa”* (wszystkie te notoryczne *„robiom”*, *„postulujom”*, *„głosujom”*, *„debatujom”*, *„zmierzając tom drogom”*, etc.), i nie uważam, by alibi stanowił dlań fakt, że mnóstwo publicznych figur III RP (od akademików i celebrytów, po prawników, lektorów i parlamentarzystów) używa *„języka polskawego”* (definicja prof. Wiesława Godzica) miast ojczystego. Wstrząsnęło mną, gdy prezydent Andrzej Duda (były wykładowca akademicki, ma tytuł doktorski) kaleczył mowę ojczystą przemawiając (10 marca) w Siemianowicach do robotników: *„ — Naprawiamy dzisiaj Rzeczypospolitą!”*. Tragiczne. Jeden z najważniejszych dygnitarzy RP nie umie odmieniać jednego z najważniejszych polskich wyrazów! Boże, miej litość! ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl a156d6168f

TYGODNIK LISCKIEGO DO RZECZY

dorzeczy.pl

W NOWEJ ODSŁONIE!

INFORMACJE | OPINIE | RELACJE | EMOCJE

PUBLICYSTYKA NAJWYŻSZEJ PRÓBY.

TERAZ BLIŻEJ CIEBIE. WEJDŹ ▶

PARTNERZY SERWISU dorzeczy.pl: PZU PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH REDUTA PWPW FUNDACJA NA RZECZ OBRONY PAMIĘCI HISTORII POLSKI

eprasa.pl a156d6168f